

Ponad milion sprzedanych egzemplarzy

JØRN LIER HORST

GDY MROK ZAPADA

Merytoryczna dokładność i wiarygodność
w powieściach kryminalnych Jørna Liera Horsta
wynosi je wysoko ponad przeciętną.

– Torbjørn Ekelund, *Dagbladet*

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

**JØRN LIER
HORST**

GDY MROK ZAPADA

Przekład:
Karolina Drozdowska

smak  słowa

Sopot



*Czasy nadejdą
I czasy przeminą
Młodzi pójdą w przodków ślad*

Fragment psalmu *Cudowna jest ziemia* B.S. Ingemanna (1850)

– Babcia zmarła dwanaście lat temu – wyjaśniła siedząca na krześle dla petentów kobieta. – Miała dziewięćdziesiąt siedem lat. Mój brat odziedziczył po niej dom. Długo stał pusty, ale tego lata zaczęliśmy go sprzątać.

Wisting zerknął na zegarek. Za chwilę miał wziąć udział w zebraniu kadetów z akademii policyjnej i powitać ich na praktykach, ale gdy usłyszał nazwisko kobiety, która pytała o niego w dyżurce na dole, natychmiast poprosił, by ją do niego przysłali.

– Znaleźliśmy zaadresowany do pana list – dodała, wyjmując z torebki kopertę. Położyła ją na stole i podsunęła komisarzowi. Na kopercie widniało nazwisko Wisting, wielkie, krągłe litery, nakreślone lekko drżącą dłonią.

– To chyba do pana, nie sądzi pan?

Wisting sięgnął po list. Koperta była pożółkła i wysuszona. Jego myśli popłynęły do zdarzeń sprzed trzydziestu lat.

– Tak, to chyba dla mnie – przytaknął.

– Babcia schowała go za oprawionym zdjęciem dziadka – wyjaśniła kobieta po drugiej stronie stołu. – W sumie to ma sens.

Wisting zważył kopertę w dłoni. Była zaklejona.

– Nie przeczytała go pani – stwierdził.

– Nie jest zaadresowany do mnie – uśmiechnęła się jego rozmówczyni. – Nie wszyscy w mojej rodzinie są nieuczciwi.

– Dziękuję – komisarz odwzajemnił uśmiech.

Kobieta wstała. Załatwiła sprawę, z którą przyszła. Wisting odprowadził ją do drzwi z listem w dłoni. Gdy tylko został sam, usiadł za biurkiem i rozdarł kopertę.

Znalazł w niej dwie kartki zapisane dwoma różnymi charakterami pisma. Przeczytał treść obu i poczuł, jak coś otwiera mu się gdzieś w tyle głowy. Złożył arkusze i wsunął je z powrotem do koperty, po czym poszedł do czekających na niego kadetów.

W sali konferencyjnej było gorąco i duszno. Ktoś otworzył okno, ale powietrze za szybą wydawało się jeszcze bardziej lepkie niż to w środku.

Komendant zaprosił Wistinga na podium. Dopiero gdy komisarz na nim stanął, uświadomił sobie, że nadal ściska w dłoniach kopertę.

Potoczył wzrokiem po pełnych napięcia twarzach, wyrzucając z siebie mechanicznie to samo przemówienie, które wygłaszał przez ostatnich piętnaście lat.

Było ich dziesięcioro, w świeżo wyprasowanych koszulach od munduru. Sześciu mężczyzn i cztery kobiety. Jedna z nich była wnuczką mężczyzny, który zajmował to samo stanowisko co obecnie Wisting wówczas, gdy komisarz sam zaczynał pracę w policji. Maren Dokken. Wisting nie wiedział, która to kadetka, i bezskutecznie próbował doszukać się śladów rodzinnego podobieństwa na którejś z kobiecych twarzy. W końcu doszedł do wniosku, że to pewnie jasnowłosa dziewczyna z końskim ogonem i pełnymi wargami siedząca blisko podium. Każdy z kadetów miał spędzić kilka tygodni w wydziale kryminalnym i zostać wdrożony w praktyczne zadania związane z prowadzeniem śledztwa.

Wisting skończył swoją zwyczajową przemowę, ale wciąż stał na podium, uderzając lekko kopertą o otwartą dłoń. Komendant zerknął na niego, oczekując, że zaraz odda mu głos.

– Chciałbym jeszcze... – powiedział zamiast tego Wisting – ...zaprosić was do wspólnego rozwiązania zagadki kryminalnej sprzed niemal stu lat.

**Trzydzieści trzy
lata wcześniej**

1

Bankomat znów wypuł kartę.

„Automat chwilowo nieczynny” głosiły wielkie, białe litery na zielonym ekranie.

Wisting odwrócił się do Ingrid, która kołysała wózek z bliźniakami.

– Musiała się skończyć gotówka – powiedział, rozglądając się po zatłoczonej ulicy, ozdobionej świątecznymi dekoracjami.

Ingrid uśmiechnęła się i odrzuciła głowę w tył, zerkając na ciemne wieczorne niebo. Zaczął prószyć śnieg. Drobne płatki, przypominające skrawki papieru, zdawały się wisieć w powietrzu.

– Możemy zjeść gofry w domu – powiedziała.

Wisting wsunął kartę z powrotem do portfela. Tak czy inaczej, nie miał już zbyt wiele pieniędzy na koncie i pomyślał, że będzie pewnie musiał wziąć kilka dodatkowych dyżurów.

Otoczył ramieniem Ingrid, wolną ręką złapał uchwyt wózka. Bliźniaki miały niecałe pół roku. Thomas spał, natomiast Line ani myślała o drzemce. Mrugała ciekawie oczami, chłonąc wszystko, co się wokół niej działo.

Wisting poprowadził wózek na Tollbodgaten i skręcił na wybrukowany plac przed kościołem, na którym ustawiono rozświetloną lampkami choinkę.

Straganiarze mieli na głowach czapki świętego Mikołaja, nad ich kramami unosił się zapach grzanego wina, świeżo pieczonych gofrów i ryżu

na mleku z cukrem i cynamonem. Orkiestra Mikołajów siedziała stłoczona w odkrytym jaskrawoczerwonym zabytkowym aucie i grała świąteczne piosenki.

– To packard Ruperta! – zawołała Ingrid, widząc stary samochód.

– Gra na trąbce – uśmiechnął się Wisting, wskazując skinieniem głowy przednie siedzenie, a na nim mężczyznę ze sztuczną brodą i czerwoną czapką.

Stali, przysłuchując się muzyce.

Rupert Hansson był przyjacielem ojca Ingrid. Grał w kościele na ich ślubie solo na trąbce, a potem przewiózł ich swoim zabytkowym autem. Było czerwone jak wóz strażacki i miało zielone okręgi wokół chromowanych felg. Na ich ślub zostało przystrojone gałązkami brzozy i białymi wstęgami.

– Ciekawe, czy im później zapali – skomentował Wisting, rozcierając dłonie.

Ingrid pochyliła się nad wózkiem i sprawdziła, czy bliźniaki są dobrze otulone, po czym przysunęła się do męża i położyła głowę na jego ramieniu.

Rupert Hansson zauważył ich i uniósł wolną dłoń do czapki Mikołaja w geście pozdrowienia. Wisting pomachał mu w odpowiedzi, muzyk dał znać, by chwilę poczekał.

Orkiestra skończyła grać, Rupert odwrócił się do swoich towarzyszy i zarządził, że czas już się zbierać.

Wisting i Ingrid podeszli bliżej, pchając przed sobą wózek. Rupert wysiadł z samochodu i zajrzał do dzieci. Line wyciągnęła spod kocyka rączkę i machała grubą rękawiczką, Thomas spał spokojnie obok siostry.

– Pierwsze święta z dziećmi – skomentował Rupert, podnosząc wzrok na Ingrid. – Jak miło.

– Nie możemy się doczekać – odwzajemniła uśmiech.

Wisting zbliżył się do auta.

– Myślałem, że to wóz na lato – powiedział.

– Bo to prawda – skinął głową Rupert, cofając się do samochodu. – Ale to

taka nasza tradycja. Zawsze gramy na świątecznym jarmarku.

Podniósł futerał na instrument, leżący na podłodze przy pedałach, położył go na siedzeniu i otworzył.

– Chciałem cię o coś zapytać – zaczął, pakując do niego trąbkę.

– Co takiego? – chciał wiedzieć Wisting.

– Czy mógłbyś sprawdzić, do kogo należy stara stodoła przy skrzyżowaniu niedaleko Tveidalen?

Wisting spróbował przypomnieć sobie to miejsce, ale nie pamiętał żadnej stodoły.

– A jest tam coś takiego?

– Tak, ale zaraz się zawali – stwierdził Rupert. – Dach nie zniesie jeszcze jednej śnieżnej zimy.

Wisting wsunął dłonie do kieszeni kurtki.

– Dlaczego chcesz wiedzieć, do kogo należy ta stodoła?

– Podobno stoi w niej stare auto – odrzekł Rupert. – A przecież wiesz, że szukam gruchotów do odrestaurowania.

– W pobliżu nie ma żadnych innych zabudowań? – dopytywał się Wisting. – Nikogo, kogo mógłbyś zapytać?

Rupert potrząsnął głową.

– Pomyślałem, że mógłbyś się tego dla mnie dowiedzieć – ciągnął. – Bo macie chyba w policji jakieś rejestry budynków?

– Takie informacje najlepiej znaleźć w wydziale ksiąg wieczystych – wyjaśnił Wisting. – Może tam zapytaj.

– A o jaki samochód chodzi? – wtrąciła Ingrid.

– Nie jestem pewien – odrzekł Rupert. – Ale ludzie gadają o starej Minervie. – Po minach kobiety i jej męża wywnioskował, że nigdy nie słyszeli o tej marce. – Belgijski producent – wyjaśnił. – Zbankrutował jeszcze przed wojną. Pierwsze auto króla Haakona to była właśnie Minerva z czterocylindrowym silnikiem, model z 1913 roku.

– To rzadkie samochody?

Rupert skinął głową.

– Nie było ich zbyt wiele w Norwegii. Auto króla zostało najprawdopodobniej zełomowane. W każdym razie nikt nie wie, co się z nim stało.

– Jak się dowiedziałeś o samochodzie w Tveidalen?

– Głównie z plotek – ciągnął Rupert. – Jeden z chłopców w naszym klubie usłyszał o tym od swojego wuja, podobno ktoś zaparkował go w stodole, przykrył brezentem i on tak sobie od tego czasu tam stoi.

– A kiedy to było?

– Podobno w latach dwudziestych.

Wisting uniósł brwi.

– Czyli auto miałoby tam stać od sześćdziesięciu lat?

Rupert pokiwał głową z zapalem.

– Jeśli to prawda, to niewykluczone, że mowa jest o oryginale w niezłym stanie.

Wisting nie interesował się za bardzo samochodami. Mieli z Ingrid sześćoletnie volvo. Ale teraz zaciekawiała go historia rzadkiego egzemplarza ukrytego w stodole i stojącego tam w tajemnicy przez ponad pół wieku.

– A może przejedziesz się ze mną do tej stodoły i rzucisz okiem? – zaproponował Rupert. – Mógłbym ci od razu pokazać, gdzie to jest.

– I mielibyśmy jechać tym gruchotem? – spytał Wisting, kiwnąwszy głową w stronę starego packarda.

Rupert wybuchnął śmiechem.

– Nie, tego tu biorę na lawetę – odpowiedział, wskazując na parking, gdzie czekał land rover z niskopodwoziową przyczepą.

Wisting zerknął na Ingrid i wózek. Straganiarze powoli zaczęli zamykać kramy.

– Innym razem – odpowiedział.

– Ależ jedź! – zaproponowała Ingrid, strzepując kilka płatków śniegu z budki wózka. – Ja zabiorę dzieci do domu.

Myślała pewnie to samo co on: byli winni Rupertowi Hanssonowi

przysługę. Nie chciał przecież pieniędzy ani za to, że grał na ich ślubie, ani za transport do lokalu weselnego.

– Odstawię cię później pod drzwi – zapewnił Rupert.

– No dobra.

Wisting wyłowił z kieszeni spodni kluczyki do samochodu i podał je Ingrid. Powinien spróbować się trochę przespać przed nocnym dyżurem, ale przejażdżka do Tveidalen nie zajmie znów aż tyle czasu.

Ingrid wzięła od niego kluczyki i pocałowała go w policzek.

– Będę na ciebie czekać z goframi – uśmiechnęła się.

Odeszła, pchając wózek, zostawiając w świeżym śniegu wąskie ślady kółek.

Rupert Hansson poszedł po landrovera. Kierowany przez Wistinga, podjechał do starego packarda, po czym wtoczył zabytkowe auto na przyczepę.

Wisting usiadł na siedzeniu pasażera.

– Podjedziemy najpierw do mnie do domu i zostawimy lawetę – powiedział Rupert.

Wisting skinął głową.

Ruszyli Helgeroveien na zachód. Padało coraz bardziej, ale jednocześnie zrobiło się chyba cieplej. Asfalt w zostawionych przez auta koleinach był czarny i mokry.

Na wysokości Nalum Rupert skręcił z głównej drogi i zaparkował przed wolno stojącym garażem. W pobliskim domu, w oknie z gwiazdą adwentową stanęła kobieta i wyjrzała na dwór.

Wisting wysiadł i otworzył szeroką bramę. Rupert wjechał do środka, wyskoczył z samochodu i odłączył od niego przyczepę. Dwie minuty później znów byli w drodze.

Rupert włączył radio. Sygnał był tu nie najlepszy, z głośników dobiegały trzaski.

– Lokalne radio tu nie odbiera – powiedział i zaczął szukać kanału, aż w końcu zatrzymał pokrętło na ogólnokrajowej stacji NRK. Ściszył dźwięk

i odwrócił się do Wistinga:

– Byłem tam jesienią. Do tej stodoły chyba nikt dawno nie zaglądał. Jakby o niej zapomniano, wokół powyrastały wysokie drzewa.

– Damy radę wejść do środka?

– Drzwi są zamknięte na wielką kłódkę – wyjaśnił Rupert. – Ale między niektórymi deskami ścian są spore szpary.

Wskazał kciukiem za siebie.

– Zabrałem latarki. Możemy poświecić do środka i sprawdzić, czy stoi tam coś, co przypomina samochód.

Kolejny kwadrans przejechali w milczeniu. W końcu Rupert skręcił na Brunlandsveien. Jakiś kilometr dalej wjechali na skrzyżowanie przy Tveidalen. Rupert skierował auto na zarośniętą boczną drogę. Światło rzucane przez przednie reflektory padło na smukłe pnie drzew. Na końcu wąskiej ścieżki przed nimi stała chyląca się ku upadkowi stodoła, kryta zardzewiałą blachą falistą.

2

Rupert Hansson wyciągnął się ku tylnemu siedzeniu i podniósł z niego dwie solidne latarki. Otworzył drzwi auta, nie wyłączając silnika.

Wisting wysiadł za nim i zerknął na główną drogę. Stary budynek był z niej ledwie widoczny.

Śnieg nie zdążył jeszcze przykryć ziemi między drzewami. Mężczyźni ruszyli do stodoły, każdy po starym śladzie kół samochodowych. Reflektory land rovera kładły przed nimi długie cienie.

Na całej wschodniej ścianie i części dachu wiły się bezlistne pnącza.

Właściwie trudno to nazwać stodołą, pomyślał Wisting. W pobliżu nie ma przecież żadnego gospodarstwa, ten budynek przypomina raczej dużą szopę na narzędzia. Może była przeznaczona dla traktorów i innego sprzętu potrzebnego przy wyrębie lasu.

Rupert wskazał promieniem latarki szerokie dwudzielne drzwi. W poprzek nich biegł solidny, zamocowany nitami, stalowy wrzeczadź z kłódką zawieszoną po jednej stronie.

Wisting podszedł i wziął ją do ręki. Po chwili jego palce były brązowe, płat rdzy odpadł od żelaza i poszybował na ziemię. Wyglądało na to, że wystarczy jedno uderzenie młotkiem albo większym kamieniem, a kłódka się podda.

Wypuścił ją z dłoni i ruszył za Rupertem Hanssonem ku zachodniej stronie budynku. Las podpełzł tu aż pod ścianę, musieli przedrzeć się przez gęste chaszczce.

Stara szopa nie miała okien, ale mniej więcej na środku zachodniej ściany deski musiały poddać się ciężarowi obalonego drzewa. Rupert chwycił się jednej z gałęzi i wspiął na napierający na ścianę złamany pień. Wisting został na dole i patrzył, jak jego towarzysz brnie do przodu, starając się zachować równowagę. Mężczyzna skierował promień latarki na dziurę w ścianie i oparł się o roztrzaskane deski wokół niej.

Wisting znalazł szparę między dwiema deskami. Była zbyt wąska, by poświecić przez nią do środka, ale przytknął do niej oko i śledził stożek światła z latarki Ruperta. Wyglądało na to, że wewnątrz jest tylko jedno duże pomieszczenie. Światło prześlizgnęło się po starym pługu z dwoma korpusami, wozie konnym, drewnianym stołku, cynkowej balii i taczce bez koła. Z belek pod dachem zwisały łańcuchy i grube liny z bloczkami i hakami. Po drugiej stronie pomieszczenia stała oparta o ścianę drabina, na niektórych jej szczeblach wisiały sieci rybackie z parą bladozielonych szklanych boi.

Stożek światła błędził bez ustanku, tak że właściwie nie można było na niczym skupić wzroku. Na ułamek sekundy promień latarki padł na wewnętrzną stronę drzwi stodoły. Wistingowi wydało się, że dostrzega łańcuch i kłódkę, zupełnie jakby wrota zostały zamknięte również od środka.

Światło powędrowało następnie w głąb pomieszczenia, wyławiając z mroku cztery brudne opony od traktora ustawione jedna na drugiej. Wisting dostrzegł także lampę parafinową stojącą na beczce, zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym się znajdował.

Przesunął się nieco, odgiął kilka gałęzi i znalazł szerszą szparę między deskami. Podniósł swoją latarkę i zaświecił przez nią do środka, kierując promień na wewnętrzną stronę drzwi stodoły. Nie przywidziało mu się. Wisiał tam gruby łańcuch, przewleczony przez dwie żelazne obręcze i spięty kłódką.

Przeniósł promień światła na lampę parafinową. Obok niej na beczce leżało także pudełko zapalek i jeszcze jakiś przedmiot, którego dokładnie

nie widział.

– Tam z tyłu coś jest – wykrzyknął Rupert.

Wisting zaświecił w to samo miejsce co jego towarzysz. Za kilkoma pustymi skrzynkami na ziemniaki dostrzegł pod zakurzonym brezentem jakiś większy kształt.

Rupert zeskoczył z pnia drzewa.

– Spróbujmy pójść naokoło – powiedział.

Przedarli się znów przez wybujałą dziką roślinność, okrążyli budynek i stanęli na jego tyłach. Wisting przytknął latarkę do szpary między dwiema deskami i zajrzał przez nią do środka. Śmierdziało zgnilizną. Zobaczył skrzynki na ziemniaki i zwisające spod sufitu liny, ale także dłuższy bok przedmiotu przykrytego brezentem.

– W sumie wygląda jak stary samochód – skierował światło w to miejsce. Auto było dość wysokie z tyłu, przód opadał dużo niżej, zupełnie jak maska klasycznego zabytkowego pojazdu.

– Poświeć na podłogę – poprosił Rupert, stojący nieco dalej z okiem przy węższej szparze.

Promień latarki Wistinga powędrował w dół. Brezent sięgał aż do ziemi, ale z tyłu wisiał trochę krzywo, tak że dało się dostrzec wyglądającą spod materiału sflaczałą oponę samochodową.

3

W drzwiach domu powitał Wistinga zapach świeżo pieczonych gofrów. Wszedł do kuchni i uścisnął Ingrid.

– Położyłaś dzieci? – spytał.

– Thomas śpi – żona skinęła głową. – A Line bawi się w kojcu.

Wisting ruszył do salonu. Line leżała na brzuchu na ułożonym w kojcu kocyku, otoczona grzechotkami i przytulankami. Dziewczynka uniosła się na wyprostowanych rączkach i zerknęła ciekawie na ojca.

Ingrid stanęła w progu z tacą z goframi.

– Napijesz się do nich kawy? – zapytała.

Wisting potrząsnął głową.

– Muszę spróbować się zdrzemnąć przed dyżurem – odpowiedział, wyjmując Line z kojca. Dziewczynka zagulgotała z zadowolenia i zaczęła wierzgać nogami.

– I co, załatwiliście sprawę? – chciała wiedzieć Ingrid.

Wisting usiadł.

– Faktycznie stoi tam stare auto – odpowiedział, sadzając sobie Line na kolanach. – Rupert strasznie się podekscytował.

Ingrid zapaliła pierwszą świecę w adwentowym świeczniku na stole i usiadła w fotelu naprzeciwko męża.

– Dowiedzieliście się, do kogo należy stodoła?

– Chcieliśmy zapytać w najbliższym gospodarstwie, ale wyglądało na to, że mają tam jakieś rodzinne przyjęcie, więc daliśmy sobie spokój.

– Chyba nie będzie trudno to ustalić?

– Nie, ale cały kłopot w tym, że nie mamy konkretnego adresu, nie znamy też numeru działki – Wisting sięgnął po gofra. – Zaproponowałem, że wpadnę po dyżurze do urzędu gminy i zerknę na ich mapy własności gruntów.

Siedzieli jeszcze chwilę, gawędząc, aż w końcu Ingrid zdmuchnęła płomień świecy, podniosła Line z kolan męża i poszła ją przewinać.

Wisting ruszył do pomieszczenia, które z czasem miało się stać pokojem dziecięcym. Na razie była w nim kanapa, a bliźniaki miały swoje łóżeczka ze szczebelkami w sypialni rodziców.

Wpełził pod koc i nastawił budzik, po czym zgasił światło i zamknął oczy.

Ale sen nie przychodził. Wisting leżał, myśląc o samochodzie w stodole i o zamkniętych od środka drzwiach. Dla Ruperta Hanssona najważniejsze było ustalenie, do kogo należał zabytkowy samochód i czy dałoby się go kupić. Wistinga ciekawiło bardziej to, kto wstawił tam auto i ukrył je pod brezentem. I jak to się stało, że drzwi stodoły zostały zamknięte na dwie kłódki, zarówno od środka, jak i od zewnątrz?

Z rozmyślań wyrwał go dziecięcy płacz. Dochodził z salonu. Nie był w stanie stwierdzić, czy to Line, czy Thomas. Leżał przez chwilę, czekając, aż wrzaski ucichną, ale one tylko przybierały na sile.

Odrzucił koc i wstał. Ingrid siedziała na fotelu z Line przy piersi. Thomas leżał na kocyku z podkulonymi nogami i płakał, nie mogąc doczekać się swojej kolejki.

Wisting wziął go na ręce i przytulił miękką dziecięcą główkę do swojego szczeciniastego policzka. Płacz ucichł. Chłopiec uśmiechnął się i zagulgotał. Bliźniaki uśmiechały się teraz często i nie były to już tylko przypadkowe grymasy. Dzieci rosły i pokazywały swoje różne charaktery, zaczynały reagować, gdy ktoś do nich podchodził.

– Dziękuję – szepnęła Ingrid z fotela.

Line przekręciła główkę, by zobaczyć, co się dzieje. Mleko pociekło z kącika jej drobnych ust.

– Chyba się już najadła – stwierdziła Ingrid. – Weźmiesz ją?

Wisting położył Thomasa na kolanach żony i wziął Line na rękę. Pochodził z nią trochę po salonie, pokołysał ją i poklepał po plecach, aż się jej odbiło. Zaniósł ją do sypialni i ułożył ostrożnie w łóżeczku, po czym wrócił do swojego posłania na kanapie.

Miał wrażenie, że budzik zadzwonił chwilę po tym, jak wreszcie udało mu się zasnąć. Namacał go w ciemnościach, wyłączył i postawił stopy na zimnej podłodze. Poszedł do łazienki, żeby się ogolić, po drodze zajrzał jeszcze do Ingrid i dzieci.

W chlebaku w kuchni było pusto. Sięgnął więc po zamkniętą paczkę chrupkiego pieczywa. Zjadł jeden listek na sucho, stojąc w oknie, i schował napoczętą paczkę z powrotem do szafki.

Śniegu na ziemi leżało niewiele, jakiś centymetr albo dwa. Termometr w oknie wskazywał, że zrobiło się trochę cieplej.

Wisting wkroczył do budynku komendy na Prinsegata za kwadrans jedenasta. Zszedł do szatni i przebrał się w mundur. Zerknął do lustra i poprawił krawat, po czym ruszył do dyżurki na górze.

Kierujący zmianą oficer zdążył już dotrzeć do pracy i zmienić swojego poprzednika. Erling Storvolden był krępy męczyzną o okrągłej twarzy, zbliżającym się do wieku emerytalnego.

– Było coś ciekawego? – zapytał Wisting.

– Dwa wypadki drogowe – odrzekł policjant, którego miał zmienić. Dźwignął się z sofy, chwytając czapkę, i ruszył do drzwi. – Ślisko dziś na drogach.

Wisting poszedł prosto do aneksu kuchennego. Był najmłodszy, więc parzenie kawy należało do jego obowiązków.

Per Haugen pojawił się dopiero, gdy kawa była już gotowa. Był starszy od Wistinga o dwanaście lat i zdążył się dorobić trzech belek na naramiennikach. Miał na sobie mundur oraz zmiętą i poplamioną koszulę.

Erling Storvolden zawołał ich do siebie, by razem z nimi przejrzeć dziennik dyżuru. Było ich tylko trzech. Oficer kierujący zmianą i dwóch do

patrolu.

Storvolden zapalił papierosa i natychmiast stwierdził, że nie zdarzyło się nic ciekawego.

Ostatnia doba rozpoczęła się od burdy w restauracji i odwiezienia do izby wytrzeźwień mężczyzny w wieku lat czterdziestu czterech. Na Kongegata zatrzymano pijanego kierowcę, patrol wyjechał do rodzinnej awantury zgłoszonej w Torstrand. W nocy zatrzymano dwoje nastolatków, których nakryto w piwnicy domu, gdzie próbowali dobrać się do schowka. Odwieziono ich do komendy i wezwano rodziców. W niedzielny poranek przyjęto zgłoszenie o zaginięciu psa, oprócz tego dzień przebiegał spokojnie. Tuż przed dwunastą zgłoszono kradzież z placu budowy na północ od miasta.

– Zwinęli im ładowarkę kołową – odczytał Storvolden z dziennika.

– Ładowarkę? – powtórzył Haugen z uniesionymi brwiami.

Storvolden zmrużył oczy, przyglądając się papierom zza chmury papierosowego dymu.

– Volvo BM 1240 – skinął głową. – Stała zaparkowana z kluczykami w stacyjce.

– Kto normalny kradnie ładowarkę? – nie przestawał się dziwić Haugen.

– Pewnie ktoś się narąbał i chciał sobie zażartować.

Brnęli przez kolejne zgłoszenia. Policyjne dzienniki dyżurów były krzywym zwierciadłem, w którym odbijało się życie miasta: kradzieże, chuligaństwo, oszustwa, napady, prowadzenie pojazdów pod wpływem, wypadki, groźby karalne, awantury, stłuczki, odpalane z głupoty race ostrzegawcze, znęcanie się, osadzanie w areszcie tymczasowym, ludzie chorzy psychicznie, potrącenia, pijacy zataczający się na ulicach. W pracy policjanta człowiek wciąż stykał się z tym, co negatywne, chore, destrukcyjne, odbiegające od normy. Ale Wisting pod wieloma względami czuł się w tym mroku dobrze. Podobało mu się, że jest jednym z tych, do których w razie potrzeby można się zwrócić o pomoc, że znaczy coś dla innych i jednocześnie sprawia, że ludziom żyje się bezpieczniej. Czuł, że to,

co robi, ma sens.

Storvolden zakończył przegląd dziennika i rzucił Haugenowi kluczyki do radiowozu.

– Rozglądajcie się za ładowarką – posłał kolegom uśmiech.

Zgasił papierosa w popielnicze, odwrócił krzesło do blatu biurka i wkręcił w maszynę do pisania czysty arkusz papieru.

Przed wyruszeniem w teren spędzili godzinę na sofie w dyżurce. Komenda została wyposażona w szwedzką antenę, która łapała kanały z sąsiedniego kraju, kończące nadawanie audycji później niż NRK. W niedzielne wieczory często szedł jakiś film.

Wisting nie był zachwycony spędzaniem czasu w pracy przed telewizorem, ale był najmłodszy w oddziale i nie mógł sobie jeszcze pozwolić na próby zmiany nawyków starszych kolegów, chociaż najchętniej wyganiałby ich z sofy w dyżurce na ulice.

Z reguły wykorzystywał te wolne chwile na czytanie raportów z zamkniętych śledztw i wyciągniętych z archiwów wyroków sądowych. Czerpał z nich wiedzę o lokalnym środowisku przestępczym i lepszy wgląd w metody pracy oficera śledczego. Bo to właśnie tam, do wydziału śledczego na pierwszym piętrze, chciał się w końcu dostać. Ale dopóki Ingrid siedziała w domu z bliźniakami, musiał wstrzymać się ze składaniem podania. Stanowisko śledczego wiązało się wprawdzie z wyższymi zarobkami, ale utrata dodatków za dyżury wieczorne, nocne i weekendowe powodowała, że realnie dostawało się na nim niższą pensję, trudniej było też o nadgodziny.

Dopiero krótko przed pierwszą Haugen dźwignął się z sofy i oświadczył, że najwyższa pora ruszyć na przejażdżkę.

Wisting zebrał swoje rzeczy i zamknął je na klucz w szafce. Włożył kurtkę i zszedł za kolegą do garażu.

Ruszyli. Haugen skręcił w lewo, zjechał w dół Prinsegata, minął Thaulowsvingen i skierował auto na Storgata. Z wieczornego pociągu z Oslo wysiadła właśnie garstka pasażerów. Haugen ledwo omiótł ich

wzrokiem. Wisting natomiast przyjrzał się ich twarzom. Kojarzył kilka osób, a wśród nieznanym nie było nikogo, kto przykułby jego uwagę. Haugen pojechał dalej, klucząc bez systemu po wyludnionych ulicach.

Wisting zaczynał się niecierpliwić z powodu tej bezsensownej jazdy radiowozem. Ich działania raczej nie miały charakteru prewencyjnego, nie były też związane z żadnym śledztwem. Jeździli po prostu w kółko, czekając, aż coś się wydarzy. Oczywiście potrzebne były patrole pozostające w gotowości, ale taką pracę na pewno dałoby się wykonywać efektywniej. Mogłaby mieć bardziej celowy charakter. Lokalna przestępczość, z tego, co Wisting zdążył się nauczyć, ograniczała się z reguły do określonych obszarów miasta, zabronione czyny popełniały też zazwyczaj określone osoby, i to nawet w określonych porach. Istniały pewne schematy, które właściwie nie były wcale trudne do rozpracowania i których lepsza znajomość pozwoliłaby im być krok przed złoczyńcami.

– A może byśmy przejechali się Hoffs gate? – zaproponował.

Haugen zajęty był śledzeniem bezdomnego psa truchtającego skrajem chodnika.

– A coś tam się dzieje? – spytał, gdy minęli zwierzaka.

– Nie wiem – odparł Wisting. – Ale ostatnio w tej okolicy skradziono kilka samochodów. Zgłoszenia trafiają do nas z reguły w poniedziałki rano. Mija parę dni, po czym odnajdujemy auta ogołoczone z wartościowego sprzętu i częściowo rozkręcone. Robotnicy z nocnych zmian w fabryce pigmentów stracili w ten sposób już kilka wozów.

Per Haugen zmierzył go wzrokiem. W pierwszej chwili wydawał się zaskoczony, ale zaraz wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– No to spróbujmy ich dorwać – powiedział, skręcając w pierwszą ulicę na lewo.

Sześć minut później wjechali w Hoffs gate. Po prawej stronie mieli szkołę handlową i stadion Fram, po lewej zaś należące do wspólnoty mieszkaniowej bliźniaki. Adwentowe gwiazdy jaśniały w co drugim oknie, niektóre drzewa w ogródkach przystrojone były bożonarodzeniowymi

światełkami.

Nieco dalej stały duże ceglane bloki. W lokalu w jednym z nich mieszkał dwudziestokilkuletni chłopak, który zdążył już zostać skazany za włamanie i kradzież samochodu. Wisting napisał o tym notatkę dla wydziału śledczego, ale nie wiedział, czy koledzy z góry coś z tym zrobili.

Na parkingu przed fabryką pigmentów świeciła słabo samotna latarnia. Przejechali powoli obok samochodów robotników z nocnej zmiany.

– Spokój i cisza – skomentował Haugen.

Wisting zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Dochodziło wpół do trzeciej.

– Może przyjechaliśmy za wcześnie – stwierdził, przenosząc wzrok na mieszkania pracowników kolei po drugiej stronie ulicy.

– Moglibyśmy tam wjechać, zgasić silnik i poczekać.

Haugen skrzywił się na tę propozycję:

– Zrobi się zimno.

– Pojedziemy dalej, jak zaczniemy marznąć – zasugerował Wisting.

Haugen nie odpowiedział, ale zaparkował auto tak, że było niewidoczne z ulicy. Zgasił silnik. Wnętrze samochodu rozświetlała jedynie zielona poświata wyświetlacza w radioodbiorniku. Wisting sięgnął po gazetę i zakrył nią radio tak, że zrobiło się całkiem ciemno.

Odgłosy z hali fabrycznej docierały aż tutaj. Ulicą przejechał samochód ciężarowy, a zaraz po nim tą samą drogą podążyła taksówka.

Po jakichś dwudziestu minutach w radiowozie zaczęło się robić zimno. Wisting zatarł dłonie. Bezcynne siedzenie w zaparkowanym aucie zaczynało mu się już wydawać równie bezsensowne, jak patrolowanie miasta na chybił trafił.

– Ile jeszcze mamy czasu? – spytał Haugen, próbując zdławić ziewnięcie.

Wisting wzruszył ramionami.

– Jeszcze trochę – odrzekł, wodząc wzrokiem po Hoffs gate.

Latarnie oświetlały mokry asfalt matową poświatą. Zaparkowane auta,

drzewa i kontenery na śmieci rzucały nieregularne cienie.

Zdało mu się nagle, że widzi jakiś ruch przy statywie ze skrzynkami na listy.

Wisting wyprostował plecy. Może to tylko podmuch wiatru poruszył liśćmi zielonych przez całą zimę krzewów?

– Tam – szepnął, gdy miał już pewność, że się nie myli.

Haugen zerknął we wskazanym kierunku.

Z terenu osiedla wyłoniła się postać w ciemnym ubraniu, z pewnością mężczyzna. Nieznajomy przeszedł na drugą stronę ulicy, rozglądając się dookoła. Ruszył wzdłuż ogrodzenia w kierunku fabryki pigmentów.

Odległość między radiowozem a parkingiem wynosiła niecałe sto metrów. Jeśli mężczyzna spróbuje się dostać do jednego z aut, będzie miał sporą przewagę nad policjantami, gdy ci rozpoczną pościg. Poza tym mógł wybrać wiele dróg ucieczki niedostępnych dla policjantów w radiowozie.

– Wsiadam – szepnął Wisting, zupełnie jakby się bał, że nieznajomy może go usłyszeć.

Haugen skinął głową i oparł dłonie na kierownicy. Wisting przekreślił przełącznik, upewniając się, że otwarcie drzwi nie włączy światła w kabinie.

Zanim zdążył wysiąść, w policyjnym radio rozległy się trzaski.

– 6-0-3, tu 2-0 – wywołał ich oficer kierujący zmianą.

Haugen zmniejszył głośność, ale było już za późno. Dźwięk rozniósł się po pograżonej w ciszy ulicy. Mężczyzna przy ogrodzeniu przystanął i zerknął w ich kierunku.

– Jedźcie do Stavern! – zakomenderował Storvolden, nie czekając na odpowiedź. – Więcej informacji za chwilę.

Haugen włączył silnik, oświetlając potencjalnego złodzieja przednimi reflektorami. Wisting zatrzasnął drzwi radiowozu i chwycił nadajnik. Sposób, w jaki wydano polecenie, wskazywał, że sprawa jest pilna. Chodziło pewnie o włamanie albo pobicie, a do Storvoldena wciąż napływały informacje od tego, kto zgłaszał zajście.

– Przyjęte – zameldował.

Radiowóz przyspieszył. Mężczyzna po drugiej stronie ulicy przyłgął plecami do ogrodzenia i rozejrzał się na obie strony, jakby próbował oszacować, którądy najlepiej uciec. W końcu jednak zamarł bez ruchu. Wistingowi mignęła za oknem jego blada twarz – tylko przez chwilę, ale wiedział, że rozpozna tego człowieka, jeśli zobaczy go jeszcze raz. Zapiął pas i włączył koguta.

4

Haugen wrzucił kolejny bieg w oznakowanej corsie i pędził przed siebie. Na pierwszym skrzyżowaniu trochę nimi zarzuciło. Szosa była bardziej śliska, niż się spodziewał. Auto wpadło w poślizg i omal nie okręciło się wokół własnej osi, na szczęście policjant chwycił mocno kierownicę i wyprostował koła.

Ale ten nieco niekontrolowany start nie zniechęcił policjantów. Ruszyli dalej z piskiem opon. Asfalt płynął pod kołami radiowozu niczym rzeka. Minęli Storgata i skręcili w lewo przy przejściu pod torami, wyjeżdżając na Stavernsveien.

Policyjne radio znów zatrzeszczało:

– 6-0-3, tu 2-0.

Wisting siedział z nadajnikiem na kolanach.

– Zgłaszam się.

– To nasza ładowarka – wyjaśnił Storvolden. – Taranują nią ścianę banku. Zgłaszający zdarzenie siedzi na piętrze w sąsiednim budynku i wszystkiemu się przygląda. Kierowca jest zamaskowany. A jakiś drugi facet stoi sobie obok i czeka, aż dziura będzie dość duża.

Wisting poczuł uderzenie adrenaliny. Zaszło mu w ustach.

– Uzbrojeni? – zapytał.

– Nie – odpowiedział przez radio Storvolden.

– Jesteśmy na wysokości Tenvik – zaraportował Wisting, zerkając na prędkościomierz. – Będziemy tam za jakieś pięć minut.

– Trzy – poprawił go Haugen, dociskając pedał gazu.

– Mam zgłaszającego na linii – wyjaśnił Storvolden. – Obaj faceci nadal tam są.

Niebieskie światło na dachu radiowozu pulsowało rytmicznie, rozświetlając nocną ciemność. Kostki zaciśniętych na kierownicy dłoni Haugena pobierały. Wisting trzymał się uchwytu drzwi, zgrzytając zębami. Nie był pewien, co ich czeka na miejscu i jak powinni zabrać się do rzeczy. W konfrontacji z użytą do włamania ładowarką kołową dwaj policjanci w radiowozie mieli właściwie niewiele argumentów.

Prędkość, z jaką pędzili, wprawiała auto w wibrację. O mało nie wzbili się w powietrze nad ostatnim podjazdem prowadzącym do centrum Stavern.

Storvolden znów był na linii:

– Zabrali sejf nocny – zameldował. – Potwierdzam, że to dwaj mężczyźni. Załadowali łup do czarnego forda sierra. Odjeżdżają właśnie z miejsca zdarzenia.

Radiowóz skręcił w boczną ulicę. Na drodze przed nimi leżały w nieładzie cegły i fragment zburzonej ściany. Na chodniku stała żółta ładowarka kołowa z opuszczoną łyżką. W ścianie banku, na wysokości miejsca, w którym zamontowano wrzutnię nocnego sejfu, zionęła wielka dziura. Usłyszeli przenikliwy sygnał alarmu.

Jeden z włamywaczy zatrzasnął bagażnik, po czym wskoczył do sierry. Samochód ruszył z piskiem opon.

– Jesteśmy na miejscu – zameldował Wisting, po czym zanotował dokładną godzinę i numery rejestracyjne pojazdu, którym uciekali przestępcy.

Uderzył głową w sufit auta, gdy Haugen dodał gazu, przejeżdżając po rozrzuconych po drodze ceglach. Wyjechali z ulicy bokiem, ani na chwilę nie zwalniając.

Czarna sierra była dużo lepsza od starego radiowozu i szybko zwiększyła dystans. Ale niedostatki techniczne policyjnego auta rekompensowały

z nawiązką umiejętności kierowcy. Z każdym zakrętem byli coraz bliżej, włamywacze odskakiwali im tylko na prostej drodze.

Wisting zgłaszał cały czas ich pozycje Storvoldenowi, chociaż miał świadomość, że żadna inna jednostka nie wesprze ich w tym pościgu. Dopiero jeśli wjadą na teren sąsiedniego dystryktu policyjnego, będą mogli liczyć na blokadę drogi albo rozłożenie maty z kolcami.

Zbliżali się do ostrych zakrętów przed Askeskogen. Haugen wrzucił niższy bieg i zjechał w stronę pobocza w nadziei, że uda mu się nadrobić dystans. Nagle lewe koła wozu znalazły się poza asfaltem. Wisting przygotował się na lądowanie w rowie, które wydawało mu się nieuniknione. Ale Haugenowi udało się jakimś cudem skierować auto z powrotem na szosę, kosztem utraty kontroli nad kierownicą. Radiowóz wpadł w poślizg i ustawił prostopadle do kierunku ruchu, po czym obrócił o 180 stopni i wreszcie zatrzymał.

Haugen zaklął szpetnie, wrzucił wsteczny i zawrócił. Auto zatoczyło się, nim opony chwyciły się w końcu szosy, ale gdy wyjechali wreszcie na kolejną prostą, czarnej sierry nie było już w zasięgu wzroku.

– Straciliśmy ich z oczu – zameldował Wisting.

Storvolden nie odpowiedział. Pewnie wisiał już na telefonie i zgłaszał sprawę do sąsiednich dystryktów.

Haugen jechał dalej, nie zwalniając, ale byli teraz na zalesionym obszarze, pełnym wąskich dróg i ścieżek rozchodzących się na różne strony – idealne miejsce, jeśli się chciało przed kimś uciec.

Gdy wyjechali na skrzyżowanie przy Helgeroa, Haugen zwolnił i w końcu się zatrzymał. Znów zaklął i uderzył dłońmi w kierownicę. Kabinę wypełnił smród spalonego sprzęgła.

Wisting wyłączył koguta na dachu.

Na drodze prowadzącej z Nevlunghavn pojawiły się nagle światła samochodu. Policjanci przyglądali się im, czekając, aż się zbliżą.

– Pewnie się przesiedli do innego wozu – stwierdził Wisting, nie odrywając wzroku od świateł.

– Myślisz? – rzucił Haugen.

Wisting odpowiedział tylko skinieniem głowy. Nie chciał zgrywać wszechwiedzącego, ale wymiana pojazdu była częścią planu we wszystkich udanych rabunkach, o których czytał.

Zbliżający się do nich samochód przybrał znajomy kształt osobowego garbusa.

– Myślisz, że to oni? – wyszczerzył zęby Haugen.

Garbus ich wyminął. Jego kabinę wypełniło światło z przednich reflektorów radiowozu. W fotelu kierowcy siedziała starsza kobieta. Obróciła głowę i spojrzała na nich wielkimi oczami, trzymając obie dłonie na kierownicy.

Haugen wrzucił bieg i zaczął zawracać, chcąc pojechać z powrotem na miejsce zdarzenia.

– Czeka! – poprosił Wisting, wskazując kierunek północny.

Na nocnym niebie jaśniała tam pomarańczowa łuna.

Haugen zakręcił kierownicą i popędził we właściwą stronę.

Wisting znów włączył koguta i już po chwili wyprzedzali szarego garbusa.

Ogień mógł szaleć jakiś kilometr przed nimi. Pomarańczowa łuna była coraz jaskrawsza.

Wisting jechał tą samą drogą poprzedniego wieczora, w drodze do stodoły z zabytkowym autem.

Jego podejrzenia potwierdziły się na wysokości skrzyżowania przy Tveidalen. W połowie bocznej drogi prowadzącej do stodoły stał płonący samochód.

Haugen zatrzymał się na szosie, jakieś trzydzieści metrów dalej. Wisting wyskoczył z kabiny, czując zapach palonej gumy. Okrążył radiowóz i wyjął gaśnicę z bagażnika. Długie, białe jak lód języki ognia strzelały w górę przez wybite okna sierry. Bijące od pożaru ciepło uniemożliwiało zbliżenie się do pojazdu.

Wisting usłyszał, że siedzący za kierownicą Haugen informuje

Storvoldena, że włamywacze podpalili samochód, i prosi o powiadomienie straży pożarnej.

Osłonił oczy dłonią. Łuny ognia były oślepiające. Chmury gęstego, czarnego dymu buchały w górę, mieszając się z nocnymi ciemnościami.

Płomienie przeniosły się na pobliską roślinność. Paliła się już rosnąca nieopodal krzywa sosna. Sierra stała w połowie drogi między Wistingiem a stodołą. Istniało ryzyko, że ogień obejmie także walący się budynek.

Haugen wysiadł z radiowozu, zasłaniając nos i usta na tyle, na ile się dało. Jadący za nimi garbus zatrzymał się na poboczu.

Mogli tylko obserwować ogień z bezpiecznej odległości. Wiatr wiał w kierunku stodoły, płomienie podpełzały coraz bliżej.

Starsza kobieta prowadząca garbusa wysiadła. Wisting podszedł do niej.

– Wie pani, do kogo należy ten budynek? – zapytał.

W tej samej chwili coś eksplodowało pod maską płonącej sierry i uderzyła ich fala gorącego powietrza.

Odsunęli się jeszcze kawałek, po czym Wisting powtórzył pytanie.

– Właścicielem jest Knut Heian – odparła kobieta. – Mieszka tuż obok. Chce pan, żebym do niego pojechała i dała mu znać?

Wisting skinął głową. Kobieta wsiadła z powrotem do garbusa, zapięła pas i odjechała.

Pożar zaczął powoli dogasać. Stodoła była już poza zagrożeniem. Gdy po dziesięciu minutach od wezwania na miejsce przyjechał pierwszy wóz strażacki, resztki auta ledwo się tliły.

Strażacy wyciągnęli węże, podłączyli je i zgasili pozostałości pożaru. Pod wpływem strumienia wody płomienie ostatni raz strzeliły w górę, po czym złożyły się jak płatki kwiatu.

Na poboczu przystanęło kilka pojazdów z ciekawskimi gapiami, którzy jednak szybko odjechali, upewniwszy się, że nie będą już świadkami niczego ciekawego. Na skrzyżowanie wjechał niewielki samochód dostawczy, a zaraz po nim pojawił się szary garbus. Oba auta zatrzymały się za wozem strażackim. Z samochodu dostawczego wyskoczył

pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, co wskazywało na to, że został przed chwilą wyrwany ze snu.

Wisting wyszedł mu na spotkanie.

– To pan jest właścicielem tego terenu? – zapytał.

Mężczyzna potwierdził i zerknął ponad ramieniem Wistinga na miejsce, w którym przed chwilą szalał pożar.

– Spaliła się część zagajnika – wyjaśnił Wisting. – Ale stodoła ocalała.

Jego rozmówca przecesał włosy palcami.

– Co tu się właściwie stało? – chciał wiedzieć.

Kobieta z garbusa przystanąła nieopodal.

– Tym samochodem posłużyli się mężczyźni, którzy dokonali włamania do Sparebanken w Stavern – wyjaśnił Wisting. – Najprawdopodobniej czekał tu na nich inny pojazd, do którego się przesiedli.

Mężczyzna minął Wistinga i zbliżył się o kilka kroków do wraku.

– Zauważył pan tu w ostatnich dniach coś dziwnego? – spytał policjant. – Jakies zaparkowane samochody albo coś w tym rodzaju?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– W ogóle nie korzystałem z tej stodoły – stwierdził, właściwie nie odpowiadając na pytanie.

Wisting odwrócił się do właścicielki garbusa i spytał ją o to samo. Jeśli często jeździła tą trasą, mogła zwrócić na coś uwagę. Zastanawiała się dłuższą chwilę, ale nic nie przyszło jej do głowy.

Wisting sięgnął po notatnik i zapisał imiona i nazwiska, adresy i numery telefonów obojga swoich rozmówców.

Haugen zamienił kilka słów ze strażakami. Przywołał kolegę gestem.

– Straż pożarna odgrodzi teren – wyjaśnił. – Stolvolden wezwał ludzi z kryminalnego, ale musimy wrócić do banku i zabezpieczyć miejsce zdarzenia przed przyjazdem techników.

Zanim zdążyli odjechać, pojawił się fotograf z lokalnej gazety. Od zapachu palonej gumy Wistinga zaczynała już boleć głowa, wiedział, że jego mundur i włosy będą śmierdzieć jeszcze przez kilka dni.

– Mogli pojechać jedną z dwóch dróg – stwierdził Storvolden. – Na zachód, przez Tveidalen i dalej do Telemarku, albo na północ, kierując się na E18.

Wisting zgodził się z tą teorią, ale była jeszcze trzecia możliwość: sprawcy mogli schronić się w jakiejś bezpiecznej kryjówce gdzieś w pobliżu. Przemieszczanie się zawsze wiązało się z ryzykiem. Można było zostać zauważonym, zwłaszcza w nocy, gdy na drogach było właściwie pusto. Jeśli policja działała sprawnie, na szosach wyjazdowych z dystryktu umieszczano punkty kontrolne. Napad został przeprowadzony profesjonalnie. Wszystko wskazywało na to, że stojący za nim ludzie doskonale wiedzą, co robią.

Gdy przyjechali z powrotem do Stavern, zaczął padać śnieg. Drobnutkie wirujące w powietrzu płatki. Troje pracowników banku chodziło po ulicy, próbując zebrać rozrzucone papiery i dokumenty. Wisting rozpoznał wśród nich Leona Prytza, szefa banku. Mężczyzna zbliżył się do radiowozu, gdy tylko ten się zatrzymał. Haugen został za kierownicą i rozmawiał przez radio z Storvoldenem, Wisting zaś wysiadł.

Po nocnym sejfie zostały tylko kawałki powyginanego metalu.

– Mamy całkiem niezłe zabezpieczenia antywłamaniowe – powiedział szef banku. – Ale na coś takiego nie byliśmy przygotowani.

– O jak wysokiej kwocie może być mowa? – spytał Wisting.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– W obiegu jest teraz mnóstwo gotówki – odparł. – Ludzie robią świąteczne zakupy. Wielu właścicieli sklepów umieszcza w weekend w nocnym sejfie utarg z całego tygodnia. Musimy pozbierać raporty od klientów, dopiero wtedy będziemy mogli podać dokładną sumę.

– A jest ją pan w stanie przynajmniej oszacować?

Szef banku zawahał się przez chwilę.

– Myślę, że to mogą być jakieś dwa miliony, najprawdopodobniej nawet trochę więcej.

Wisting zrobił głęboki wdech, dając sobie czas na przetrwanie tej

informacji, po czym wypuścił powietrze. Zarabiał rocznie nieco poniżej stu dwudziestu tysięcy. Dwa miliony musiały być dla włamywaczy prawie niepojętą sumą.

– Jak właściwie działa taki nocny sejf? – zapytał.

– Z założenia tak samo jak skrzynka pocztowa – wyjaśnił szef banku. – Przedsiębiorstwa, które mają z nami podpisaną umowę, umieszczają gotówkę w zapieczętowanej torbie, którą wkładają do wrzutni w ścianie. Jest tam zamontowana śluza, która uniemożliwia wyjęcie toreb z powrotem, wpadają one po drugiej stronie muru do prostej metalowej szafki.

– Ta szafka nie jest zamykana?

– Ależ tak. Zamknięta szafka w zamkniętym pokoju, ale to nie sejf ani nic w rodzaju skarbcza. Jak się już sforsuje ścianę, to szafkę dość łatwo wyciągnąć.

Wisting zanotował wszystkie te informacje. Ani bank, ani policja nie byli przygotowani na coś takiego, ale powinni byli brać pod uwagę możliwość, że prędzej czy później ktoś wpadnie na pomysł takiego włamania. Do podobnych zdarzeń dochodziło już na południowym wschodzie kraju. W Akershus, Asker, Bærum, Buskerud i Romerike. Miejscach położonych wokół stolicy. Mogło to wskazywać na jakąś zorganizowaną grupę z siedzibą w Oslo albo na działających niezależnie przestępców kopiujących tę metodę. Powinni się byli tego spodziewać, pomyślał Wisting, tak samo jak meteorolog powinien być w stanie przewidzieć niepogodę.

5

Wisting usiadł do pisania raportu około wpół do siódmej. Zdążyli już złożyć ustne sprawozdanie wezwanym na miejsce zdarzenia śledczym.

Z mozołem stukał w klawisze dwoma palcami. Ciężko mu było kleić zdania o tej porze, mimo że raport miał standardową formę: czas i miejsce zgłoszenia, wyjazd, to, co widział, ludzie, z którymi rozmawiał, i przekazane przez nich informacje. Gdyby to on miał prowadzić śledztwo, zaczęłyby od czarnej sierry. Pewnie była kradziona, ale dawała jakiś punkt zaczepienia. To samo z ładowarką. Ktoś mógł coś zauważyć na placu budowy, z którego została skradziona, na pewno istniał jakiś rejestr pojazdów wykorzystywanych do prac. Na końcu raportu Wisting umieścił uwagę o tym, że w innych dystryktach policyjnych prowadzone są bardzo podobne, dotąd niewyjaśnione sprawy.

Dopiero pół godziny po czasie, w którym powinien kończyć dyżur, wykręcił arkusz papieru z maszyny do pisania i umieścił go na półce na korespondencję wydziału kryminalnego.

Gdy wyszedł z komendy, na dworze było jeszcze ciemno. Nocne dyżury o tej porze roku oznaczały właściwie ciągłe życie w mroku. Słońce wschodziło dopiero późnym porankiem, gdy człowiek kładł się spać, i zachodziło wcześniej po południu, zanim się obudził.

W domu powitał Wistinga dziecięcy płacz. Thomas leżał w kojcu, a Line dostawała właśnie jeść. Ojciec wziął chłopca na ręce i posadził go sobie na kolanach, ale mały wciąż był niepokieszony.

– Będzie krzyczał, dopóki ja go nie wezmę – uśmiechnęła się Ingrid.

Wisting widział, że żona jest zmęczona, i domyślił się, że dzieci nie dały jej pospać tej nocy.

– Znalazłem właściciela tej starej stodoły – powiedział i streścił pokrótce swoją nocną przygodę.

Thomas w końcu trochę się uspokoił. Wisting wstał i zaniósł go Ingrid, gdy zobaczył, że żona jest gotowa na karmienie drugiego bliźniaka. Zamienili się dziećmi, Wisting ułożył sobie Line na ramieniu i zrobił z nią kilka rundek wokół salonu.

– Rozmawiałeś już z Rupertem? – spytała Ingrid.

Wisting potrząsnął głową.

– Zadzwoń do niego po południu.

Line odbiło się, a potem trochę ułało. Ciepłe mleko pociekło po ramieniu ojca.

Ingrid uśmiechnęła się do męża.

– I tak ją trzeba wykąpać.

Wisting poszedł do łazienki i ułożył córeczkę na przewijaku. Nie spuszczać z niej oka, zdjął koszulę i nalał letniej wody do wanienki. Rozebrał małą i ostrożnie ją zanurzył. Line była zachwycona, wydała z siebie radosny okrzyk, zaczęła wierzgać pulchnymi nóżkami i wstrzymała oddech, gdy kilka kropel wody spadło na jej buzię.

– Kiedy znów idziesz do pracy? – zawołała Ingrid z salonu.

Wisting, myjąc córkę, zastanawiał się nad grafiką dyżurów.

– Za jakieś dwa albo trzy dni – odpowiedział, czując, że ogarnia go smutek. Każde śledztwo nabierało rozpędu w pierwszych dniach. Chętnie pracowałby dalej nad sprawą napadu, ale jego rola kończyła się na sporządzeniu raportu.

Wyjął Line z wanienki i przytulił jej drobne ciało do klatki piersiowej. Wolną dłonią sięgnął po ręcznik, którym owinął córeczkę. Po kilku chwilach mała leżała już w kojcu, najedzona, sucha i przebrana w czyste ubranko. Z mozołem przekręciła się na brzuszek i zaczęła oglądać leżące

dookoła niej zabawki.

– To ja wykąpię Thomasa – powiedziała Ingrid, wstając. – Idź się położyć.

Wisting ruszył do swojej samotni i opadł na kanapę z poczuciem, że pominął coś w raporcie. Coś ważnego. Nie dawało mu to spokoju, ale wreszcie zasnął. Gdy obudził się sześć godzin później, natrętna myśl natychmiast zameldowała się z powrotem.

Włożył T-shirt i poczuł, że boli go klatka piersiowa, w miejscu, w które podczas pościgu wpijał się pas bezpieczeństwa.

Śnieg musiał padać przez cały czas, gdy spał. Za kuchenną szybą z nieba płynęły wciąż wielkie, ciężkie płatki.

Ingrid szła właśnie do skrzynki na listy. Chłopak rozwożący gazety pchał swój rower zaśnieżoną ulicą. Zazwyczaj przyjeżdżał do nich przed trzecią. Teraz było już po wpół do czwartej.

Wisting przejrzał pocztę, która już czekała na blacie w kuchni, ale nie znalazł niczego ciekawego.

Ingrid strząsnęła na schodach śnieg z butów i weszła do domu.

– Mówili o tym w radiu w wiadomościach – powiedziała, kładąc gazetę na kuchennym stole. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie fasady banku z wielką dziurą i zaparkowanej nieopodal ładowarki.

Wisting chwycił gazetę i otworzył ją na stronie z artykułem. Było tam więcej zdjęć banku i spalonego auta przy skrzyżowaniu nieopodal Tveidalen. Musiały zostać zrobione, zanim jeszcze spadł śnieg.

Na tekst zerknął pobieżnie, ale zrozumiał z niego tyle, że dziennikarzom nie udało się dotrzeć do żadnych nowych informacji.

Ingrid postawiła na ogniu garnek z ziemniakami.

– Dzieci śpią? – spytał Wisting.

– Tak, nareszcie – skinęła głową żona. – Były dziś nieznośne.

– Może położysz się na trochę po obiedzie? – zaproponował.

Przejrzał resztę gazety. Były w niej zdjęcia dzieci połączone z krótkimi wywiadami w związku z wywieszeniem na ulicach bożonarodzeniowych

dekoracji, wyniki weekendowych rozgrywek sportowych i reportaże z kilku meczów, sporo miejsca poświęcono także liderowi polskich związków zawodowych Lechowi Wałęsie, który postanowił nie przyjeżdżać do Norwegii na wręczenie Pokojowej Nagrody Nobla z obawy przed tym, że władze mogłyby nie wypuścić go z powrotem do kraju. W gazecie Wisting znalazł też krótkie wzmianki o mężczyźnie, który skończył na izbie wytrzeźwień po burdzie w centrum, o pijanym kierowcy, rodzinnej awanturze, nastolatkach przyłapanych na gorącym uczynku w piwnicy i psie, który wciąż się nie znalazł. Na samym końcu wspomniano, że policja otrzymała w poniedziałkowy poranek zgłoszenie o skradzionym fordzie escortie, który zniknął z parkingu przed fabryką pigmentów.

Wisting westchnął, a Ingrid posłała mu pytające spojrzenie. Wyjaśnił jej, że obserwowali z Haugenem człowieka, który najprawdopodobniej ukradł samochód po tym, jak oni przyjęli zgłoszenie ze Stavern.

– Mogliśmy go zatrzymać – zakończył i potrząsnął głową.

Jednocześnie do głowy przyszła mu pewna myśl. Przypomniał sobie, że jednym ze skradzionych w poniedziałek pojazdów był nowszy ford sierra, taki sam jak ten, którym uciekali włamywacze. Zerwał się i ruszył do salonu.

– Gdzie się wybierasz? – spytała Ingrid.

– Muszę tylko gdzieś zadzwonić – odrzekł Wisting, siadając na krześle obok telefonu.

Wybrał bezpośredni numer do wydziału śledczego i zerknął na zegarek, czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę. Było po godzinach, ale wątpił, by szef wydziału opuścił już komendę.

W końcu ktoś odebrał. Wisting rozpoznał głos Ovego Dokkena, który odezwał się tak, jak to miał w zwyczaju, czyli krótko i niezbyt uprzejmie.

Przedstawił się.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedział. – Dwa tygodnie temu z Hoffsgate skradziono czarnego forda sierrę. To może być ten sam wóz, który podpalono dziś w nocy.

– Trzymamy rękę na pulsie, Wisting – odparł Dokken tonem, który sugerował, że ma ochotę jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– I co, to ten sam wóz? – dociekał Wisting.

– Tak – potwierdził Dokken. – Mieli kradzione tablice, ale Haber znalazł numer nadwozia i porównał go z danymi z bazy.

– Ostatnio z okolic Hoff's gate znika dużo aut – ciągnął Wisting. – Przed tygodniem napisałem na ten temat notatkę.

– Przyjrzymy się temu – odparł kierownik wydziału.

– A jest coś nowego w sprawie? – Wisting pozwolił sobie na kolejne pytanie. – Podejrzewacie kogoś?

– Nie mamy żadnych konkretów – stwierdził Dokken. – Ale skupiamy się na środowiskach przestępczych z Groruddalen na wschód od Oslo.

Wisting rozważał przez chwilę, czy nie powiedzieć, że ma dwa wolne dni i w razie czego może pomóc, ale kierownik wydziału go uprzedził.

– Robi się z tego spora sprawa – wyjaśnił. – Koordynujemy śledztwo razem z dwoma innymi dystryktami, gdzie mieli podobne zdarzenia. Prokurator generalny zarządził, że mamy współpracować, będzie też nam pomagał Kripas. Przyślą swoich najlepszych ludzi.

Wisting przeniósł słuchawkę do drugiego ucha. Gdy on spał, koledzy zabrali się do organizowania spraw logistycznych i administracyjnych. Samo śledztwo jeszcze pewnie nawet nie ruszyło.

– Dzięki za telefon – zakończył Dokken.

Wisting zrozumiał, że na nic się nie przyda, ale mimo to poprosił, by dali mu znać, jeśli pojawi się coś, co będzie mógł zrobić.

Ingrid stała w drzwiach oparta o framugę.

– Dzwoniłeś do Ruperta? – zapytała.

Myśl o zabytkowym aucie zupełnie wyleciała Wistingowi z głowy. Dźwignął się z krzesła.

– Nie, ale zadzwonię po piątej – odparł.

Po obiedzie wyjął z szuflady książkę telefoniczną i wybrał numer do Ruperta. Opowiedział, że zupełnym przypadkiem ścigał przestępców,

którzy spalili swój samochód nieopodal odwiedzonej przez nich stodoły.

– Może to żaden przypadek – zamyślił się Rupert. – To przecież idealne miejsce, by się schować.

Wisting przyznał mu rację.

– Tak czy inaczej, to przypadek sprawił, że na miejsce przyjechał właściciel stodoły – ciągnął dalej.

– Spytałeś go o auto?

– Nie, ale mam jego numer telefonu – odrzekł Wisting, wyciągając rękę po notatnik, który odłożył na komodę. – Pomyślałem, że będziesz chciał sam z nim porozmawiać – dodał i przedykował nazwisko i numer.

Rupert Hansson zawahał się przez chwilę.

– Myślisz, że mogę zadzwonić do niego teraz, czy lepiej poczekać, aż ta sprawa z napadem na bank i pożarem ucichnie? – zapytał.

– Nie widzę powodów, żeby czekać – odparł Wisting. – Odezwij się do mnie później i powiedz, co z tego wyszło.

Rupert Hansson oddzwonił już dwadzieścia minut później.

– Robisz coś jutro? – chciał wiedzieć.

– Mam wolne – oznajmił Wisting.

– To może pojedziesz ze mną do tej stodoły? Umówiłem się z właścicielem na dwunastą.

Wisting nie potrzebował czasu do namysłu. Ciekawość i tak nie dałaby mu spokoju.

6

Skrecając z głównej drogi, zobaczył, że Rupert Hansson i właściciel stodoły są już na miejscu. Knut Heian miał na sobie ten sam roboczy kombinezon, co podczas rozmowy z policją w noc pożaru. Odśnieżył traktorem drogę prowadzącą między drzewami. Spalony wrak samochodu już odwieziono, śnieg przykrył większość śladów. O tym, co tu się zdarzyło, świadczyły tylko osmalone pnie kilku drzew.

Wisting wysiadł z auta, przywitał się z mężczyznami i ruszył za nimi do drzwi stodoły. Rupert niósł dwie latarki, Heian miał ze sobą siekiere.

– Nie mogłem znaleźć klucza – wyjaśnił. – Nie byłem w środku od piętnastu lat. Co najmniej.

Zbadał kłódkę w ten sam sposób co wcześniej Wisting. Wypuścił ją z dłoni i walnął w nią mocno obuchem siekiery. Zamek poddał się od razu. Właściciel zdjął kłódkę ze skobla, odłożył siekiere i uniósł ciężki żelazny wrzeczadz. Spróbował otworzyć drzwi, ale coś blokowało je od środka.

Wisting przemilczał fakt, że był tu wcześniej i zaglądał do wnętrza stodoły przez szparę w deskach.

– Dziwne – skomentował Heian.

Rupert Hansson przyszedł mu z pomocą. Każdy z nich chwycił za jedno ze skrzydeł drzwi i odciągnął je na tyle, na ile się dało.

– Tam wisi łańcuch – stwierdził Rupert, wskazując na szparę, która powstała.

Widząc to, Knut Heian skinął głową.

– Niech pan tu przytrzyma – powiedział, przywołując do drzwi Wistinga. Następnie chwycił siekiere i uniósł ją nad głowę, po czym posłał ostrze ku widocznemu przez szparę łańcuchowi. Uderzenie było celne, metal zadźwięczał, ale nie pękł. Mężczyzna uniósł siekiere kolejny raz, ale dopiero po trzeciej próbie łańcuch poddał się i spadł na ziemię z drugiej strony. Zaskrzypiały stare zawiasy i drzwi powoli się uchyliły.

Knut Heian ocenił uszkodzenia ostrza siekiery, po czym chwycił skrzydło drzwi i znów mocno pociągnął. Drewniane wrota zatrzymały się na grubej warstwie śniegu i właściciel musiał poprosić o pomoc Ruperta. Po chwili stodoła stała przed nimi otworem.

Blade zimowe światło wpadało do obszernego pomieszczenia. Heian kopnął leżący na ziemi łańcuch, nie komentując faktu, że wisiał na drzwiach.

Rupert Hansson włączył jedną z latarek, drugą podał Heianowi.

W stodole było więcej rupieci niż te, które Wisting i Rupert zdołali dostrzec przez szpary między deskami. Wszędzie stały pudła, skrzynki i beczki. Rzeczy kiedyś zebrane, schowane tu i zapomniane.

Wisting podszedł do beczki z lampą parafinową. Oprócz pudełka zapalek leżał na niej także długopis i kartka pocztowa ze standardowym motywem: słońce, morze i skały. Nie była zapisana.

W głębi pomieszczenia stał jeszcze wóz z ostrewką, a za nim cały sztapel składanych krzesel, wanna i stara, zniszczona komoda. Niektóre półki wzdłuż ścian zastawione były puszkami z farbą, słoikami, leżały na nich szmatki i zardzewiałe narzędzia.

– Bawiliśmy się tu jako dzieci – wyjaśnił Heian. – Nie było tu wtedy aż tylu rzeczy. Stodoła służyła głównie do suszenia siana – wskazał belki pod dachem. – Łaziliśmy po nich i toczyliśmy walki do chwili, aż ktoś tracił równowagę i spadał – dodał, przeciskając się między dwiema skrzynkami na ziemniaki. – A z takich skrzynek budowaliśmy labirynty albo ustawialiśmy je jedna na drugiej, wznosząc wielopiętrowe domy.

– Kiedy to było? – spytał Wisting.

Knut Heian przeczesał włosy dłonią.

– Pewnie jakoś na początku lat trzydziestych – odpowiedział.

– Czy auto już tu wtedy stało? – zagadnął Rupert Hansson, kierując promień latarki w głąb pomieszczenia.

Heian skinął głową.

– Było tu, od kiedy pamiętam. Często zakradaliśmy się pod brezent i siadaliśmy za kierownicą. Nie sięgałem stopami pedałów, nawet jak zsuwałem się na sam skraj fotela – zaśmiał się. – Musiałem wtedy mieć jakieś pięć czy sześć lat, więc tak, to na pewno było w latach trzydziestych. W każdym razie przed wojną.

– I samochód stał tu cały czas? – chciał się upewnić Rupert Hansson.

– Przynajmniej nic nie wiem o tym, żeby było inaczej – odrzekł Heian. – Stodoła należała do mojego wuja, a on zajmował się głównie handlem drewnem. Mój ojciec przejął jego gospodarstwo w 1954. Dlatego wszystko tak tu zostało od tamtego czasu. Mieliśmy swoje stodoły, tej wcale nie używaliśmy.

Drogę zagradzał im ustawiony pionowo arkusz blachy falistej. Heian podniósł go i odłożył na bok. Na ziemi za nim zobaczyli cienki materac, brudny i poplamiony, na nim zaś leżał wyblakły, złożony wełniany koc.

– Ktoś tu spał? – zainteresował się Wisting.

Heian trącił materac butem. W powietrze wzbiła się chmura kurzu, pył tańczył w świetle jego latarki.

– Nawet jeśli tak, to raczej dawno temu – odpowiedział.

Wisting zerknął na drzwi i leżący na ziemi łańcuch. Schylił się i podniósł koc. Leżała pod nim gazeta i kilka tygodników. Nie oglądając ich dokładniej, odłożył koc na miejsce, i ruszył za swoimi towarzyszami. Heian przesunął kilka ram okiennych bez szyb, torując im w ten sposób drogę do auta. Przykrywający je brezent był zakurzony i upstrzony ptasimi odchodami. Heian podał latarkę Wistingowi i chwycił brezent w obie ręce. Pociągnął go trochę do siebie, a potem w bok.

Trzej mężczyźni zamarli bez ruchu, czekając, aż opadnie kurz.

Pod brezentem skrywał się klasyczny zabytkowy samochód o miękkich kształtach, zamkniętej karoserii, długiej masce i szerokich bocznych progach. Był podniszczony, brudny i poobijany, daleki od doskonałości. Lakier musiał być kiedyś czarny i błyszczący. Metal zdążył przez lata skorodować, duże powierzchnie pokrywał biały osad przypominający sól. W kilku miejscach lakieru w ogóle już nie było.

Lewa przednia opona przegniła. Zawieszenie przerdzewiało tak bardzo, że w końcu pękło, a auto przechyliło się na jedną stronę. To, co zostało z felg, porastał zielony mech.

Wisting podszedł bliżej i poświecił do wnętrza kabiny. Szare szkło zarośnięte było pajęczynami, siedzenia wyglądały tak, jakby w którymś momencie zagnieździły się w nich myszy. Gąbki wcale nie było, w kilku miejscach sprężyny przebiły skórzane obicia.

Wisting cofnął się o krok i przyjrzał samochodowi z odległości. Przedni zderzak był z lewej strony wygięty, ale raczej można było założyć, że w chwili, gdy auto trafiło do stodoły, nadawało się do jazdy.

– Co to właściwie za marka? – spytał Knut Heian.

– Minerva – stwierdził Rupert. – Widywałem takie na zdjęciach. Rocznik mniej więcej 1915.

– Nie ma tablic – zauważył Wisting.

Pozostali pokiwali głowami.

Rupert zbliżył się do maski.

– Mogę? – spytał, badając zamek, który utrzymywał klapę na miejscu.

– Oczywiście – Heian skinął głową i podszedł do samochodu.

Rupert uniósł klapę, rozległ się szcęk metalu. Silnik wydawał się prosty. Żeliwny blok z węzłem paliwowym, tłokami, wentylatorem z przetartym paskiem, chłodnicą i płataniną przewodów.

– I jak to tam wygląda? – spytał Wisting.

Rupert pomacał niektóre elementy silnika.

– Nie tak znów najgorzej – stwierdził i zwrócił się do Heiana. – Byłby pan zainteresowany sprzedażą?

Mężczyzna posłał mu uśmiech.

– Nie zależy mi na trzymaniu go tutaj – odrzekł. – Ale nie jestem pewien, czy decyzja o sprzedaży należy do mnie. W gruncie rzeczy to przecież nie mój wóz.

Wisting zajrzał pod maskę.

– Dasz radę znaleźć numer silnika? – zapytał.

Rupert przełożył latarkę do drugiej dłoni i pochylił się nad pojazdem.

– Zobaczmy... – wymamrotał.

Wisting odwrócił się do Heiana.

– Mówi pan, że auto stoi tu, odkąd pan pamięta – zaczął. – Czy wie pan, jak tu trafiło?

Heian znów przeczesał włosy palcami.

– Właściwie to nie – odrzekł. – Ale mówiło się u nas w domu coś o samochodzie w 1954, kiedy mój ojciec przejął gospodarstwo. Wujek Harald jeszcze wtedy żył, rozmawiano o umowie dotyczącej przechowywania, zawartej przez dziadka.

– Nie wie pan, z kim pański dziadek zawarł tę umowę?

– Nie, to auto było potem czymś, o czym się u nas nie wspominało. Zawsze otaczała je aura tajemnicy. Nigdy się nie dowiedziałem, kto je tu odstawił ani czemu u nas zostało, ale zrozumiałem, że dziadek musiał na tym nieźle zarobić.

– Czy on nadal żyje? – spytał Wisting.

Heian zaśmiał się krótko, a policjant dokonał szybkich obliczeń i stwierdził, że dziadek jego rozmówcy musiałyby mieć teraz co najmniej sto lat.

– Jak się nazywał? – wypytywał dalej.

– Peder. Peder Heian. Wujek Harald wspominał, że kiedyś próbował podpytać dziadka o ten samochód, ale nie otrzymał od niego żadnej odpowiedzi. Dziadek tylko się zezłościł, i to tak, że wujek Harald nie wrócił już nigdy do tematu.

– Jak tu wchodziliście jako dzieci? – chciał wiedzieć Wisting.

– Tam na górze jest w ścianie takie okienko – wyjaśnił Heian, wskazując palcem. – Przystawialiśmy do ściany drabinę, wspinaliśmy się po niej, a potem wciągaliśmy ją do środka.

Wisting podniósł wzrok. Okienko było zamknięte. Tuż przed nim pod dachem parę belek tworzyło coś w rodzaju wąskiego podestu, będącego w stanie z trudem pomieścić kilku małych chłopców.

– Zobaczmy – wymamrotał pochylony nad silnikiem Rupert Hansson. Znalazł szmatkę, którą przecierał teraz poszczególne elementy.

– Mam numer – oświadczył i odczytał odcisnięte w żeliwie cyfry.

Wisting wyjął notatnik.

– Jeszcze raz – poprosił i zapisał to, co dyktował mu Rupert. Niektóre cyfry trudno było odczytać i minęła chwila, zanim zyskali pewność co do każdej z nich.

– Gdzieś musi być jakiś rejestr – stwierdził Wisting.

– W Centralnej Ewidencji Pojazdów są wszystkie wozy od 1899 – odpowiedział Rupert. – Prowadzi ją policja w Oslo.

– A numer podwozia? – spytał Wisting. – Może też uda nam się go znaleźć?

– Na ogół jest umieszczany w pobliżu fotela kierowcy – odparł Rupert, otwierając drzwi. Pochylił się i obejrzał podłogę auta.

– Oto i on – wskazał metalową tabliczkę przytwierdzoną do wewnętrznej strony karoserii.

Wisting poprosił, by podyktował mu numer. Składał się z zaledwie pięciu cyfr: 55356.

Rupert Hansson usadowił się za kierownicą i obejrzał deskę rozdzielczą. Knut Heian stanął na bocznym progu obok niego.

– Jak pan myśli, ile może być wart?

Rupert zwlekał z odpowiedzią.

– Trudno orzec. Wóz jest do restauracji. Znam w klubie faceta, który kilka lat temu zabrał się do podobnego projektu. Kupił starego Pathfinderera. Wydaje mi się, że dał za auto pięćdziesiąt tysięcy, ale wydał

dużo więcej na doprowadzenie go do znośnego stanu.

Knut Heian zwilżył wargi końcem języka, jakby smakując myśli o kwocie odpowiadającej połowie jego rocznej pensji.

Wisting chciał wspomnieć to, co usłyszał od Ruperta – że autem tej samej marki jeździł król Haakon, ale w końcu zrezygnował. Jego towarzysze będą pewnie próbowali dobić targu, a taka uwaga mogłaby tylko podkreślić cenę.

Okrzyżował samochód, wciąż z latarką w dłoni, i przyjrzał się wgnieceniu. Nie było wątpliwości, że pojazd w coś wjechał. Zderzak był wygięty, karoseria porysowana wzdłuż całego boku. Zderzenie uszkodziło pewnie system zawieszenia, które w końcu postanowiło się poddać.

Wisting przesunął dłoń wzdłuż uszkodzeń, próbując oszacować, jak głęboko sięgają. Tuż nad tylnym błotnikiem zauważył otwór. Był idealnie okrągły, trochę węższy od jego palca.

Otworzył tylne drzwi i wetknął głowę do środka, kierując włączoną latarkę przez otwór do wnętrza kabiny. Snop światła zatrzymał się na dziurze w oparciu tylnego siedzenia.

Na nowo obejrzał otwór z zewnątrz i dopiero uświadomił sobie, na co właściwie patrzy. Na ślad po pocisku.

7

Część brezentowej płachty zakrywała jeszcze tył auta. Wisting ściągnął ją i obejrzał dokładnie sfatygowaną karoserię. Nie znalazł otworu wylotowego. A to oznaczało, że pocisk utkwiał we wnętrzu auta, gdzieś za oparciem tylnego siedzenia.

Udrapował brezent na tylnym błotniku tak, by zasłaniał dziurę po kuli. Podszedł do swoich towarzyszy.

– Mam propozycję – powiedział. – Mogę spróbować ustalić, dlaczego to auto tu stoi i kto jest jego właścicielem. A potem spisalibyśmy umowę, która satysfakcjonowałaby wszystkich.

Mężczyźni pokiwali głowami.

– A do tego czasu niech auto sobie tutaj stoi i nie pokazujemy go nikomu innemu – dodał, zerkając na Knuta Heiana.

– A jeśli nie uda się panu tego ustalić? – spytał właściciel stodoły.

– To będzie pan mógł po prostu sprzedać samochód, a jeśli potem pojawi się ktoś, kto będzie sobie do niego rościł prawa, to już będzie problem Ruperta.

Najwyraźniej to rozwiązanie zadowalało obu mężczyzn. Wisting chwycił brezentową płachtę i przy pomocy towarzyszy przykrył nią auto. Wszyscy trzej wyszli ze stodoły i zamknęli drzwi.

– Ma pan inną kłódkę? – spytał Wisting.

– Przywiozę jakąś jutro – zapewnił go Heian, na razie wieszając zniszczoną kłódkę na skoblu i zabezpieczając w ten sposób wrzeciędz.

Rupert Hansson wyciągnął rękę do właściciela.

– To co, umowa stoi?

– Stoi – przytaknął Heian i uściśnął mocno dłoń Ruperta, a zaraz potem Wistinga.

Policjant i jego kolega wsiedli do swoich aut, Heian zaś wdrapał się do kabiny traktora.

Wisting zatrzymał sobie jedną z latarek Ruperta. Wycofał samochód z bocznej drogi, wrzucił bieg i ruszył w pośpiechu, licząc, że zdąży odjechać, zanim kolega przypomni sobie o swojej własności i poprosi o jej zwrot.

Skierował się w stronę Tveidalen, ale planował za jakiś kwadrans zawrócić i obejrzeć auto jeszcze raz w pojedynkę. Droga, którą jechał, była jedną z możliwych tras ucieczki włamywaczy, ale chyba najmniej prawdopodobną, przynajmniej jeśli się założy, że za napadem stał gang z Oslo. Droga przez Tveidalen wiodła na zachód, ku granicy z okręgiem Telemark. Złodzieje z Oslo woleliby pewnie pojechać z przeciwnym kierunkiem.

Znów zaczął padać śnieg. Wycieraczki odgarniały wilgotne białe płatki z przedniej szyby. Szosa była zupełnie pusta, po obu jej stronach leżały białe hałdy. Wisting zaczął rozglądać się za miejscem, gdzie mógłby zawrócić i ruszyć z powrotem do stodoły. Niedaleko szopy znajdowało się kilka domków letniskowych, ale żadna z bocznych dróg nie była odśnieżona, więc zaczął się zastanawiać, czy nie wykonać szybkiego manewru na środku pustej szosy.

Dopiero gdy minął stojak ze skrzynkami na listy należącymi do domków letniskowych, coś sobie uświadomił. Zerknął w lusterko, by się upewnić, czy się nie mylił: Na jednej z zaśnieżonych bocznych drózek widać było wyraźne ślady opon. To mógł być, rzecz jasna, czysty przypadek, ale doświadczenie podpowiadało mu, że warto ufać swojej intuicji.

Zwolnił, zjechał na pobocze i zawrócił. Zaparkował przy statywie ze skrzynkami i wysiadł. Ślady prowadziły w jednym tylko kierunku, od domków letniskowych na główną drogę. Widać było wyraźnie, że kierowca

miał kłopoty z pokonaniem hałdy śniegu na poboczu i że ktoś musiał popchnąć pojazd w tym miejscu. Płynął z tego wniosek, że ktoś wjechał między domki, jeszcze zanim zaczęło padać, i wrócił na drogę jakiś czas później.

Wisting przeskoczył białą hałdę i zapadł się w śniegu do połowy łydki.

Były tu ślady dwóch butów o całkiem sporym numerze. Jakiś mężczyzna musiał stać za autem i je pchać. Jeden facet siedzący za kierownicą i drugi, który mu pomagał.

Dwaj włamywacze?

Wisting zastanowił się, co zrobić – czy dać znać kolegom z kryminalnego, czy wejść po śladach między drzewa. Zdecydował się w końcu na to drugie. Ślady na śniegu nie musiały w końcu nic oznaczać. Nie miał pewności, że jego odkrycie jest na tyle ważne, by wszczynać alarm.

Ruszył w kierunku wyznaczonym przez ślad opon, cały czas brodząc w śniegu. Już po kilku krokach miał buty pełne białego puchu. Gałęzie drzew rosnących po obu stronach wąskiej dróżki uginały się pod ciężarem śnieżnych czap tuż nad jego głową. Po jakichś pięciuset metrach ślad skręcał w lewo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i znikał za furtką. Na niewielkim wzniesieniu stał pomalowany na czerwono domek. Samochód musiał parkować pomiędzy nim a ogrodzeniem, na niewielkiej kwadratowej przestrzeni, gdzie spod cienkiej warstwy śniegu wystawały jeszcze pożółkłe żdźbła trawy. Ślady butów wskazywały, że przebywający tu ludzie zrobili kilka kursów pomiędzy domkiem a autem.

Wisting wszedł na taras, przyłożył dłonie do szyby w oknie i zajrzał do wnętrza domku. Urządzone było z prostotą, w izbie stały nowoczesne sosnowe meble. Z miejsca, które zajmował, widział stolik, sofę i dwa fotele. Na jednej ze ścian zamontowano solidny piec z żeliwa opalany drewnem. Wisting ruszył do okna obok. Malowana na niebiesko kuchnia z kilkoma martwymi muchami na parapecie. Na ławie leżały serwety. Oprócz tego w środku stały szafki, stół i kuchenka gazowa. Wszystko wyglądało bardzo schludnie, zupełnie jakby ostatni użytkownik pilnował, by nie zostawić po

sobie śladów.

Wisting stał w śniegu, rozmyślając. Ten domek był dokładnie tym, czego potrzebują włamywacze. Miejscem, w którym można się ukryć na kilka godzin po napadzie, zastanowić, co dalej, i przeliczyć łup. To ostatnie wiązało się z koniecznością rozprucia setek zapieczętowanych kopert z nocnego sejfu. Tych kopert i dołączonych do nich formularzy z rozliczeniami trzeba było się pozbyć, bo stanowiły bezwzględny dowód obciążający.

Wisting cofnął się o krok i zerknął na komin. Nie było na nim śniegu. Biały puch stopniał zapewne pod wpływem ciepła, więc ktoś musiał palić w piecu.

Ale to nie musiało oznaczać niczego ważnego. Słupek rtęci wskazywał jakieś zero stopni, to naturalne, że przy takich temperaturach rozpala się ogień.

Na ścianie domku wisiała niewielka metalowa tabliczka z numerem: H292. Wisting sięgnął po notatnik i ołówek. W urzędzie gminy na pewno był rejestr domków letniskowych. Tej jesieni odnotowano siedemnaście włamań do domków nad Navefjorden. Wisting skorzystał z pomocy urzędników pracujących przy ewidencji gruntów i budynków, by odnaleźć poszkodowanych właścicieli. Ustalenie, do kogo należy domek H292 i kto go odwiedzał, nie powinno nastręczyć trudności. Przy odrobinie szczęścia nazwisko właściciela będzie widniało obok numeru na jednej ze skrzynek pocztowych przy drodze.

Przypomniało mu się inne włamanie z poprzedniego roku, kiedy to przestępcy nie wdarli się do środka, ale po prostu skorzystali z pozostawionych na zewnątrz kluczy. Właściciele domków przeważnie trzymali zapasowy klucz gdzieś pod kamieniem, na belce na tarasie, pod gzymsem albo w szopie na drewno.

Podmuch wiatru strząsnął śnieg z pobliskich drzew. Wisting rozejrzył się dookoła. Na tarasie przed domkiem stał stary, wycięty z drewnianego pnia fotel. Podeszedł bliżej i zajrzał pod spód. Znalazł kilka martwych

żuków, ale żadnego klucza.

Rozejrzał się w poszukiwaniu innych kryjówek i zauważył ślady stóp biegnące wzdłuż jednej ze ścian domku. Ruszył po nich i zbadał dłonią tył rynny, przy której się urywały. Jego palce trafiły na gwóźdź z zawieszonym na nim kluczem.

Chwycił go i stał przez chwilę, przyglądając mu się uważnie. To właściwie nielegalne, wchodzić tak po prostu do czyjś domku, pomyślał. Ale z drugiej strony mógł mieć świeży jeszcze trop na wyciągnięcie ręki. W piecu leżały być może zwęglone pozostałości formularzy bankowych, dopalające się w ostatnich resztkach żaru.

Z miejsca, w którym stał, roztaczał się widok na Mørjefjorden i wyspę Håøya. Przepląwał tam właśnie gazowiec, kierując się w głąb fiordu, pewnie ku obszarom przemysłowym w Grenland.

Wisting dał sobie trochę czasu na podjęcie decyzji. W końcu zacisnął klucz w dłoni, ruszył zdecydowanym krokiem do drzwi i wsunął go w zamek. Zanim jeszcze go obrócił, obejrzał się przez ramię. Po chwili był już w środku.

W domku było jeszcze ciepło i unosił się zapach papierosowego dymu.

Wisting przeskoczył z wycieraczki na chodnik w sieni. Następnie zdjął buty i dalej poszedł w samych skarpetkach. Szukał czegoś, co mogłoby mu podpowiedzieć, kto był w środku i czy dałoby się jakoś powiązać te osoby z napadem na bank.

Na stoliku w salonie leżała księga gości. Wisting naciągnął rękaw swetra i zasłonił nim dłoń, by nie zostawiać odcisków palców. Przerzucił kilka kart w poszukiwaniu ostatnich wpisów. Najnowszy z nich opatrzony był datą 7 września i nagłówkiem „Dzięki za to lato!”. Najwidoczniej osoby, które spędziły tu ostatnią dobę, nie korzystały z księgi.

Wrócił do pierwszych stron, chcąc sprawdzić, czy właściciel napisał coś o tym miejscu. „Witaj w Morskiej Szczelinie” – rozpoczynała się prezentacja. „Będzie nami miło, jeśli zostawisz kilka słów. Vivian i Roger”.

To już coś. Vivian i Roger.

Piec zdążył ostygnąć. Gdy Wisting otworzył drzwiczki, na podłogę wysypało się trochę popiołu. Było zbyt ciemno, ażeby sprawdzić, czy coś jest wewnątrz. Policjant wziął z półki pudełko zapalek, zapalił jedną z nich i wetknął do środka. Szary popiół, to wszystko.

Chwycił pogrzebacz, rozgarnął szary pył i zapalił nową zapalkę, ale nie znalazł niczego, co mogłoby sugerować, że w piecu paliło się coś innego niż drewno.

W domku były dwie sypialnie. Jedna z łóżem małżeńskim, druga – z łózkami piętrowymi. Łącznie mogło tu spać siedem osób. Wszystkie łóżka były zasłane, a szafki nocne puste.

Wisting poszedł do kuchni. Zasłony w oknach wisiały nieco krzywo, jakby ktoś je zaciągnął, a potem odsłonił okno, nie poprawiając ich jak należy.

W lodówce leżała butelka białego wina, a w szafce z jedzeniem znajdowały się jedynie puszki i trochę suchych produktów. Kosz na śmieci pod zlewem był pusty.

Wychodząc z domku, Wisting potknął się o chodnik. Pochylił się, by go poprawić, i zauważył leżącą pod spodem monetę jednokoronową. Już miał ją podnieść, lecz zmienił zdanie. Zamiast tego uklęknął i zajrzał pod sofę. Pomiedzy kłębami kurzu dostrzegł tam jeszcze trzy koronówki i jedną większą monetę.

8

Wisting klęczał dłuższą chwilę z przekrzywioną głową, gapiąc się na leżące pod sofą monety. W końcu wstał i spróbował zebrać myśli.

Dwaj mężczyźni przyjechali do domku w kompletnej głuszy. Zaciągnęli zasłony. Upuścili pieniądze na podłogę. W sumie wszystko pasowało do hipotezy, że ukryli się tu włamywacze, ale każdy element tej teorii można było równie dobrze wytłumaczyć na inne sposoby. To miejsce nie musiało mieć nic wspólnego ze sprawą. Tak czy inaczej, nie mógł już dłużej zachować tych informacji tylko dla siebie.

Wyszedł, zamknął drzwi i odwiesił klucz na miejsce, a potem wrócił do auta, idąc po własnych śladach. Obejrzał dokładnie skrzynki pocztowe. Nie było na nich numerów domków, ale jedna z nich opatrzona była imionami i nazwiskiem Vivian i Roger Brunowie.

W skrzynce znajdowała się ulotka firmy wycinającej drzewa i jeszcze jedna, reklamująca usługi rzemieślnika wykonującego „wszystkie niezbędne naprawy”. Nie było tam jednak żadnej koperty z adresem. Policjanci w Kripos mieli bezpośredni dostęp do bazy danych Głównego Urzędu Statystycznego. Na pewno prościej będzie skorzystać z tych danych niż jechać do urzędu gminy i grzebać w ich papierach. Wisting miał nadzieję, że w przyszłości uda się opracować system dający wszystkim dystryktom policyjnym dostęp do takich informacji.

Stare auto z dziurą po kuli mogło poczekać. Wisting pojechał do miasta i zaparkował na ulicy naprzeciwko budynku komendy.

W lokalach wydziału śledczego było spokojniej, niż się spodziewał. Z najbliższego biura dochodziło stukanie klawiszy maszyny do pisania. W pokoju obok ktoś się śmiał, trzech mężczyźni wyszli z sali konferencyjnej i rozeszli się do swoich gabinetów. Wisting nie znał żadnego z nich i założył, że to śledczy z Kripos albo z innego dystryktu.

Drzwi do biura szefa wydziału stały otwarte. Ove Dokken siedział za swoim biurkiem z papierosem przyklejonym do kącika warg i czytał raport. Wzdłuż i wszerz jego twarzy biegły głębokie bruzdy, każda z nich niczym ślad podjętych trudnych decyzji. Wisting marzył o tym, by mieć chociaż ułamek doświadczenia i wiedzy, które zdobył Dokken podczas długiej kariery w policji.

Mężczyzna, zupełnie jakby poczuł, że jest obserwowany, uniósł głowę i zerknął na Wistinga zza chmury tytoniowego dymu.

Młody policjant wszedł do gabinetu.

– Ma pan dwie minuty? – zapytał.

Dokken znów wlepił wzrok w papiery.

– Właściwie to nie – odrzekł.

– Miałem dziś coś do załatwienia w Tveidalen – powiedział Wisting, kładąc prawą dłoń na oparciu krzesła dla petentów. – Niedaleko miejsca, w którym włamywacze podpalili samochód.

Dokken doczytał do końca zdanie, po czym odłożył raport i machnął ręką na znak, że chce usłyszeć więcej.

– Wygląda na to, że w pobliskim domku letniskowym mieszkali w ostatnim czasie jacyś ludzie.

– I?

– Znalazłem w śniegu ślady pojazdu i dwóch osób. Musieli przyjechać, zanim spadł śnieg, mieli kłopoty z wypchnięciem auta na główną drogę.

Wisting odniósł wrażenie, że szef oddziału czeka na coś więcej. Postanowił nie mówić, że wszedł do domku.

– Ludzie przyjeżdżają tam właściwie tylko latem – ciągnął. – Pomyślałem o tych włamywaczach, że to może właśnie oni się tam

zatrzymali.

– Dobrze – skinął głową szef oddziału i zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce. – Ciekawa myśl. Napisz notatkę i prześlij ją do mnie.

Wskazał na niebieski kosz na korespondencję oznaczony napisem „Zawiadomienia”. Leżał w nim już stosik notatek.

– W porządku – skinął głową Wisting. – Mógłbym skorzystać z któregoś z waszych biur?

Dokken wyłowił z paczki nowego papierosa.

– Możesz usiąść w gabinecie Wrangsunda – powiedział, zerkając ponad ramieniem swojego rozmówcy. – Jest na zwolnieniu lekarskim i raczej już nie wróci.

Gabinet znajdował się na końcu korytarza. Wyglądał na opuszczony w pośpiechu, zupełnie jakby śledczy, do którego należał, zachorował nagle i poważnie. Na biurku leżał otwarty notatnik, obok niego długopis. W maszynę do pisania wkręcono kartkę papieru, w kubku z niedopitą kawą utworzyła się błona zielonkawej pleśni.

Wisting odsłonił okno, by wpuścić do środka trochę światła. Po przeciwnej stronie ulicy mieściła się kwatera Armii Zbawienia. Dwaj mężczyźni przenosili właśnie skrzynkę na dary do samochodu dostawczego.

Usiadł za biurkiem i przystawił sobie krzesło. Wypróbował sprężyny, kołysząc się na wszystkie strony. Na biurku przed nim stało zdjęcie rodziny. Wiedział, że widniejący na nim mężczyzna został zawieszony w wykonywaniu obowiązków po tym, jak zaczęto go podejrzewać o kradzieże z magazynu przedmiotów skonfiskowanych w śledztwach. Ale o tym nie mówiło się głośno. Oficjalnie policjant przebywa na długotrwałym zwolnieniu lekarskim.

Na wkręconym w maszynę arkuszu zaczęto pisać raport z kontroli sklepów handlujących używanymi rzeczami. Wisting wyciągnął papier z maszyny i odłożył go na bok.

Na sporządzenie notatki potrzebował piętnastu minut. Próbował

formułować ją na wiele sposobów, ale za każdym razem treść wydawała się niezbyt ciekawa. Wydarzenia z reguły bledły, gdy tylko trafiały na papier.

W końcu Wisting wykręcił arkusz z maszyny, wygładził go i złożył na dole swój podpis.

Jeden z doświadczonych śledczych przechodził właśnie obok biura. Przystanął na jego widok, cofnął się o krok i posłał mu pytające spojrzenie.

– Korzystam tylko z maszyny do pisania – wyjaśnił Wisting.

Śledczy wzruszył ramionami i poszedł dalej. Wisting natomiast zdjął z półki niebieski segregator zawierający wewnętrzny rejestr jednostek policyjnych w Norwegii. Odnalazł dystrykt Oslo i numer do wydziału drogowego.

Po drugiej stronie słuchawki odezwał się poirytowany męski głos. Wisting przedstawił się i powiedział, skąd dzwoni.

– Nie wiem, czy jest pan właściwą osobą w tej sprawie, ale próbuję znaleźć właściciela starego samochodu.

– Proszę sprawdzić w centralnej ewidencji pojazdów – odparł jego rozmówca.

– Chodzi o zabytkowe auto – wyjaśnił Wisting. – Z czasów, gdy w policyjnych rejestrach zapisywano numery podwozia.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – przyznał mężczyzna. – Ale wiem, z kim powinien pan pogadać. Z Arnem Vikene. On sam ma zabytkowy samochód i należy do policyjnego klubu historyków.

Wisting zanotował to nazwisko.

– Mógłby mnie pan do niego przełączyć?

– Pracuje w administracji. Przełączę pana do centrali, proszę tam zapytać.

Wisting podziękował i uzbroił się w cierpliwość. Przełączano go kilka razy, zanim wreszcie ktoś podniósł słuchawkę we właściwym biurze. Dowiedział się tam, że Arne Vikene miał wolne, ale będzie obecny następnego dnia. Otrzymał do niego numer bezpośredni i podziękował za pomoc. Zabrał swoją notatkę i zamknął za sobą drzwi.

Dokken siedział u siebie ze słuchawką przy uchu i kolejnym papierosem w kąciku ust. Skinął głową, wskazując stosik dokumentów w niebieskim koszyku, po czym wrócił do rozmowy. Wisting odłożył notatkę. Dokken przeniósł słuchawkę do drugiej dłoni, wolną ręką chwycił arkusz i wsunął go na sam spód stosu, nawet nie rzucając nań okiem.

9

O wpół do czwartej Wisting wrócił do starej stodoły i zaparkował przy zwęglonych pniach drzew. Ich nagie, sterczące na wszystkie strony gałęzie przypominały mu dekoracje teatralne, wyglądały nieco upiornie w półmroku, który już zapadł.

Wisting wziął ze sobą latarkę Ruperta, uchylił drzwi stodoły i zamknął je z powrotem, gdy tylko wślizgnął się do środka. Skierował strumień światła na łańcuch na podłodze. Kłódka nie była tak zniszczona jak ta na zewnątrz, ale i ona wisiała tu przez długi czas. Teoretycznie dałoby się pewnie przewlec łańcuch między okuciami po wewnętrznej stronie drzwi, gdy te były otwarte, i zacisnąć go, jednocześnie zamykając wrota. Zostawić niewielką szparę i spiąć łańcuch kłódką, po czym przecisnąć ją przez wąski otwór między skrzydłami drzwi. Ale nawet jeśli zamknięcie stodoły równocześnie z zewnątrz i od środka było wykonalne, to jednak wydawało się niezbyt sensowne.

Gdyby Wisting był śledczym badającym miejsce zdarzenia, schowałby łańcuch i kłódkę do plastikowej torby na dowody. W tej sytuacji zostawił jedno i drugie na ziemi.

Ruszył dalej i przystanął nad brudnym materacem. Był nadgryziony przez myszy. Pozostawione przez zwierzątka otwory przypominały dziury po kulach albo śrucie.

Leżąca na materacu gazeta okazała się dziennikiem „VG” z 24 lipca 1973 roku. Pierwszą stronę poświęcono palestyńskim bojownikom, którzy

porwali boeinga lecącego z Amsterdamu do Tokio. Historia znalazła swój finał w Libii, gdzie porywacze uwolnili zakładników, po czym wysadzili samolot w powietrze. Od tamtego dnia minęło dziesięć lat. Wisting był wtedy nastolatkiem i zdawało mu się, że pamięta, jak dorośli rozmawiali o tej sprawie.

Obok gazety leżało kilka numerów „Zagadek Kryminalnych”. Okładki czasopisma były kolorowe, widniały na nich roznegliżowane kobiety. Jeden z numerów zawierał między innymi wywiad ze słynnym adwokatem Alfem Nordhusem oraz sensacyjne reportaże dotyczące autentycznych spraw kryminalnych.

Wisting spojrzął na drzwi stodoły. Czasopisma nie były pornograficzne, ale z pewnością mogły ekscytować chłopców w latach siedemdziesiątych. Materac mógł być pozostałością po nastolatkach bawiących się w stodole tak jak Knut Heian w latach trzydziestych. A to mogło być z kolei wyjaśnieniem kłódki po wewnętrznej stronie drzwi.

Wisting odłożył czasopisma i zauważył szary plecak, wciśnięty między kankę na mleko a drewnianą skrzynkę. Coś przylepiło mu się do ucha, gdy pochylił się, by go podnieść. Była to pajęczyna oklejona martwymi muchami. Strząsnął ją kilkoma niecierpliwymi ruchami dłoni.

Gdy podniósł plecak, uderzył go zgniły zapach. W wolnej przestrzeni tuż za nim stała para brązowych wysokich butów z podwiniętymi cholewami. Wisting sięgnął także po nie. Były zniszczone, prawie zupełnie zużyte, ze zdartymi obcasami i dziurami w skórze.

Plecak miał trzy zewnętrzne kieszenie, dwie po bokach i jedną z przodu. W lewej kieszeni znalazł trochę narzędzi: śrubokręt, kombinerki i nóż. Druga z bocznych kieszeni była pusta, ale za to w przedniej leżała biała, zaklejona koperta. Ktoś napisał na niej kanciastymi literami imię Anna.

Wisting zastanawiał się przez chwilę, czy ją otworzyć, ale doszedł do wniosku, że najlepiej nie ruszać niczego bez potrzeby, i odłożył kopertę na miejsce.

Wewnątrz plecaka był sweter, koszula, para grubych skarpet i spodnie.

Wisting zaczął pakować wszystko z powrotem do środka i zauważył, że plecak oznaczony jest imieniem i nazwiskiem właściciela. Na samej górze, po wewnętrznej stronie klapy, ktoś napisał czarnym flamastrem dwa słowa. Pierwszym z nich było z pewnością „Alfred”. Nazwisko okazało się trudniejsze do odszyfrowania. Wilgoć rozmyła litery, ale można było założyć, że układają się one w słowo „Danielsen” albo „Davidsen”.

Wisting odstawił plecak na miejsce i poświecił latarką dookoła w poszukiwaniu kolejnych śladów albo wskazówek mogących podpowiedzieć, kto przebywał w stodole.

Nagle zamarł, słysząc jakiś odgłos, dobiegający od wschodniej ściany stodoły. Zgasił latarkę i stał przez chwilę bez ruchu, nasłuchując. Przez szpary w deskach wpadały do środka resztki szarego zimowego światła. Na zewnątrz poruszały się jakieś nieregularne cienie. Znów rozległ się ten sam dźwięk. Dopiero po chwili zrozumiał, że to wiatr wprawia w ruch drzewa. Silniejsze podmuchy sprawiały, że gałęzie uderzały o ściany i dach stodoły.

Znów włączył latarkę. Na ziemi leżał martwy gołąb z zadartymi do góry nogami. Zostały z niego tylko wąskie kostki i popielate pióra. Resztę zjadły szczury i inne gryzonie.

Wisting przeskoczył ptasie truchło i uniósł materac. Postawił go na boku, by sprawdzić, co jest pod spodem. Ciemna warstewka ziemi upstrzona była śladami po owadach, które wyryły sobie w niej system dróg i korytarzy. Dwa wyschnięte szare żuki leżały brzuchem do góry.

Już miał odłożyć materac, gdy nagle zauważył klucz. Był niemal zupełnie przykryty ziemią, musiał podważyć go paznokciem, by go podnieść.

Klucz był niewielki i płaski. Potarł go palcami, usuwając ziemię z metalu, ale pozostał brązowy osad, którego nie był w stanie zetrzeć.

Pomyślał, że to pewnie kluczyk do kłódki. Podeszedł do drzwi stodoły, podniósł łańcuch i spróbował wsunąć klucz do dziurki. Wszedł do środka bez problemu. Ale kłódka była uszkodzona po uderzeniu siekierą Knute

Heiana i kluczyka nie dało się przekręcić.

Wisting rzucił kłódkę i łańcuch na ziemię, nie wyjmując klucza z dziurki.

Dotarł do niego warkot silnika przejeżdżającej drogą ciężarówki. Było już po czwartej. Poczłł głód. Ingrid zaczęła się już pewnie zastanawiać, gdzie się podziewa jej mąż.

Skierował światło latarki w stronę starego samochodu w głębi stodoły i ruszył w jego stronę, torując sobie drogę między rupieciami. Samo uporządkowanie tego miejsca, gdy przyjdzie już czas na wyciągnięcie stąd zabytkowego auta, będzie pewnie nie lada wyzwaniem.

Pociągnął za brezentową płachtę, wzbijając w powietrze chmurę kurzu. Tym razem zsunął ją tylko do połowy, chcąc przyjrzeć się bliżej otworowi po pocisku.

Miał on niemal centymetr średnicy. Oznaczało to, że kula została wystrzelona z broni stosunkowo dużego kalibru. Wskazywała na to również sama siła uderzenia. Pocisk przebił karoserię i utkwiał gdzieś za oparciem tylnego siedzenia. Zapewne trzeba będzie zdemontować część auta, by się do niego dostać. Dopiero wtedy będzie można dokładnie stwierdzić, jaki to rodzaj amunicji.

Wisting otworzył drzwi samochodu i wsiadł do środka. Tylnie siedzenie przypominało sofę. Było trochę nierówne, ale całkiem wygodne.

Z kieszeni na tyle przedniego fotela wystawała gazeta. Wisting wyciągnął ją i poczuł, że serce zaczyna mu bić nieco szybciej. Może dzięki niej uda mu się ustalić, kiedy wstawiono tu auto.

Gazeta okazała się dziennikiem „Aftenposten” z poniedziałku 17 sierpnia 1925 roku. Miała więc niemal sześćdziesiąt lat. Dużą część pierwszej strony poświęcono trwającemu strajkowi pracowników kolei. „Zapasy mięsa i słoniny w Kristianii zaczynają topnieć”. Pisano również, że Roald Amundsen szykuje wyprawę na biegun północny statkiem powietrznym. Dłuższy artykuł dotyczył niemieckich reparacji po pierwszej wojnie światowej.

Najciekawsza ze wszystkiego była chyba sama data. Niewykluczone, że gazeta była jeszcze całkiem aktualna w dniu, gdy zabrano ją na jej ostatnią przejażdżkę tym samochodem.

Wisting odłożył dziennik na miejsce i przesiadł się na przedni fotel. Znalazł schowek i otworzył go w nadziei na znalezienie dowodu rejestracyjnego albo innej dokumentacji auta, lecz w środku była tylko para porośniętych pleśnią skórzanych rękawiczek. Zamykając schowek, zauważył coś jeszcze. Zaraz przy przednich drzwiach była niewielka dziurka. Kształtem i wielkością przypominała tę w tylnym błotniku.

Wisting otworzył drzwi, wysiadł i spróbował znaleźć otwór wlotowy. Musiał w tym celu usunąć z karoserii mech i lepki osad. Kula przebiła auto pod kątem, dwa metry od pierwszego pocisku, jakby w kierunku poruszającego się pojazdu oddano jeden po drugim dwa strzały.

Wsiadł z powrotem do samochodu, chcąc ustalić, co się stało z kulą. Przednie siedzenie było w jeszcze gorszym stanie niż tylne. Skóra popękała w wielu miejscach, było na nim też kilka większych rozdarć. Aby dokładnie odtworzyć tor pocisku, Wisting znowu wysiadł z auta i przyniósł wąską metalową rurkę, którą zauważył wcześniej na jednej z półek z narzędziami. Miała nieco mniejszą średnicę niż dziura po kuli. Wsunął ją ostrożnie przez otwór wlotowy, próbując sobie wyobrazić, w którym miejscu musiała stać osoba oddająca strzały.

Rurka wyszła przez dziurę w karoserii w kabinie auta. Wisting pchał ją dalej do momentu, gdy była w środku już niemal cała, następnie usiadł na fotelu kierowcy i uważnie jej się przyjrzał. Rurka wskazywała prosto na miejsce za kierownicą, ale w oparciu fotela nie było śladu po pocisku.

Wisting uświadomił sobie, co musiało się stać, i aż przełknął ślinę. Kula ugodziła kierowcę w klatkę piersiową i utkwiała w jego ciele.

10

Powinien wracać do domu do Ingrid i bliźniaków, ale postanowił zajrzeć jeszcze do biblioteki. To, co Rupert powiedział mu o królu Haakonie, wciąż kołatało się w jego głowie. Poprzedni monarcha jeździł starą Minerwą, która najpewniej została później oddana do zezłomowania. „W każdym razie nikt nie wie, co się z nią stało”, twierdził Rupert.

Wisting zaparkował w pobliżu przystani i ruszył do wysokiego gmachu, w którym mieściła się biblioteka miejska.

Nie miał pojęcia, od czego zacząć poszukiwania, więc ustawił się w kolejce do lady bibliotekarki. Stały przed nim dwie starsze kobiety. Jedna z nich chciała wypożyczyć książkę Daga Solstada, nieco podniszczoną na brzegach. Ingrid miała tę powieść w domu, ale Wisting jej nie czytał. Wiedział, że to historia nauczyciela z Larviku, zaangażowanego w ruch maoistyczny. Druga kobieta miała w rękach tłumaczenie, na podstawie którego nakręcono niedawno film. A przynajmniej kojarzył tytuł z kinowych afiszów.

Obie panie podstemplowały swoje karty biblioteczne i wreszcie przyszła kolej Wistinga.

– Szukam książki o królu Haakonie – powiedział. – Mogłaby mi pani pomóc?

– Mamy o nim wiele pozycji – odrzekła kobieta za kontuarem. – Czy interesuje pana coś w szczególności?

– Jego samochody – odrzekł Wisting.

Bibliotekarka posłała mu nieco zdziwione spojrzenie, po czym zaprowadziła go do półki z biografiami i zdjęła z niej książkę w czerwonej oprawie z królewskim monogramem na grzbiecie.

– To stosunkowo nowa biografia – powiedziała, podając ją Wistingowi. – Ma pan kartę biblioteczną?

– Nie przy sobie.

Kobieta westchnęła.

– A może mógłbym wyrobić sobie nową? – spytał Wisting.

– Jeśli po prostu zapomniał pan zabrać karty z domu, to nie.

– To może ja przejrzę książkę na miejscu, a jutro wrócę i ją wypożyczę – zaproponował.

Bibliotekarka skinęła głową na zgodę. Starszy pan podniósł wzrok znad gazety, gdy Wisting zajął wolne krzesło przy jednym ze stolików. Także tego dnia napad na bank trafił na pierwszą stronę.

Odnalezienie zdjęcia pierwszego samochodu króla zajęło mu mało czasu. Auto miało na tablicach numer rejestracyjny A1. Jakość zdjęcia nie była najlepsza, ale z tego, co Wisting widział, samochód był kubek w kubek taki, jak antyk stojący w stodole.

Wyczytał, że król dostał prawo jazdy w 1913 roku. Zaraz po tym kupił sobie nie jedno, lecz dwa auta – z otwartym i z zamkniętym nadwoziem, tak by mógł dobierać pojazd do pogody. Oba samochody były belgijskiej marki Minerva.

Monarcha odbywał najczęściej przejażdżki między zamkiem królewskim a posiadłością na wyspie Bygdøy, ale od czasu do czasu ruszał też w dłuższe podróże. W zamkniętym samochodzie odwiedził między innymi Fagernes i okręg Nordland na północy.

Wisting przeglądał pobieżnie tekst, próbując doczytać, co się stało z królewskimi autami. Haakon został opisany jako ostrożny kierowca, ale wspomniano, że irytowało go ograniczenie dozwolonej prędkości w Kristianii do zaledwie piętnastu kilometrów na godzinę.

O tym, co się stało z samochodami, w biografii nie było ani słowa.

Wisting sprawdził, czy książka zaopatrzona jest w indeks haseł, ale odpowiedź na nurtujące go pytania znalazł w końcu w spisie ilustracji. Zdjęcie minery króla Haakona zostało udostępnione przez towarzystwo historyczno-muzealne w Tynset, a fotografię zrobiono podczas odwiedzin monarchy w lipcu 1926 roku.

Jeśli przyjąć, że wydanie „Aftenposten” z poniedziałku 17 sierpnia 1925 zbiegło się z dniem, w którym minerva została wstawiona do stodoły, to podziurawione kulami auto z Tveidalen nie mogło należeć do króla.

Mężczyzna po drugiej stronie stolika złożył gazetę i odsunął ją od siebie. Wisting zaniósł książkę do kontuaru, ale nagle przyszła mu do głowy nowa myśl.

– Macie tu może stare wydania „Østlands-Posten”? – zapytał.

– Który rocznik? – chciała wiedzieć bibliotekarka.

– 1925 – odrzekł Wisting.

– Tylko na mikrofilmie – wyjaśniła kobieta. – Mogę panu przygotować materiały na jutro, skoro i tak chce pan wrócić i wypożyczyć książkę.

Wisting wytłumaczył, że jednak nie potrzebuje biografii, ale że chętnie przejrzy gazety z lata 1925 roku. Bibliotekarka obiecała je dla niego odszukać i zarezerwować czytnik do mikrofilmów na dziesiątą rano następnego dnia.

Ingrid czekała na męża w złym humorze. Bliźniaki prawie nie spały w ciągu dnia, nie zrobiła więc niemal nic z tego, co sobie zaplanowała.

– A ty gdzie się podziewałeś? – zapytała. – Byłam umówiona z Moną na szóstą. Teraz już nie zdążę.

Wisting plasnął się dłonią w czoło. Był tak pochłonięty swoim prywatnym śledztwem, że zupełnie zapomniał o rodzinnych obowiązkach.

– Przepraszam – powiedział, czując, jak ogarniają go wyrzuty sumienia. Rozumiał, że opieka nad dwójką małych dzieci to niełatwe zadanie i że powinien był odciążyć trochę żonę, skoro miał akurat wolny dzień. – Obiecuję, że to się nie powtórzy – zapewnił. – Zupełnie straciłem poczucie czasu.

– W porządku – uspokoiła go Ingrid zrezygnowanym tonem. – Już dałam znać Monie. Spotkamy się jakoś bliżej świąt.

Zjadł resztki z obiadu i spróbował poczytać gazetę z Line na kolanach. Thomas w tym czasie spał. Dziewczynka biła rączkami w papier, gaworząc coś zupełnie niezrozumiałego, więc Wisting zaczął w końcu czytać na głos. To ją przynajmniej uspokoiło.

Było jeszcze za wcześnie, by orzec, jaką kwotę zrabowali włamywacze, ale szacowano, że chodzi o miliony. W gazecie zamieszczono również wywiad z właścicielem czarnej sierry, który twierdził, że samochód został mu skradziony, gdy pracował na nocnej zmianie w fabryce pigmentów. Poza tym można było odnieść wrażenie, że ślad zostawiony przez włamywaczy urywał się przy wypalonym wraku w Tveidalen. Teoria o szajce z Oslo była najwyraźniej czymś, czego śledczy woleli na tym etapie nie ujawniać.

Wisting doczytał artykuł do końca, ale czuł, że zaczyna tracić zainteresowanie sprawą. Przycmiło ją to, co musiało się wydarzyć pewnego dnia późnego lata roku 1925.

Przestał czytać i złożył gazetę, a Line natychmiast znów zaczęła się niecierpliwić. Uspokoila się nieco, gdy ojciec posadził ją w kojcu obok brata.

Wisting ruszył do pokoju, w którym miał zwyczaj spać po południu. Ingrid wstawiła tam biurko, przy którym poprawiała szkolne wypracowania. Usiadł przy nim i zaczął notować to, co już wiedział, i to, co wciąż pozostawało niewiadomą. Im dłużej pisał, tym bardziej docierało do niego, że stare auto w stodole wiązało się nie tylko z nierozwiązaną zagadką, ale prawdopodobnie również z nigdy nieodkrytym przestępstwem.

11

W nocy spadło dużo mokrego, ciężkiego śniegu, który Wisting musiał odgarniać ze schodów i podjazdu przez niemal godzinę.

Drogi do miasta nie były dobrze odśnieżone, miał też kłopot ze znalezieniem miejsca parkingowego. W końcu zostawił auto dwie przecznice od budynku komendy.

W dyżurce wisiał grafik ponadwymiarowych dyżurów, w większości nocnych. Wisting porównał go ze swoim grafikiem zmian i wpisał się tam, gdzie mógł.

Miał ochotę zająć wolne biuro w lokalach wydziału śledczego, ale zamiast tego usiadł w gabinecie nieopodal dyżurki, służącym do pisania raportów.

Arne Vikene z wydziału administracyjnego dystryktu policyjnego Oslo podniósł słuchawkę prawie od razu. Wisting ocenił po głosie, że to mężczyzna w słusznym wieku.

Wyjaśnił, że próbuje znaleźć właściciela zabytkowego pojazdu i że Vikene został mu polecony jako osoba, która może pomóc.

Jego rozmówca był szczerze zainteresowany.

- A co to za auto? – chciał wiedzieć.
- Belgijska Minerva – wyjaśnił Wisting zupełnie, jakby się na tym znał.
- Zarejestrowana najpewniej między 1915 a 1925 rokiem.
- Nie zostało ich zbyt wiele – skomentował Vikene.
- Stoi w stodole – wyjaśnił Wisting. – Już prawie sześćdziesiąt lat.

– Sześćdziesiąt lat! – powtórzył policjant po drugiej stronie słuchawki. – A co mówi właściciel stodoły?

– Że samochód już tam był, gdy ją odziedziczył – wyjaśnił Wisting. – Próbuję mu pomóc w ustaleniu, czy są gdzieś jacyś ludzie mogący rościć sobie prawa do tego wozu.

– W jakim on jest stanie?

– Nie najlepszym – odrzekł Wisting, głównie po to, by nie wzbudzać nadmiernego zainteresowania policjanta. – Jest trochę poobijany i zniszczony od stania tyle czasu w wilgoci.

Vikene miał jeszcze kilka pytań, na które Wisting odpowiedział najlepiej, jak umiał, po czym wrócił do sedna:

– Mam numer silnika i podwozia tego auta. Czy mógłby mi pan pomóc dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat?

– Wiem, gdzie przechowuje się protokoły – potwierdził Vikene. – Ale może być trudno cokolwiek w nich znaleźć, jeśli nie zna się nazwiska właściciela ani numerów rejestracyjnych.

– Musi być chyba jakiś spis pojazdów obejmujący numery podwozia?

– Ależ oczywiście – potwierdził Vikene. – Numer podwozia, znak fabryczny, rocznik, liczba miejsc siedzących, cylindrów, nacisk osi... Wszystko jest zapisywane. Te protokoły prowadzi się chronologicznie.

Uzgodnili, że Vikene przeszuka protokoły i prześle Wistingowi kopie dokumentów, które uda mu się znaleźć.

– Postaram się do tego usiąść w ciągu dnia – zakończył mężczyzna.

Wisting zapisał hasłowo przebieg rozmowy w swoim notatniku, po czym przerzucił kilka kartek i znalazł numer telefonu do Knuta Heiana.

– Dowiedział się pan czegoś więcej? – spytał rolnik z zaciekawieniem.

– Pracuję nad sprawą – odparł Wisting. – Trafiłem na pewne imię i chciałbym zapytać, czy pan je kojarzy.

– Ach tak? A jakie?

– Alfred.

– A dalej?

– Może Danielsen albo Davidsen. Mówi to coś panu?

Knut Heian zastanowił się przez chwilę, ale w końcu odpowiedział, że nie kojarzy ani imienia, ani nazwiska.

– A Anna? – dopytywał Wisting.

Heian powiedział, że ma daleką krewną o tym imieniu. Wisting nie sądził, by to była właściwa osoba, ale na wszelki wypadek zanotował jej nazwisko. Zakończył rozmowę, zanim Heian zdążył zapytać, w jaki sposób natknął się na te imiona.

Trudna sytuacja na drogach sprawiła, że spóźnił się dziesięć minut na umówioną wizytę w bibliotece. Kobiety, z którą rozmawiał poprzedniego dnia, nie było w pracy, ale jej koleżanka odnalazła nazwisko policjanta w zeszycie.

– Spóźnił się pan – skomentowała, wstając zza kontuaru. Wisting nic nie odpowiedział, poszedł za nią po prostu do wydziału historii lokalnej. Stały tam dwie maszyny do mikrofilmów ze skomplikowaną aparaturą optyczną, lustrami i dużym ekranem. Sprzęt wyglądał, jakby od dłuższego czasu nikt z niego nie korzystał.

– Oglądał pan już kiedyś mikrofilmy? – spytała bibliotekarka, wyjmując rolkę z metalowej puszki, w której była przechowywana.

Wisting potrząsnął głową. Kobieta zamontowała film w projektorze i pokazała mu, jak ma z niego korzystać. Wdrożył się dość szybko. Strony starych gazet migają na ekranie jedna po drugiej. Nagle znalazł się gdzieś we wrześniu 1925 roku. Patrzył na obszerny artykuł opisujący mecz otwarcia na nowej murawie stadionu Loviselund. Drużyna Larviku Turn pobiła Fram 1 do 0.

Odnaleziona w starym aucie gazeta datowana była na 17 sierpnia 1925. Wisting przewinął film do tyłu i znalazł numer z wtorku 18 sierpnia 1925, nie będąc pewnym, czego właściwie szuka.

Także lokalna gazeta pisała o konflikcie trwającym na kolei. Poza tym dziennikarze poświęcili sporo miejsca bankructwu Roalda Amundsena. Wierzycciele z Alaski skonfiskowali jego statek polarny „Maud”, od trzech

zim uwięziony w lodzie w okolicach Cieśniny Beringa.

Policjant przejrzał pobieżnie artykuł i znalazł to, czego szukał – wzmiankę o Oscarze Wistingu. Nazwisko pradziadka zdawało się wręcz jaśnieć na wyświetlanych na ekranie stronach z gazety. Oscar wziął udział w jednej ze wspomnianych ekspedycji, a jego prawnuk zastanawiał się teraz, czy ktokolwiek z jego rodziny kiedykolwiek zbliżył się bardziej do międzynarodowej sławy.

Przeglądał gazetę dalej, czytając nagłówki, ale nie znalazł niczego ciekawego.

W następnym numerze był artykuł o wypadku drogowym na Storgata. Motocykl potrącił kobietę. Poszkodowana miała złamane prawe przedramię i uszkodzone biodro. Dwa dni później doszło do kolejnego wypadku. W padającym rześście deszczu autokar z Fredriksvern zderzył się z „automobilem” na rogu Dronningens gate i Kristian Fredriks vei. Jeden z pasażerów miał skręconą rękę, ale oba pojazdy mogły po stłuczce jechać dalej.

Lato tego roku było najwyraźniej gorące. W gazecie ostrzegano przed możliwymi pożarami lasów, wspomniano, że susza może odbić się negatywnie na plonach ziemniaków i zboża. Wisting uśmiechał się pod nosem, czytając stare ogłoszenia, ale nie znalazł żadnych wiadomości, które dałoby się połączyć z autem w stodole.

Rozparł się na krześle i siedział przez chwilę, wpatrując się z roztargnieniem w okno. Wiatr od morza pędził ciężkie płatki śniegu, które lepiły się do szyby, topiły i spływały po szkle niczym lzy.

Ten samochód nie musiał przecież wcale pochodzić z tych okolic, pomyślał Wisting. Może ktoś w nim tędy tylko przejeżdżał. W roku 1925 „Aftenposten” czytało się przecież głównie w stolicy, a południowa trasa z Oslo wiodła prosto przez Larvik.

Wisting przewinął mikrofilm, odłożył go do metalowej puszkii i oddał przy kontuarze.

– Macie może na mikrofilmie „Aftenposten”? – zapytał.

– Nie tutaj – odrzekła bibliotekarka. – Ale możemy zamówić to, czego pan potrzebuje, z Biblioteki Narodowej.

Wisting się zamyślił. Nie chciał robić kłopotu, ale gdy bibliotekarka zapytała, czy ma złożyć zamówienie, poprosił, by to zrobiła, i wyjaśnił, o który chodzi mu rocznik.

– Zaraz do nich zadzwonię – powiedziała kobieta, zerkając na zegarek. – Przy odrobinie szczęścia powinniśmy dostać materiały jeszcze przed weekendem.

12

Wracając do domu, Wisting zajrzał do sklepu i kupił produkty z listy spisanej przez Ingrid. Potem ugotowali razem obiad. Kotlety z sosem i ziemniakami. Atmosfera między nimi była już dużo lepsza. Ingrid przespała się kilka godzin w ciągu dnia, nie było też kłopotów z karmieniem dzieci. Jedli obiad, rozmawiając o tym, jak spędzą święta. Oboje zaprosili na Wigilię swoich rodziców. Cieszyli się na myśl o czasie spędzonym z rodziną.

– Co chciałbyś dostać pod choinkę? – chciała wiedzieć Ingrid.

Wisting nadział na widelec kawałek ziemniaka i uniósł go do ust.

– Nie wiem – odrzekł szczerze. – Może jakieś ubrania.

– W styczniu będą wyprzedaże – skomentowała Ingrid. – Wymyśl coś innego.

Przeżuł kęs jedzenia, ale nic nie przyszło mu do głowy. Niczego nie potrzebował.

– A ty? – zapytał.

Ingrid potrząsnęła głową.

– Może po prostu nie róbmy sobie w tym roku prezentów – zaproponowała. – Mamy przecież dzieci. A im trzeba będzie kupić całe mnóstwo rzeczy.

Wisting przytaknął i wepchnął sobie do ust kolejny kęs obiadu, by nie musieć nic mówić. Był pewien, że nawet jeśli teraz podejmą taką decyzję, Ingrid i tak zrobi mu jakąś niespodziankę.

– Zapisalem się na kilka dodatkowych dyżurów – rzucił w końcu.

Ingrid skinęła głową. Wiedziała równie dobrze jak on, że potrzebują pieniędzy, chociaż z drugiej strony wolałaby mieć męża w domu.

Zastanawiał się, czy opowiedzieć jej o prywatnym śledztwie, które prowadził, ale ostatecznie zdecydował się milczeć. Miał świadomość, że powinien spędzać czas wolny w domu, z dziećmi i Ingrid, i że praca, którą właśnie wykonywał, nie przyczyniała się w żaden sposób do podreperowania ich rodzinnego budżetu.

Po obiedzie zabrali się do zmywania. Wisting rozważał, czy nie odgarnąć śniegu, zanim położy się spać, ale postanowił, że zrobi to przed wyjściem na nocny dyżur.

Pocałował Ingrid, życzył jej dobrej nocy, po czym ruszył do swojej prowizorycznej sypialni i zamknął za sobą drzwi. Przed snem usiadł jeszcze na chwilę przy biurku i przejrzał swoje notatki dotyczące minery. Pomyślał, że prędzej czy później będzie musiał iść ze swoimi ustaleniami do Olego Dokkena. Mogło chodzić o zabójstwo, w którymś momencie nie da się już uniknąć wszczęcia oficjalnego śledztwa. Ale Wisting nie miał ochoty na pisanie nowej notatki, która wyląduje na samym spodzie stosu dokumentów. Zanim pójdzie z tą sprawą dalej, chciał ją zbadać i opracować najlepiej, jak się da. Auto stało ukryte w stodole przez niemal sześćdziesiąt lat. Niezależnie od tego, co się wydarzyło – przestępstwo już się przedawniło, a ewentualni sprawcy od dawna nie żyli. Kilka dni w jedną albo drugą stronę nie zrobi żadnej różnicy.

Gdy wstał kilka godzin później, Ingrid już spała. Na starym śniegu leżała warstwa nowego. Wisting wyszedł na dwór, odgarnął biały puch ze schodów i podjazdu, po czym wziął prysznic i włożył ubranie.

Spieszył się, bo miał nadzieję znaleźć na swojej półce faks od Arnego Vikene z wypisem z rejestru pojazdów. Ale znalazł tam tylko rozpiskę dodatkowych dyżurów, które zostały mu przydzielone. Trzy nocne, pierwszy już tego samego dnia. Oznaczało to podwójną zmianę, ale też odpowiednio wysoką rekompensatę. A pieniądze na pewno się przydadzą.

– Co tak wcześniej? – zapytał nieco złośliwie kończący dyżur oficer kierujący zmianą.

– Przyszły do mnie jakieś fakсы? – spytał Wisting.

– Do ciebie? – zapytał oficer, zsuwając okulary z czoła.

– Z Oslo – wyjaśnił Wisting.

Mężczyzna wyciągnął skoroszyt w zielonej, sztywnej okładce, w której rejestrowali wszystkie przychodzące fakсы. Przeciągnął palec wzdłuż strony i potrząsnął głową.

– Może wysłali do kryminalnego – zasugerował, zerkając ku sufitowi i lokalom na piętrze.

– Może – skinął głową Wisting i ruszył w kierunku schodów.

Światłówki pod sufitem zaszumiały, zamigotały i już po chwili cały korytarz wydziału kryminalnego zaalało jaskrawe światło.

Drukarka z faksem stała w biurze, w którym przechowywano akta. Świeciła się na niej czerwona kontrolka: *Paper empty*.

Wisting znalazł ryzę papieru A4 w szafce obok kserokopiarki. Nigdy wcześniej nie uzupełniał papieru w fakse i minęła dłuższa chwila, nim wykombinował, jak otworzyć właściwą szufladę. Gdy zasunął ją z powrotem, czerwona kontrolka zgasła, ale poza tym nie nastąpiło nic godnego uwagi. Wisting miał już odejść, gdy maszyna zaczęła tykać.

Wrócił do faksu. Chwycił arkusz papieru, który powoli się z niego wysuwał. Zobaczył, że jako nadawca został podany „Dystrykt policyjny Oslo – wydział administracyjny” i że arkusz był stroną „1 z 3”.

Ta pierwsza strona zawierała tylko sporządzoną przez Arnego Vikene notatkę. Na drugiej była kopia uzupełnianego odręcznie rejestru. Drobne, eleganckie pismo. Plamy tuszu zostawiane przez walec faksu utrudniały odcyfrowanie tekstu.

Począł, aż maszyna wypluje trzecią kartkę, po czym zabrał wydruki do biura, w którym siedział poprzedniego dnia. Było otwarte.

Nie uruchomił jarzeniówki pod sufitem, ale usiadł za biurkiem i włączył małą lampkę. Na blat padł krąg żółtego światła.

Arne Vikene zdołał znaleźć właściwe auto. Numery podwozia i silnika zgadzały się z notatkami Wistinga. Była to czterodrzwiowa Minerva Saloon o mocy dwudziestu koni mechanicznych, która przypląnęła do portu w Oslo 17 czerwca 1920 roku. Jako właściciela podano Towarzystwo Przewozowe w Kristianii. W rejestrze widniało dodatkowo imię i nazwisko oraz stanowisko osoby do kontaktu: Martinius Bergan, przewoźnik. Samochód otrzymał numer rejestracyjny A795. Na dole strony widniał całkowicie nieczytelny dopisek, skreślony atramentem, który wyblakł.

Trzeci arkusz zawierał kopię strony z rejestru właścicieli, ze spisem wszystkich aut należących do Towarzystwa Przewozowego w Kristianii. Wyglądało na to, że wozy zostały sprzedane, przy każdym z nich widniało nazwisko nowego właściciela. Numer rejestracyjny A795 znajdował się mniej więcej w połowie strony. W rubryce przypisanej sprzedaży i nowemu właścicielowi widniała uwaga: „Utracone, 21.08.1925”.

Wisting odchylił się na krześle.

– Utracone – powiedział głośno sam do siebie.

Dziwne słowo. Nie skradzione, nie poszukiwane, tylko właśnie utracone. Jakby zniknęło.

Data pasowała do znalezionej w samochodzie wydania gazety, wydrukowanej cztery dni przed zarejestrowaniem „utrąty” pojazdu.

Aby posunąć swoje prywatne dochodzenie do przodu, Wisting musiał porozmawiać z kimś, kto miał kiedyś do czynienia z Towarzystwem Przewozowym w Kristianii, albo spróbować dotrzeć do ewentualnych potomków wymienionej w protokole osoby do kontaktu.

Zapisał imię i nazwisko: Martinius Bergan.

Towarzystwo Przewozowe w Kristianii mogło być firmą kurierską albo podmiotem, który dał początek Centrali Transportowej, pomyślał.

Złożył wydruki z faksu na dwoje i wsunął je do swojego notatnika. Zgasił lampkę na biurku i wyszedł z gabinetu.

Drzwi do biura kierownika wydziału stały otwarte. Wisting wszedł do środka, by sprawdzić koszyk z zawiadomieniami. Stosik jakby zmalął, ale

sporządzonej przez niego notatki już tam nie było. Na mniejszym stoliku obok biurka znajdował się osobny koszyk na nowe dokumenty. Wisting przejrzał je szybko i stwierdził, że większość dotyczy rutynowych czynności prowadzonych w związku ze śledztwem, takich jak przesłuchania pracowników banku i rozmowy z osobami, które utrzymywały, że widziały podejrzanych ludzi albo auta.

Niemal na samym spodzie leżał raport z czynności przeprowadzonych w związku z domkiem letniskowym H292. Wisting poczuł, że robi mu się ciepło na sercu – świadomość, że informacje, które wniósł do sprawy, zostały potraktowane poważnie i że już ktoś się nimi zajął, była bardzo przyjemna.

Musiał usiąść i przeczytać raport na spokojnie. Policjant, który go napisał, kontaktował się z Vivian Brun, współwłaścicielką domku. Mieszkała w Oslo razem ze swoim mężem, Rogerem, a w chacie nie byli od września. Kobieta nie miała pojęcia, kto mógł tam przebywać w ostatni weekend, ale wyjaśniła, że bratanek jej męża, który zajmował się trochę stolarką i mieszkał w Larviku, obiecał wymienić tej jesieni gzymsy i drewniane pokrycie południowej ściany. Nie wiedziała, czy związane z tym prace zostały już zakończone. Policjant odpowiedzialny za raport zadzwonił do wspomnianego bratanka, który powiedział, że odkładał tę prostą robotę już wiele razy, ale w ostatni weekend wreszcie poprosił kolegę, by mu w niej pomógł. Skorzystali z klucza odwieszonoego w umówionym miejscu i rozpoczęli remont od wypicia kilku piw – ostatecznie pierwszego dnia nawet nie zabrali się do pracy. Rankiem zaskoczył ich śnieg i musieli wrócić do domu, niczego nie dokonawszy. Robota będzie musiała poczekać do wiosny, zakończył wyjaśnienia mężczyzna.

Wisting przeczytał dokument dwukrotnie i zanotował imię i nazwisko bratanka. Jens Brun. Raport nie zawierał danych kolegi, który mu towarzyszył. Brakowało także kontrolnych pytań o to, kiedy przyjechali na miejsce i kiedy ruszyli w drogę powrotną.

Wyjaśnienie było jak najbardziej wiarygodne, ale Wisting podkreślił imię i nazwisko mężczyzny w swoim notatniku, zanim odłożył raport na miejsce.

Gdy zszedł na dół, za biurkiem oficera kierującego zmianą siedział już Erling Storvolden, sortując jakieś papiery.

– Mamy może książkę telefoniczną z numerami w Oslo? – spytał Wisting.

Przełożony odwrócił się do półki i znalazł właściwy tom.

– Ma kilka lat – powiedział. – Zawsze dzwoniłem po prostu na informację.

Wisting otworzył książkę telefoniczną na literze B. Było w niej więcej ludzi o nazwisku Bergan, niż się spodziewał. Lista biegła od dołu jednej z kolumn mniej więcej do połowy drugiej. Był na niej Martin, ale żadnego Martinius. Nie spodziewał się zresztą niczego innego. Jeżeli Martinius Bergan był w 1925 roku dorosłym mężczyzną, teraz pewnie już nie żył.

Zabrał książkę telefoniczną do kserokopiarki i zrobił odbitkę tej jednej strony. Było za późno, by wydzwaniać po ludziach, więc złożył arkusz papieru i wsunął go do notatnika razem z wydrukiem z faksu.

Podobało mu się stawianie tych drobnych kroczków, które stopniowo zbliżały go do odpowiedzi. Zupełnie jak prawdziwe śledztwo.

13

Noc była długa, ale nie wydarzyło się nic specjalnego. Krążyli po pustych ulicach, zatrzymali auto z niedziałającymi światłami i wylegitymowali starszą panią, która jechała zygzakiem.

Kilka minut po pierwszej dostali zgłoszenie o mężczyźnie wspinającym się po drabinie do okna na pierwszym piętrze domu w Valby. Okazało się, że to właściciel, który zatrzasnął klucz w środku.

Koło drugiej przestał padać śnieg. Przez kilka godzin był spokój, potem znów zaczęło sypać.

O trzeciej zaparkowali radiowóz tak, by móc obserwować parking przed fabryką pigmentów. Po półgodzinnym wgapieniu się w zimowe ciemności Per Haugen zaczął chrapać. Po kolejnych trzydziestu minutach przyjechał traktor, by odśnieżyć teren fabryki. Haugen zaproponował powrót do komendy. Rozsiadł się tam w fotelu i drzemał do końca zmiany.

Wisting musiał odgarnąć śnieg z miejsca parkingowego przed domem, by mieć gdzie postawić auto. Ingrid była na nogach już od kilku godzin. Widział po niej, że i tej nocy niespecjalnie się wyspała.

– Połóż się – powiedział do żony. – Zajmij kanapę.

– A ty?

Potrząsnął głową. Był w swojej pracy najmłodszy i zależało mu na zrobieniu jak najlepszego wrażenia. Powinien więc stawiać się do swoich obowiązków wypoczęty, ale nie chciał, by odbywało się to kosztem Ingrid.

– Ja też się położę, jak tylko dzieci zasną.

Żona nie protestowała. Sprzątnęła tylko po śniadaniu i zamknęła za sobą drzwi.

Wisting zrobił sobie kanapkę i jadł, zerkając na maluchy w kojcu. Thomas leżał na plecach z piąstką w buzi, Line oglądała plastikową zabawkę.

Ziewnął i sięgnął po swoje notatki. Gdy studiował jeszcze na akademii policyjnej, nie mógł się doczekać patrolowania ulic. Pierwsze tygodnie w pracy spełniły jego oczekiwania. Nigdy nie było wiadomo, co się wydarzy i co przyniesie kolejny dyżur, każdy dzień wydawał mu się ekscytujący. Ale teraz chciał już pójść wyżej, uwolnić się od pracy na zmiany. Jego obecne stanowisko wymagało, by wstawał wtedy, gdy wszyscy inni szli spać. Chciał mieć swoje biuro, chciał móc walczyć z przestępczością, a nie tylko jeździć w miejsca, gdzie coś się już stało.

Godzinę później bliźniaki zrobiły się senne. Wisting wziął dzieci na ręce, jedno po drugim, i przeniósł do łóżeczek ze szczebelkami w sypialni. Pochylił się nad Thomasem, pocałował go w czoło i podsunął mu jego szmatkę-przytulankę. Nagle cały pokój zatańczył mu przed oczami. Zawrót głowy trwał krótką chwilę. Wisting oparł się o ścianę i dopiero teraz poczuł, jaki jest zmęczony.

Rozebrał się po cichu, wpełzł pod kołdrę i pomyślał, że taki nieregularny rytm doby odbija się też na jego zdrowiu. Był wykończony, ale miał kłopoty z zaśnięciem. Przewracał się z boku na bok i z jakiegoś powodu nie mógł przestać myśleć o mężczyźnie, który zatrzasnął klucz w domu i musiał się do niego włamywać przez okno. Coś nie dawało mu spokoju, nie pozwalało się rozluźnić. Jego myśli pobiegły dalej, zatrzymując się tam, gdzie były przez kilka ostatnich dni – w stodole niedaleko skrzyżowania przy Tveidalen.

Knut Heian opowiadał o tym, jak w dzieciństwie wchodził do stodoły, podstawiając drabinę do okienka na północnej ścianie i potem wciągając ją za sobą do środka. Wisting obszedł cały budynek i zaglądał do środka przez szpary między deskami, zanim jeszcze spadł śnieg. Na zewnątrz nie

było żadnej drabiny, za to jedna stała w środku, z rozwieszonymi na szczeblach rybackimi sieciami i szklanymi bojkami. Możliwe, że z tej właśnie drabiny korzystał Heian jako chłopiec – ale skoro stała ona w stodole, to jak Alfred zdołał się stamtąd wydostać?

Drzwi były zamknięte od środka, więc jedyną drogą pozostawało okienko, wysoko na ścianie. Poza tym stodoła była pułapką bez wyjścia.

Myśl dalej krążyła w jego głowie, powoli zaczynał zasypiać. Odwiedził stodołę na nowo w półśnie. Widział przed sobą materac, starą gazetę, plecak z listem do Anny i znoszone buty. Zakurzone składane krzesła, zardzewiałe narzędzia, pajęczyny, puszki z farbą, opony, blachę falistą, skrzynki na ziemniaki i grube liny zwisające z belek pod dachem.

Rozwiązanie przyszło do niego samo, na chwilę przed zaśnięciem. Kimkolwiek był Alfred nocujący na materacu, musiał być nadal gdzieś w stodole.

14

Niepokój ogarnął go zaraz po przebudzeniu. Spojrzał na budzik i stwierdził, że jest pierwsza trzydzieści. Za dwie i pół godziny miał stawić się w pracy na podwójny dyżur – najpierw zmiana popołudniowa, potem jeszcze nadgodziny w nocy.

Uniósł się na łokciach i spojrzął na dziecięce łóżeczka. Ingrid musiała wejść do sypialni i zabrać bliźniaki, kiedy spał, a on nawet tego nie zauważył. Opadł z powrotem na łóżko i przemyślał wniosek, do którego doszedł na chwilę przed zaśnięciem. W tej chwili nie wydawał mu się już równie oczywisty, ale nie sposób było mu odmówić pewnej logiki. Przeciwno niemu świadczył rzecz jasna fakt, że w stodole nie odnaleziono żadnych zwłok. Jeśli Alfred dokonał żywota w środku, to najbardziej naturalne byłoby, gdyby leżał gdzieś obok materaca. Trup mógłby zostać oczywiście ukryty gdzieś w stodole, ale człowiek, który by to zrobił, również nie miałby jak się stamtąd wydostać. W tym momencie najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem wydawało się to, że Alfred odebrał sobie życie. Koperta w plecaku mogła zawierać list pożegnalny do Anny.

Na kuchennym blacie czekała na niego wiadomość od Ingrid: „Jestem u Ellen”.

Ellen była koleżanką jego żony z czasów szkolnych. Miała synka starszego od bliźniaków o zaledwie trzy miesiące.

Wisting postanowił się przewietrzyć i wyszedł, by odgarnąć świeżą

warstwę śniegu. Myśl o tym, że w stodole leżały zwłoki, bladła w miarę, jak pracował. O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się wyjaśnienie, że istniała jakaś druga drabina, którą ktoś po prostu później zabrał.

Ingrid podjechała pod dom, gdy kończył odgarniać śnieg. Pomógł jej przy dzieciach. Thomas zasnął w foteliku samochodowym, ale Line siedziała rozbudzona, rozglądając się dookoła wielkimi oczami.

Wisting opowiedział przy obiedzie o dziurach po kulach w starym aucie i o tym, co udało mu się ustalić w kwestii właściciela. Musiał się z kimś podzielić tymi myślami.

Ingrid odłożyła sztucce.

– Dziury po kulach! To przecież poważna sprawa. Musisz z kimś o tym porozmawiać.

– Ale i tak zostawiam cię przecież samą z dziećmi na długo – powiedział Wisting. – A tą sprawą będę się pewnie musiał zajmować w wolnym czasie, tak jak dotychczas.

Ingrid zastanowiła się przez chwilę.

– Będzie dobrze – orzekła w końcu. – Damy sobie radę z Thomasem i Line. Bylebyś tylko dotrzymywał słowa i był z nami ciałem i duchem, kiedy wracasz do domu – spuściła wzrok. – Poza tym podoba mi się, że tak się angażujesz w swoją pracę.

Wisting posłał żonie uśmiech i pomyślał, że jest prawdziwym szczęściarzem. Jego koledzy bez przerwy narzekali na żony robiące im wymówki, że nigdy nie ma ich w domu.

– Musisz coś z tym zrobić – powtórzyła Ingrid. – Porozmawiaj z którymś ze śledczych.

– Zajmę się tym – zapewnił ją Wisting. – Na razie mam na głowie napad na bank. A w tamtej sprawie chciałbym zebrać więcej informacji, zanim pójdę dalej.

Było chwilę po trzeciej. Musiał wracać do pracy za niecałą godzinę, ale znalazł czas, by zadzwonić do kilku osób o nazwisku Bergan ze skserowanej listy.

Telefon podpięty był do długiego kabla, mógł go więc zabrać do gabinetu i przymknąć za sobą drzwi.

Pierwszy w kolejce był Anders Bergan. Ale nie odebrał telefonu.

Numer dwa z listy, Bjørn Bergan, sprawiał wrażenie poirytowanego.

Wisting przedstawił się i spytał, czy mężczyzna zna może Martiniusą Bergana.

– A o co chodzi? – chciał wiedzieć jego rozmówca.

– Szukam osoby kontaktowej Towarzystwa Przewozowego w Kristianii. Z 1925 roku – wyjaśnił Wisting.

– 1925?

– Tak, sprawa dotyczy zabytkowego auta.

– Zupełnie się na takich rzeczach nie znam – poinformował go mężczyzna.

Policjant powtórzył, że próbuje namierzyć Martiniusą Bergana, ale po dłuższej wymianie zdań wiedział już, że może skreślić Bjørna ze swojej listy.

Dwie kolejne rozmowy przebiegły w bardzo podobny sposób i zakończyły się wykreśleniem następnych nazwisk.

Czwarty z kolei człowiek, do którego zadzwonił, miał na imię Erik. Wisting przedstawił się i dodał, że pracuje w policji w Larviku. Ta informacja sprawiła, że mężczyzna nie zadawał już niepotrzebnych pytań. Erik Bergan odpowiedział krótko i uprzejmie, że nie orientuje się, by w jego rodzinie był kiedyś ktoś o imieniu Martinius.

Wisting zdążył zadzwonić do jeszcze dwóch osób, a potem musiał jechać do pracy.

Pierwsze godziny dyżuru minęły mu szybko, miał do załatwienia kilka drobnych, prostych spraw. Ktoś wybił szybę w oknie szkoły w Masterfjellet, rzucając w nią śnieżką z grudkami lodu. Na pokładzie promu z Danii, który wpłynął do portu, znajdował się pijany do nieprzytomności pasażer, którego trzeba było wyprowadzić z kajuty i odwieźć do izby wytrzeźwień. Dwaj chłopcy sforsowali ogrodzenie

rozlewni wody mineralnej Farris i ukradli trochę pustych butelek. Ślady na śniegu prowadziły do sklepu ulicę dalej, gdzie udali się zaraz, by dostać za nie kaucję.

Policjanci wrócili do budynku komendy o siódmej, by coś zjeść i napisać raporty. Wisting zabrał swoje kanapki do gabinetu. Jedząc, wypełniał formularze. Gdy skończył, zamknął drzwi i sięgnął po skserowaną listę z książki telefonicznej. Zadzwoił do Halvora i Halfdana, bez sukcesu, ale już Geir Bergan wyraźnie się ożywił, słysząc imię Martinius.

– Mój dziadek tak się nazywał – przyznał.

Wisting ścisnął długopis w dłoni.

– Nazywał? Czyli on już nie żyje? – zapytał.

– Nie, ale może babcia zdoła panu pomóc.

– A jak ona ma na imię?

– Ragna. Mieszka w Veitvet.

– Czy uda się do niej dodzwonić?

– Ma telefon, ale mocno niedosłyszany. Może niech pan lepiej zadzwoni do mojego ojca.

Wisting zapytał o imię i numer telefonu i zanotował: Jan Bergan, zamieszkały w Kalbakken.

Podziękował za pomoc i wybrał numer.

Jan Bergan miał niski, ochryply głos, charakterystyczny dla nałogowych palaczy.

Wisting przedstawił się i wyjaśnił, że dostał numer od jego syna.

– Szukam potomków Martiniususa Bergana, który był w swoim czasie związany z Towarzystwem Przewozowym w Kristianii.

Mężczyzna po drugiej stronie odchrząknął.

– Owszem, chyba chodzi panu o mojego ojca – powiedział. – A czego dotyczy sprawa?

– Staram się namierzyć właściciela starego auta – wyjaśnił Wisting.

– Jakiego?

Głos rozmówcy zmienił się nieznacznie. Jakby jego właściciel zaczął mieć

się nagle na baczności.

– To zabytkowy samochód z 1920 roku – tłumaczył dalej Wisting. – W rejestrach wyczytałem, że zgłoszono jego utratę w 1925.

Oddech jego rozmówcy nieco przyspieszył.

– A co, znaleźliście go?

– To możliwe – odparł Wisting.

– A co z Marvinem i pieniędzmi?

Wisting przełożył słuchawkę do drugiej dłoni.

– Co ma pan na myśli? – zapytał.

– Znaleźliście Marvina i pieniądze? – powtórzył Jan Bergan.

– Nie, tylko auto – odpowiedział policjant, nie mając pojęcia, o czym mówi jego rozmówca. – Chciałbym przedyskutować w związku z tym kilka kwestii.

– Miałem wtedy ledwie trzy lata – wyjaśnił Bergan. – Właściwie to nic nie wiem.

– A pana matka?

– O tym aucie się u nas w domu nie rozmawiało.

– Ale teraz, kiedy się znalazło – próbował Wisting – może będzie chciała wiedzieć, jak potoczy się dalej ta sprawa?

Jan Bergan zastanowił się przez chwilę.

– A mógłby pan tu przyjechać? – spytał.

Wisting spróbował odtworzyć w myślach listę dyżurów.

– Dałbym radę jutro po południu – zaproponował.

W tej samej chwili drzwi gabinetu stanęły otworem. Per Haugen przywołał go gestem dłoni.

– Wypadek!

Wisting szybko umówił się z Janem Berganem i jego matką na czwartą następnego dnia i pobiegł za kolegą do radiowozu.

Haugen siedział już za kierownicą z włączonym silnikiem.

– Czołówka na E18 – wyjaśnił.

Wisting aż się skrzywił. Zderzenia czołowe na autostradzie prawie

zawsze kończyły się tragicznie. Odcinek wiodący przez ich dystrykt był bardzo niebezpieczny, tylko w tym roku straciły tam życie cztery osoby.

Na drodze zdążył się już utworzyć gigantyczny korek. Radiowóz brnął do przodu w śnieżnej zadymce, przeciskając się między samochodami. Karetka pogotowia i wóz straży pożarnej były już na miejscu. Wisting wyskoczył z auta i spróbował się zorientować w sytuacji. Wyglądało na to, że opel ascona zjechał na przeciwległy pas i zderzył się z nowszą mazdą. Dwoje rannych leżało już na noszach, dwie kolejne osoby nadal były uwięzione we wraku pojazdu. Pasażer na przednim siedzeniu ascony krzyczał z bólu, zakleszczony. Strażacy rozcinali ostrożnie powyginaną blachę. Kierowca mazdy był nieprzytomny, kierownica i deska rozdzielcza wciskały mu się w klatkę piersiową.

Pół godziny później ranni zostali odwiezieni do szpitala, a miejsce wypadku pozostawiono do dyspozycji policjantów i pracowników pomocy drogowej.

Wisting rozmawiał ze świadkami, robił zdjęcia, notował numery aut i próbował szkicować odtworzony przebieg zdarzeń na szosie. W końcu samochody odwieziono, a fragmenty wraków uprzątnięto z drogi.

Resztę wieczornej zmiany Wisting przeznaczył na spisanie raportu. Mazdą jechało starsze małżeństwo ze Skien, asconą zaś – dwaj koledzy z Horten. Szpital poinformował, że mężczyzna z mazdy został uznany za zmarłego w momencie przyjazdu na izbę przyjęć. Jego żona miała tylko złamaną rękę. Również kierowca ascony odniósł lekkie obrażenia, za to jego towarzysz miał poważny uraz głowy. Wisting wpisał te informacje do formularzy raportów, po czym wykręcił arkusze z maszyny do pisania.

Siedział nad nimi dłuższą chwilę, rozmyślając, jak poważne, dramatyczne zdarzenia zmieniają się błyskawicznie w suche słowa na papierze. Zachodził w głowę, czy tak właśnie będzie wyglądała jego kariera w policji. To, co dla innych było tragedią na zawsze zmieniającą życie, dla niego stawało się rutyną i częścią codzienności.

Na nocnym dyżurze jego partnerem miał być Eivind Larsen, sumienny

funkcjonariusz, starszy od niego o niemal dwie dekady.

Wisting usadowił się za kierownicą radiowozu i wyruszyli w zimową noc.

Najpierw wezwano ich do autobusu, który wpadł w poślizg i utknął w zaspie, blokując całą drogę. Trzeba było wyciągać go dźwigiem, a cały ruch kierować objazdem. Kolejne zgłoszenie dotyczyło pożaru sadzy w przewodzie kominowym w Langestrand. Musieli przerwać bójkę przed restauracją Otto na rynku, krótko po zamknięciu, a o godzinie 1:40 zająć się pijanym mężczyzną, który zasnął w pociągu z Oslo.

Po spisaniu raportów z tych wydarzeń i krótkiej przerwie na posiłek miejsce za kierownicą przejął Eivind Larsen.

– Słyszałem, że dopatrzyłeś się w tym jakiegoś systemu – powiedział, ruszając na wschód miasta.

Wisting nie zrozumiał, o co chodzi koledze.

– Te kradzieże aut – wyjaśnił Larsen. – Jak przedstawiają się statystyki na piątkową noc?

– Wyróżniają się zdecydowanie noce z niedzieli na poniedziałek i z czwartku na piątek – odrzekł Wisting z uśmiechem.

– A co ty na to, żebyśmy spróbowali jakoś temu zaradzić?

– Wchodzę w to.

Znaleźli nową kryjówkę, z doskonałym widokiem na parking przed fabryką pigmentów.

Przez pierwsze trzydzieści minut tylko siedzieli w milczeniu.

– Nie chciał pan nigdy zostać śledczym? – zapytał Wisting.

Eivind Larsen potrząsnął głową.

– To nie jest robota dla mnie – odparł. – Cały czas ma się coś na głowie. Po dyżurze chcę wrócić do domu i się zrelaksować, nie chciałbym tej ciągłej odpowiedzialności i stresu. U nas po prostu piszesz raport z tego, co robiłeś i co widziałeś, i na tym wszystko się kończy. Śledczy biorą na siebie całą resztę, oni nigdy nie mają wolnego. Z mojego punktu widzenia nasza robota to świetna zabawa.

Wisting nie do końca rozumiał argumentację starszego kolegi. Jego

najbardziej interesowali ludzie, którzy stali za przestępstwem. Nie wystarczyło mu obserwowanie i rejestrowanie tego, co się działo. Chciał szukać odpowiedzi. Odkrywać nie tylko to, co się wydarzyło, ale również, kto jest za to odpowiedzialny i dlaczego robi to, co robi. Stopniowe zbliżanie się do odpowiedzi dawało mu ogromną satysfakcję. Podobną do tej, którą czuje się w trakcie rozwiązywania krzyżówki, gdy poszczególne słowa zaczynają się ze sobą przecinać, dopełniając się nawzajem i pomagając w odgadnięciu kolejnych. Uwielbiał wyjaśniać tajemnice i grzebać w sprawach, o których się milczało.

Jego myśli znów popłynęły ku starej minervie w stodole i ku jutrzejszemu spotkaniu z wdową po Martiniusie Berganie z Towarzystwa Przewozowego w Kristianii. Myśl o tym, co może mu powiedzieć ta kobieta, wzbudzała w nim uczucie, którego nie zasmakował już od dawna. Przedziwne mrowienie w brzuchu, coś jakby głód.

– Tam! – odezwał się nagle Eivind Larsen i zniżył głos: – Na godzinie drugiej.

Wisting zerknął we wskazanym kierunku. Z uliczki biegnącej na ukos względem miejsca, w którym stali, wyłonił się człowiek w ciemnym ubraniu, z niewielkim plecakiem. Dłonie trzymał w kieszeniach.

Przystanął w mroku pomiędzy dwiema latarniami i rozejrzał się dookoła. Stał zbyt daleko, by można go było rozpoznać.

Siedzący w radiowozie policjanci milczeli. Nieznajomy ruszył dalej. Dwadzieścia metrów od niego stała corolla z lisim ogonem przyczepionym do anteny radiowej. Mężczyzna zwolnił kroku, podszedł do samochodu i znów się rozejrzał, po czym pochylił nieznacznie i zerknął do kabiny.

Wisting chwycił bezprzewodowe radio, otworzył drzwi radiowozu i wysiadł.

Śnieg chrząścił mu pod podeszwami.

Mężczyzna przy aucie wyprostował się i poszedł dalej. Nie mógł go usłyszeć.

Wisting zamknął ostrożnie drzwi radiowozu i wsunął radio do kieszeni

na piersi. Ruszył ku głównej drodze, pilnując, by pozostawać w cieniu, i gdy wyszedł na nią, nieznajomy nie był w stanie go dostrzec. Przemknął się na drugą stronę ulicy.

Mężczyzna zostawił na chodniku ślady stóp. Wisting ruszył po nich, minął zieloną corollę i zrozumiał, że nieznajomy musiał skręcić na parking należący do fabryki pigmentów.

Żałował, że nie miał wciskanych do uszu słuchawek, z których korzystali jego koledzy prowadzący obserwacje podejrzanych. Eivind Larsen mógłby dzięki nim przekazywać mu informacje z auta. Wisting nie chciał włączać radia bez absolutnej konieczności, bał się, że spłoszy człowieka, którego śledził.

Policjant przystanął w miejscu, gdzie ślady stóp skręcały na parking. Nie ruszył jednak za nimi, lecz wszedł w głęboki śnieg, dotarł do rosnących nieopodal krzaków i tam zajął pozycję, z której miał dobry widok.

Dopiero po dłuższej chwili udało mu się dostrzec nieznajomego. Mężczyzna stał pochylony pomiędzy dwoma zaparkowanymi samochodami. Nagle rozległo się ciche skrzypnięcie, ledwie słyszalny dźwięk, i rozbłysło światło w kabinie jednego z wozów – znak, że jego drzwi zostały otwarte.

Wisting zrobił jeszcze kilka kroków w głębokim śniegu. Zapadł się niemal po kolana, ale dobrnął w końcu do skraju parkingu. Przyspieszył. Nieznajomy usiadł w fotelu kierowcy i, pochylony, grzebał w przewodach biegnących wzdłuż kolumny kierownicy, próbując uruchomić silnik bez kluczyka.

Wisting zorientował się, że Eivind Larsen włączył za jego plecami światła radiowozu i ruszył powoli w jego stronę.

Złodziej zadarł nagle głowę i rozejrzał się dookoła. Dostrzegł Wistinga i w jednej chwili wyskoczył z samochodu.

Wisting go rozpoznał. Był to ten sam blady facet, którego twarz mignęła mu przez moment tamtego wieczora, gdy odebrali meldunek o napadzie na bank w Stavern.

– Stój! – zawołał, nie zakładając wcale, że mężczyzna go posłucha.

Złodziej miał nad nim jakieś dwadzieścia metrów przewagi. Wisting zaczął go doganiać, ale ten zmienił nagle kierunek ucieczki i zniknął między dwoma budynkami. Zaulek odgradzony był płotem z drucianej siatki. Mężczyzna rzucił się ku ogrodzeniu, wspiął nań szybko i zeskoczył po drugiej stronie.

Wisting zawahał się, tylko na chwilę, jednak na tyle długą, by wytracić nieco tempo. Musiał cofnąć się o kilka kroków i na nowo rozpędzić, by sforsować przeszkodę.

Znaleźli się na terenie warsztatu mechanicznego Alfreda Andersena. Jedynym źródłem światła był tu reflektor zamontowany na ścianie hali warsztatowej.

Mężczyzna zniknął, ale zostawił wyraźne ślady w śniegu. Wisting włączył radio policyjne i poprosił Eivinda Larsena, żeby podjechał radiowozem z drugiej strony.

Ślady wskazywały, że ścigany złodziej dopadł drzwi warsztatu i próbował je otworzyć, ale popędził dalej, stwierdziwszy, że są zamknięte na klucz. Odciski podeszew prowadziły dalej, okrążyły barak, biegły za dużym kontenerem i dalej, ku niknącemu w mroku magazynowi. Magazyn ten był właściwie pozbawionym ścian rozległym zadaszeniem. Pod dach nawiało po bokach trochę śniegu, ale środkowa część betonowej podłogi pozostała sucha. Mimo to Wisting był w stanie nadal biec po śladach złodzieja. Śnieg, który ten naniósł na butach, leżał między półkami zastawionymi stalowymi rurami i metalowymi płytami o różnej grubości i rozmiarze.

Nagle Wisting stanął twarzą w twarz ze ściganym. Złodziej wymierzył mu solidnego kopniaka w krocze. Policjant zgął się wpół i jęknął, w tej samej chwili otrzymał cios pięścią w skroń. Następne uderzenie udało mu się zablokować, ale musiał podeprzeć się ręką o podłogę.

Mężczyzna wyciągnął z leżącego nieopodal stosu żelazną rurkę. Zamachnął się, lecz Wisting zdążył uskoczyć. Gdy napastnik znów uniósł

rukę, policjant rzucił się w jego kierunku i napał na niego barkiem tak, że tamten stracił równowagę. Wisting sięgnął po policyjną pałkę i uderzył go w ramię, wytrącając mu rękę z ręki. Pałka spadła na złodzieja ponownie, tym razem trafiając go w udo. Mężczyzna krzyknął z bólu i osunął się na kolana. Wisting uderzył go jeszcze w drugie ramię, po czym chwycił go za rękę i wykręcił mu ją na plecach. Po chwili złodziej leżał rozciągnięty na ziemi, z twarzą wciśniętą w zimny beton. Wisting usiadł mu okraciem na plecach, złapał jego drugą dłoń i założył mu kajdanki.

Gdzieś niedaleko usłyszał tupot nóg, uniósł wzrok i zobaczył zbliżające się, tańczące światło latarki.

Przywołał Eivinda Larsena i dał koledze chwilę na złapanie oddechu, po czym wspólnie dźwignęli aresztowanego z ziemi i przeszukali jego kieszenie. Miał przy sobie składany nóż, zapalniczkę i pęk kluczy.

– Jak się nazywasz? – zapytał go Wisting.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Ja go znam – stwierdził Larsen. – To Simon Becker. Już go kiedyś aresztowałem. Jego ojciec to także mój znajomy.

Nazwisko Becker przewinęło się w kilku czytanych przez Wistinga raportach. Mężczyzna powtarzał się jako podejrzany w sprawach o kradzieże samochodów.

– No dobra – powiedział do złodzieja. – Idziesz z nami.

Zaciągnęli Simona Beckera do zaparkowanego przy bramie radiowozu, po czym zawieźli go do aresztu, mieszczącego się w piwnicy budynku komendy.

Becker trafił do celi numer osiem. Eivind Larsen pojechał z powrotem na miejsce zdarzenia, by zabrać plecak, który złodziej pozostawił w upatrzonym aucie, i porozmawiać z pracującymi na nocnej zmianie robotnikami z fabryki pigmentów, wśród których policjanci mieli nadzieję znaleźć właściciela samochodu. Tymczasem Wisting udał się do biura, gdzie spisał raport o aresztowaniu Beckera i udaremnieniu kradzieży pojazdu. Wsunął papiery do zielonej plastikowej okładki i włożył ją na

półkę z korespondencją kierowaną do wydziału kryminalnego.

Zapewne jeszcze przed południem śledczy pójda pod adres Simona Beckera i przeszukają jego mieszkanie. Potem wezwą aresztanta na przesłuchanie. Wisting wyobrażał sobie, jak to wszystko przebiegnie. Od jakich pytań zacznie śledczy i jak Becker będzie stopniowo konfrontowany z dowodami. Na samą myśl o tym, że sam mógłby kiedyś tak pracować, ogarniało go zniecierpliwienie, od którego aż mrowiły mu dłonie.

Zostały mu dwie godziny dyżuru. Przed końcem zmiany został wezwany do zdewastowanej budki telefonicznej przy Lilletorvet i do drobnej stłuczki pługu śnieżnego z samochodem osobowym.

Spieszył się do domu. Po powrocie zamienił kilka słów z Ingrid, opowiedział o aresztowaniu złodzieja, po czym poszedł położyć się na kanapie. Za kilka godzin musiał ruszać na spotkanie z Janem Berganem i jego matką. Może oni pomogą mu zbliżyć się do rozwiązania zagadki starej stodoły.

15

Wsiadł do auta po czterech godzinach snu. Przejechał przez miasto i skręcił na E18 w kierunku Oslo. Minął się z pługiem śnieżnym z dźwięczącymi łańcuchami, który wzbijał w powietrze chmury białego puchu. Śnieg oblepił całą przednią szybę, Wisting musiał zwolnić i poczekać, aż odgarną go wycieraczki.

Zła pogoda wyraźnie spowalniała ruch. Po wyjeździe z nowego tunelu w Holmestrand Wisting utknął w długim korku, który utworzył się za ciężarówką. Wyruszył sporo przed czasem, a mimo to zaczął się zastanawiać, czy się przypadkiem nie spóźni. Bębniąc palcami o kierownicę, wrócił myślami do oglądanego w bibliotece mikrofilmu. Jeśli ta podróż przyniesie informacje, na które liczył, nie będzie musiał czytać kolejnych starych gazet.

Na wysokości Sande wlokąca się ciężarówka wreszcie zjechała z drogi, ale korek rozładował się dopiero za bramkami niedaleko Drammen, gdzie trasa przechodziła w dwupasmówkę. Wisting skierował się na obwodnicę Oslo, nie chcąc przebijać się przez centrum miasta. Przy torze wyścigów konnych Bjerke zjechał na miejsce postojowe i otworzył atlas samochodowy, żeby zaplanować dalszą trasę. Zgubił się dwa razy, ale w końcu znalazł niski blok, w którym na trzecim piętrze mieszkała Ragna Bergan.

Drzwi otworzył jej syn. Był krótko po sześćdziesiątce, wysoki, o gęstych, ciemnych włosach i równie ciemnej brodzie. Uścisnęli sobie dłonie, Wisting

podziękował mu za rozmowę telefoniczną z poprzedniego dnia.

Okna mieszkania wychodziły na zachód, roztaczał się z nich widok na Oslofjorden i resztę miasta. W salonie na stoliku przykrytym robioną na szydełku serwetą czekał porcelanowy serwis do herbaty. Ragna Bergan wyszła z kuchni z tacą ciastek. Miała zupełnie białe włosy, przygarbione plecy i lekko powłóczyła nogami. Odstawiła tacę, wytarła powykręcane przez reumatyzm dłonie w fartuch i przywitała się z Wistingiem.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać – powiedział policjant.

– Proszę siadać – odrzekła starsza kobieta. – Zaraz przyniosę kawy.

Wisting zajął miejsce na sofie. Na środku stołu wystawiono oprawione zdjęcie wysokiego mężczyzny o orlim nosie. Miał on na sobie ciemny uniform kierowcy z błyszczącymi guzikami i charakterystyczną czapkę na głowie. Wisting założył, że to mąż gospodyni, Martinius Bergan. Na fotografii, tuż za jego plecami, było jeszcze czarne, wypucowane auto o opływowych kształtach.

– To tato – Jan Bergan potwierdził jego domysły. – Po ogłoszeniu bankructwa zatrudnił się jako taksówkarz. Po wojnie dostał własny samochód. Chevroleta.

Mężczyzna mówił o tym zupełnie tak, jakby zakładał, że Wisting jest wtajemniczony w historię jego rodziny. On tymczasem nie miał pojęcia o żadnym bankructwie, ale podejrzewał, że mogło to mieć związek z zaginięciem jednego z należących do firmy aut.

Ragna Bergan wróciła z imbrykiem z kawą, napełniła trzy czekające na stole filiżanki, po czym usiadła.

– Nie wiem nic konkretnego o sprawie z 1925 roku – zaczął Wisting, starając się mówić tak głośno i wyraźnie, jak tylko się dało. – Z tego, co wiem, nie toczyło się w tej sprawie śledztwo, przynajmniej nie w moim dystrykcie. Ale teraz zdaje się, że auto wypłynęło właśnie u nas.

Starsza pani i jej syn czekali, co powie dalej.

– To był czysty przypadek – ciągnął Wisting i wyjaśnił, że jego znajomy,

Rupert Hansson, szukał dla siebie nowego projektu – zabytkowego wozu do odrestaurowania.

Jan Bergan zaczął pytać o szczegóły. Chciał wiedzieć, do kogo należała stodoła, jak to możliwe, że auto stało w niej tak długo, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, i w jakim było stanie. Wisting odpowiadał najlepiej jak umiał, ale przemilczał dziury po kulach. Wyjaśnił za to, że ślad po napadzie na bank urywał się przypadkiem tuż przy starej stodole.

– Znaleźliście coś wewnątrz auta? – zapytał Jan Bergan.

– Starą gazetę – odparł Wisting. – „Aftenposten” z poniedziałku 17 sierpnia 1925.

– Żadnych śladów mogących sugerować, jak samochód tam trafił?

Wisting upił łyk kawy.

– Najprawdopodobniej wiem jeszcze mniej niż państwo – przyznał. – Czy mogą mi państwo powiedzieć, co się stało po zaginięciu auta?

Jan Bergan zerknął na matkę. Starsza pani wyprostowała się na krześle.

– Martinius założył firmę transportową razem ze swoim bratem w 1922 roku – zaczęła. – Ich ojciec też był przewoźnikiem, miał wozy i konie. Gdy chłopcy zaczęli u niego pracę, zainwestowali w samochody. Długi czas to był jedyny taki interes w Oslo i mieli mnóstwo roboty. Jeździli po całym mieście. Dorobili się trzech aut osobowych, czerech dostawczych i dziesięciu pracowników.

Kobieta zamilkła, jakby przeniosła się myślami do tamtych czasów. Wisting odchrząknął, odstawiając filiżankę na spodek. Ragna Bergan otrząsnęła się z zamyślenia.

– No a potem, w 1925, była ta wyprawa na południowe wybrzeże – kontynuowała, westchnąwszy. – To miała być tajemnica. Nie miałam o niczym pojęcia do chwili, gdy zaginał transport.

Wisting musiał ujawnić się ze swoją niewiedzą.

– Tajny transport?

Ragna Bergan zerknęła na syna. Wydawała się zmęczona, w jej oczach

był jakiś błagalny wyraz.

– To było zlecenie z Norweskiego Banku Narodowego – zabrał głos jej syn. – Firma ojca została najęta do przewiezienia gotówki z filii w Kristiansand do głównego oddziału w Oslo.

– Jan miał wtedy dopiero trzy latka – wtrąciła Ragna.

– Pieniądze przewożono zazwyczaj pociągiem, ale na kolei trwał akurat strajk – ciągnął syn. – Bankowi zależało, by transport dojechał na czas, dlatego tato został w to zaangażowany.

Ragna Bergan podsunęła Wistingowi tacę z ciastkami i strzepnęła ze stołu kilka okruszków.

– To było oczywiście łamanie strajku – powiedziała z zakłopotaniem. – Dlatego wszystko utrzymywano w tajemnicy. Nikt nie mógł się dowiedzieć o tej wyprawie. Ani wtedy, ani później. Dlatego wszystko zamieciono pod dywan.

– Bankowi Narodowemu zależało, żeby gotówka dojechała na czas – znów odezwał się jej syn. – Na południu w obiegu było mnóstwo banknotów, ale w stolicy już nie. Zaczynało ich brakować. Mogli oczywiście dodrukować pieniądze, ale bali się inflacji.

Wisting wyciągnął notatnik i zapisał kilka najważniejszych haseł.

– Ale co się właściwie stało? – chciał wiedzieć.

Ragna Bergan złożyła dłonie na kolanach i wyłamała sobie palce.

– Pojechał Marvin – wyjaśniła. – Brat Martinius. I już nie wrócił.

– Więc zniknęło auto, pieniądze i kierowca? – Wisting chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał.

Ragna Bergan skinęła głową.

– Najpierw myśleliśmy, że miał wypadek – wyjaśniła. – Pieniądze miały trafić do Oslo w czwartek po południu. Kiedy zaczął się spóźniać, pomyśleliśmy, że złapał gumę albo przytrafiło mu się coś podobnego i że zaraz przyjedzie. Wtedy było zupełnie inaczej niż dziś, kiedy prawie każdy ma w domu telefon. Marvin nie mógł zadzwonić i uprzedzić o spóźnieniu. Ale mijało coraz więcej czasu i zaczęliśmy się martwić, że może miał

wypadek i leży gdzieś w rowie. W sobotę rano Martinius wysłał na poszukiwania jednego ze swoich kierowców, ale nadaremno.

– A policja?

– Zgłosiliśmy się do nich już w piątek, ale oni mówili, że to wina Marvina.

– Jak to?

– Twierdzili, że zwiął gdzieś z pieniędzmi. Tak czy inaczej, Martinius został pociągnięty do odpowiedzialności jako właściciel firmy. Zgodnie z umową odpowiedzialność za transport ponosił przewoźnik. Nie byli w stanie wypłacić odszkodowania i musieli ogłosić bankructwo.

– Marvin nigdy nie postawiłby taty w takiej sytuacji – stwierdził Jan Bergan.

Jego matka przyznała mu rację.

– Policja była zdania, że Marvin prędzej czy później się znajdzie – wyjaśniła. – Że wróci, jak skończą mu się pieniądze. Ale my już nigdy go nie zobaczyliśmy.

– O jak dużej kwocie mówimy?

Na pytanie Wistinga odpowiedział syn gospodyni:

– Czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Wtedy to była zawrotna suma. Gdyby to przeliczyć, to dziś wyszłoby pewnie ponad cztery miliony.

Wisting dokonał w myślach szybkiego rachunku i stwierdził, że to jakieś trzydzieści jego rocznych pensji.

– W dodatku w transporcie były jeszcze cztery kilogramy złota – ciągnął Jan Bergan. – Ceny złota były już wtedy wysokie, ale od tamtych czasów wzrosły chyba dwukrotnie.

– I był tylko jeden kierowca, z całym tym skarbem?

– Pieniądze leżały w zamkniętej kasetce – wyjaśniła starsza pani. – Kolejną też by tak pojechały.

– Jak państwo sądzą, co się stało?

– Martinius był przekonany, że na jego brata napadli zbóje.

– A co na to policja?

– Nie wiem, ale chyba nikt mu nie uwierzył. W tamtych czasach w Norwegii nie grasowały żadne bandy.

– Poza tym nikt przecież nie wiedział o transporcie – dodał Jan Bergan.
– Wszystko odbywało się w tajemnicy ze względu na strajk.

– Dlatego Martinius podejrzewał, że był w to zamieszany ktoś z banku w Kristianii – ciągnęła matka mężczyzny. – Że jakiś zbój pojechał za Marvinem i zepchnął go z drogi.

– Tylko dlaczego nie zrobił tego wcześniej? – zapytał Wisting. – Larvik leży mniej więcej w połowie drogi między Kristiansand a Oslo. Długa trasa jak dla śledzącego transport zbója.

Starsza pani przekrzywiła głowę, jakby to, co właśnie powiedział policjant, dało jej do myślenia.

– Rozmawiał pan z Ruth i Dagfinnem? – zapytała.

– Dagfinn przecież nie żyje, mamó – przypomniał jej Jan Bergan.

Kobieta pokiwała głową i przeprosiła.

– A kim są Ruth i Dagfinn? – spytał Wisting.

– Ruth to kuzynka Martiniususa i Marvinina – wyjaśniła starsza pani. – Jej mąż, Dagfinn, pochodził z Larviku. Mieszkali tam. Marvin zatrzymał się u nich na noc, a rano pojechał dalej.

Wisting pochylił się i zanotował te imiona.

– Robił sobie po drodze przystanki?

– Podróż automobilem do Kristiansand trwała wtedy ponad dwadzieścia godzin – przypomniała mu Ragna Bergan. – Marvin przenocował w Larviku u Ruth i Dagfinna, ale zajrzał po drodze jeszcze w kilka miejsc, by dostarczyć tam przesyłki. W Kristiansand przespał się w hotelu.

– Czy policja rozmawiała wtedy z Ruth i Dagfinnem?

– Kilka razy.

– A z panią?

– Ależ tak – potwierdziła Ragna Bergan. – Ale przede wszystkim wypytywali Martiniususa.

– Pamięta pani może jakieś nazwiska tych śledczych? – spytał Wisting.

– Ten, co wydawał im rozkazy, to był chyba Michalsen – odparła kobieta pospiesznie. – Ale kilka razy zaglądał do nas jeszcze taki młody policjant. Do Larviku też, zdaje się, pojechał. Miał takie szwedzkie nazwisko, Gustafsson. I mówił, jakby był Szwedem, wtrącał co chwila jakieś ichnie słowa. Mieszkał w Skillebekk, niedaleko miejsca, w którym Martinius miał garaż na samochody.

– Orientuje się pani, czy ten człowiek nadal żyje?

Ragna Bergan potrząsnęła głową.

– Martinius powiedział mi, że przewiózł go raz taksówką – przypomniała sobie nagle i przeniosła wzrok na oprawione zdjęcie na stole. – To musiało być jakoś na początku lat pięćdziesiątych. On był zaledwie o kilka lat starszy ode mnie i Martinius.

Wisting zerknął do notatnika. Podkreślił imię Ruth. Pogrubiał teraz kreskę, zapytał o nazwisko kobiety i zanotował: Skaugen. Ruth Skaugen.

Rozmowa toczyła się przez kolejne pół godziny. Wisting zadał jeszcze kilka pytań, ale nie udało mu się ustalić zbyt wielu nowych faktów.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział, wstając. – To auto nadal formalnie należy do państwa?

Ragna Bergan i jej syn spojrzeli po sobie. Widać było, że w ogóle się nad tym nie zastanawiali.

– Dopuszczają państwo możliwość jego sprzedaży? – spytał Wisting.

– Nie chcemy go – stwierdził Jan Bergan. – Ale chętnie bym go obejrzał, zobaczył, gdzie stoi.

Matka mu przytaknęła. Wstała z trudem i odprowadziła policjanta do drzwi.

Wychodząc z klatki schodowej, Wisting poczuł się, jakby zdjął właśnie z tych ludzi część ciężaru i wziął go na swoje barki. Nie był w stanie powiedzieć im z całą pewnością, co wydarzyło się wtedy, przed blisko sześćdziesięcioma laty. Obudził pewnie zapomniane już, bolesne wspomnienia. Ale może rodzinie zaginionego było łatwiej teraz, gdy wiedzieli, że nie są już sami.

16

Wisting wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i zostawił pojazd na biegu jałowym, po czym wysiadł i odgarnął śnieg z szyb. Kilka minut później był znów na obwodnicy.

Po przejechaniu kilkuset metrów zjechał na stację benzynową, by zatankować. Z budki telefonicznej wyszła kobieta. Wisting spoglądał na nią, nalewając paliwo do baku. Nieznajoma owinęła się szczelnie szalem i ruszyła w kierunku pobliskich bloków.

Wisting zapłacił, po czym wszedł do budki, otworzył książkę telefoniczną i znalazł numer Arnego Vikene. W książce było dwóch mężczyzn o tym samym imieniu i nazwisku, ale jeden z nich opisany był dodatkowo jako „funkcjonariusz policji”.

Arne Vikene podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale i uspokoił Wistinga, gdy ten zaczął przeproszać, że dzwoni pod numer prywatny.

– Dziękuję za faks – powiedział Wisting i dodał, że wraca właśnie od wdowy po właścicielu auta. O transporcie pieniędzy nie wspomniał ani słowem.

– Wdowa chce sprzedać samochód? – spytał Vikene.

– Tak, ale obawiam się, że już mam na niego kupca.

– I bardzo dobrze. Fajnie będzie zobaczyć ten wóz znów na chodzie.

– Zastanawiam się nad jeszcze jedną rzeczą – ciągnął Wisting. – Pracuje pan w stołecznej policji już od dawna. Może kojarzy pan śledczego Gustafssona, który mieszkał w Skillebekk?

– Ten Szwed, no jasne – odrzekł Vikene. – Pracowałem z nim w latach sześćdziesiątych. Od wielu lat jest już na emeryturze, ale wpada czasem do komendy na spotkania integracyjne. A po co on panu?

– Zniknięciu tego auta towarzyszyły dość szczególne okoliczności – wyjaśnił Wisting. – Pracownik firmy przewozowej był podejrzewany o ucieczkę tym samochodem z przewożonym transportem. Gustafsson badał tę sprawę.

– Ach tak – burknął Vikene. – Jego żona zmarła, kiedy był jeszcze na etacie. Chyba nadal mieszka w Skillebekk. Ragnar Gustafsson. Jeśli pan sam go nie namierzy, to ja do niego dotrę przez nasz wydział kadr.

Wisting podziękował za pomoc i znalazł Ragnara Gustafssona w książce telefonicznej. Wrzucił do automatu kilka dodatkowych monet i wybrał numer. Czekał dość długo i już miał odłożyć słuchawkę, gdy nagle odezwał się ochrypły głos:

– Halo?

– Czy to pan Ragnar Gustafsson?

– A kto pyta?

Wisting przedstawił się i wyjaśnił, że pracuje w policji w Larviku.

– Chodzi o transport gotówki przewożony przez Towarzystwo Przewozowe w Kristianii, który zaginął w 1925 roku – dodał. – Pamięta pan może tę sprawę?

– Owszem, a o co chodzi?

– Znalazłem tamto auto.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki wstrzymał oddech.

– Gdzie? – zapytał.

– W starej stodole – wyjaśnił Wisting. – Jeden ze świadków twierdzi, że zostało tam wstawione w pewną letnią noc w 1925. I tak tam sobie do teraz stoi.

– A kierowca?

Na parking przy budce telefonicznej wjechał pług odśnieżający. Wisting musiał podnieść głos.

– Nie mam na jego temat żadnych informacji – powiedział. – Na temat pieniędzy zresztą też nie, ale wszystko wskazuje na napad. W samochodzie są dwa ślady po kulach.

Gustafsson odchrząknął.

– Ale to czyni całą sprawę jeszcze bardziej tajemniczą – stwierdził.

Wisting wsunął w szparę automatu kolejną monetę.

– Jestem teraz w Oslo – powiedział. – Może moglibyśmy się spotkać?

– Gabels gate 9 B – odrzekł Gustafsson krótko. – Pierwsze piętro.

Wisting podziękował, zakończył rozmowę i wrócił do swojego auta. Znalazł adres w atlasie samochodowym i ruszył w kierunku centrum. Zaledwie pół godziny później siedział przy kaflowym piecu w salonie Ragnara Gustafssona. Emerytowany śledczy był starym mężczyzną o zapadniętych policzkach i plamach wątrobowych na dłoniach. Jego oczy były matowe, jak gdyby tęczęwki wyblakły z wiekiem.

Wisting opowiedział o zbiegu okoliczności, który doprowadził do odnalezienia minervy.

– Prędzej czy później musiało to nastąpić – stwierdził wiekowy policjant. Splótnął spoczywające na stole dłonie, wiotka skóra napięła się na ich kostkach.

– Badał pan tę sprawę – ciągnął Wisting. – Miał pan jakąś teorię, co się wtedy stało?

Gustafsson otworzył i zacisnął pięść, dając sobie trochę czasu do namysłu.

– Prowadzący śledztwo inspektor doszedł do wniosku, że kierowca zwiął z samochodem i pieniędzmi – odpowiedział. – Właściwie to nie było podstaw, by zakładać, że stało się inaczej. Widzi pan, trwał wtedy konflikt na kolei. Cierpiał na tym transport z Oslo i do Oslo. Narodowy Bank Norweski był zależny od dostaw gotówki z prowincji, bo w stolicy zaczynało brakować banknotów. Dlatego postanowiono wysłać po te pieniądze samochód.

Wisting już to wiedział, ale pozwolił starszemu panu mówić. Liczył, że

może wypłyną dzięki temu jakieś nowe szczegóły.

– A zatem nie może być mowy o żadnych regularnych transportach albo trasach umożliwiających zaplanowanie napadu – ciągnął Gustafsson. – A nawet wręcz przeciwnie. Ta wyprawa to było łamanie strajku, dlatego została zorganizowana w tajemnicy. O sprawie wiedziało tylko kilka osób. Brat kierowcy i jednocześnie jego wspólnik, dyrekcja banku w Oslo i kilku zaufanych pracowników w Kristiansand. Jeśli ktoś miałby się na takim napadzie wzbogacić, to musiały to być osoby z tego kręgu. Wina kierowcy wydaje się najbardziej bezdyskusyjna. Na tylnym siedzeniu jego wozu znalazła się nagle kasetka z pieniędzmi o wartości kilkuset tysięcy koron. Trudno w takiej sytuacji oprzeć się pokusie.

– Ale ślady po pociskach wskazują, że to jednak był napad – skomentował Wisting. – Ich umiejscowienie i trajektoria kul sugerują, że kierowca został trafiony.

Ragnar Gustafsson zatarł dłonie.

– On miał na imię Marvin – przypomniał sobie. – Ten kierowca. Marvin Bergan. Prowadził firmę przewozową razem z bratem.

Wisting wyjął swój notes i wyjaśnił, że był wcześniej u wdowy po bracie Marvina, Martiniusie Berganie.

– Powiedziała mi, że kierowca zatrzymywał się kilka razy w drodze na południe – powiedział. – Może ktoś się domyślił celu jego podróży i czekał na niego, gdy ten wracał?

– Jest taka możliwość – przytaknął emerytowany policjant.

Przygryzł wargę i siedział przez chwilę bez słowa, wpatrując się w jakiś punkt na ścianie za plecami gościa. Minęła minuta, ale Wisting nie chciał przerywać ciszy.

– Zaczynam sobie przypominać – odezwał się wreszcie Gustafsson, unosząc palec wskazujący do skroni. – Trochę ciężko mi się myśli, ale chyba pamiętam, że on odwiózł jakieś części maszyn do odlewni żeliwa w Drammen i dostarczył dokumenty właścicielowi kompleksu Bærums Verk. Rozmawiałem i z tym właścicielem, i z brygadzystą w odlewni, ale

najbardziej interesował nas przystanek kierowcy tam u was na południu, w Larviku.

Wisting dostrzegł błysk w jego zmęczonych, zmatowiałych oczach. Stały się nagle jakby większe, źrenice rozszerzyły się, jak gdyby Gustafsson dokonywał właśnie nowych odkryć w odmętach swojej pamięci.

– Zatrzymał się tam u rodziny. Miał u nich nocować także w drodze powrotnej, ale już się nie pojawił.

– Mówi pan o Ruth i Dagfinnie Skaugenach?

Ragnar Gustafsson wymierzył palec wskazujący w Wistinga i dźgnął nim powietrze dla podkreślenia, że o to właśnie nazwisko mu chodziło.

– Do nich też się wybraliśmy na rozmowę – ciągnął. – Sporo rodziny się u nich zebrało. Jeszcze kilkoro sąsiadów i najęci do pomocy ludzie. Siedziałem tam trzy dni i przesłuchiwałem ich wszystkich.

– I co się udało ustalić?

– Nic. Marvin Bergan zawitał do nich po południu. Był gorący letni dzień. Siedzieli w ogrodzie do późna. Bergan dostał sypialnię jednego z dzieci. A następnego ranka pojechał dalej. Wspominał, że ma do odebrania w Kristiansand transport, ale nie powiedział, jaki.

Wisting rozparł się na krześle, próbując sobie wyobrazić ludzi siedzących przy stole w ciepły letni wieczór roku 1925. Może Marvin Bergan wygadał się o misji, która została mu powierzona?

Wyprostował plecy i spojrzał w oczy starego śledczego.

– Wie pan, gdzie są teraz dokumenty tej sprawy?

Ragnar Gustafsson skrzywił się, jakby to pytanie było dla niego bardzo trudne.

– Spakowaliśmy papiery po pół roku – powiedział. – Trafiły do piwnicy budynku komendy na Victoria terrasse. Potem przyszła wojna, a w latach pięćdziesiątych dużą część archiwum strawił pożar. Przy odrobinie szczęścia dokumentacja sprawy mogła zostać przed tym przekazana do Archiwum Państwowego. Ale to i tak panu nic nie da, nie znajdzie pan w tych starych papierach żadnych odpowiedzi. Tylko same ślepe zaułki.

– A co pan by zrobił – spytał Wisting – gdyby miał pan na nowo otworzyć to śledztwo?

Matowe oczy starszego pana znów błysnęły.

– Prześledziłbym trasę, którą on jechał – odrzekł. – Sprawdził każdego, kogo spotkał na drodze do Kristiansand. Zniknęło wtedy czterysta pięćdziesiąt tysięcy koron. To bardzo dużo. Takie pieniądze zostawiają zawsze w życiu ludzi jakiś ślad. Dobry albo zły.

Wisting wrócił do domu zaledwie godzinę przed tym, jak musiał znów ruszać na nocny dyżur. Bliźniaki spały, a Ingrid czytała książkę. Pocałował ją, po czym zajrzał do Thomasa i Line. W pokoju, w którym spały dzieci, panowała zawsze szczególna atmosfera. Maluchy oddychały równo, ze spokojnymi, błogimi minami.

Wrócił do salonu. Ingrid odłożyła książkę i z uwagą wysłuchiwała opowieści męża o ostatnich odkryciach w sprawie.

– Co teraz zrobisz? – spytała.

– Napiszę raport o tych ustaleniach i dam go Ovemu Dokkenowi.

– I co będzie dalej?

– Chociaż raport trafi do niego, to jednak teraz jest on tak zajęty tym napadem na bank, że pewnie na razie go odłoży. Nic się przecież nie działo w tej sprawie od niemal sześćdziesięciu lat. Nic się nie stanie, jak poczeka trochę dłużej.

Przed wyjazdem do pracy Wisting wypił dwie filiżanki kawy w nadziei, że to go trochę pobudzi. W budynku komendy zdążył wlać w siebie kolejne pół kubka, zanim pojechał do pierwszego zgłoszenia. W piątkowe wieczory zawsze dużo się działo: awantury w restauracjach, zwłaszcza teraz, gdy wiele firm urządzało spotkania opłatkowe. Dopiero krótko po trzeciej w nocy radiowóz mógł wrócić na komendę, zaraz po rozdzieleniu dwóch mężczyzn bijących się na postoju taksówek.

Wisting nalał sobie kolejny kubek kawy i poszedł z nim do wydziału

kryminalnego. Drzwi do gabinetu Ovego Dokkena były otwarte. Stosy akt spraw z całego tygodnia piętrzyły się na blacie biurka. Wisting wszedł do środka i zaczął przerzucać papiery, aż trafił na teczkę opisaną nazwiskiem Simona Beckera.

Z dokumentów wynikało, że zatrzymany mężczyzna został przesłuchany, po czym trafił do aresztu.

Wisting znalazł protokół z przesłuchania. Trzy pierwsze akapity poświęcone były przyznaniu się Beckera do usiłowania kradzieży auta i zaatakowania policjanta, który go aresztował.

Wisting rozpoznał strategię typową dla recydywistów. Chodziło o to, by przyznać się do tego, od czego i tak nie było szansy się wyłgać. Policjanci często byli usatysfakcjonowani tym, co serwowali im podejrzani, i zostawiali ich w spokoju, nie roztrząsając innych czynów, których ci mogli się ewentualnie dopuścić.

Ale Simon Becker nie wywinął się tak łatwo. Kolejny akapit protokołu informował, że zaprezentowano mu dwa radia samochodowe znalezione pod łóżkiem w jego mieszkaniu. Mężczyzna szedł w zaparte, twierdząc, że kupił je od człowieka, którego nazwiska nie znał. Podejznanego wypytano także o pochodzenie pary okularów słonecznych, białej bluzy z różowym napisem „Ball” i kilku kaset magnetofonowych: *Let's dance* Davida Bowiego, *Thriller* Michaela Jacksona oraz *Sunday People* zespołu The Monroes. Simon Becker wyjaśnił, że kasety nabył na różnych stacjach benzynowych. Twierdził, że okulary ma już od bardzo dawna, podobnie zresztą jak bluzę.

Pod koniec przesłuchania zapytano go o czarną sierrę, skradzioną przed kilkoma tygodniami, ale Becker utrzymywał, że nie miał z tym nic wspólnego.

Wisting dalej przeglądał akta sprawy. Doteczki włożono raport sporządzony właściwie w związku z innym śledztwem. Jeden z policjantów spisał zeznania mężczyzny, któremu skradziono samochód, wykorzystany w napadzie na bank. Właściciel opisywał przedmioty, które zostawił

w samochodzie. Wymienił wśród nich białą bluzę marki Ball, okulary przeciwsłoneczne Ray-Bana i kasety z ostatnimi albumami Davida Bowiego, Michaela Jacksona i The Monroes.

Wisting uśmiechnął się zadowolony. Raport potwierdzał jego podejrzenia. To Simon Becker ukradł auto, którym potem posłużyli się włamywacze. Nie podejrzewał, by złodziejaszek był zamieszany w napad w jakikolwiek inny sposób. Gdyby było inaczej, nie kradłby kolejnego samochodu zaledwie kilka nocy później. Najprawdopodobniej opróżnił sierzę ze wszystkich wartościowych przedmiotów, po czym przekazał ją dalej. Ale to oznaczało, że najprawdopodobniej za napad odpowiedzialny był ktoś związany z lokalnym środowiskiem przestępczym.

Znalazł raport z listą skonfiskowanych przedmiotów. Oprócz dwóch samochodowych odbiorników radiowych i rzeczy ze sierry wymieniono w dokumencie notatniki, zeszyty, luźne kartki i arkusze papieru. Wisting natychmiast zrozumiał, o co chodziło śledczym. Szukali jakiegoś powiązania między Simonem Beckerem a człowiekiem, któremu przekazał skradzioną sierzę, albo śladów kontaktu z włamywaczami.

Magazyn skonfiskowanych przedmiotów mieścił się na tym samym piętrze, kilka drzwi dalej. Procedury związane z dostępem do niego zaostrzono, odkąd Wrangsund został przyłapany na kradzieży. Odbiór klucza należało pokwitować u szefa wydziału, a przechowywano go na dole, w biurku oficera kierującego zmianą.

Wisting zszedł do swojego wydziału. Haugen i Storvolden drzemali w swoich fotelach w dyżurce. Wisting podszedł do biurka kierownika zmiany, wysunął szufladę, w której leżał klucz, i zabrał go za sobą.

W magazynie przedmiotów skonfiskowanych nie było okien. Wisting zapalił światło pod sufitem. Rzeczy zabrane z mieszkania Simona Beckera leżały na jednej z półek najbliższej drzwi. Kasety magnetofonowe, okulary przeciwsłoneczne, bluza, radia samochodowe i kartonowe pudło pełne różnych papierów. Były wśród nich karteczki z zanotowanymi numerami telefonu albo kwotami, niektóre z nich opatrzone dodatkowo inicjałem lub

data. Uporządkowanie tego chaosu zajmie z pewnością sporo czasu i wcale nie było gwarancji, że zawarte tu informacje pomogą śledczym posunąć się naprzód.

Wisting obejrzał niewielki notatnik, wypełniony numerami telefonów, imionami i ksywami. Numery były w większości lokalne, tu i ówdzie przewijał się kierunkowy do Sandefjord albo Tønsberg. Żadnego numeru ze stolicy. Wisting pomyślał przez chwilę i postanowił zrobić kserokopię i porównać ją ze swoimi notatkami – może któreś z imion przewijało się we wcześniejszych sprawach Simona Beckera.

Zaniósł notatnik do pokoju z kserokopiarką i uruchomił maszynę. Musiał poczekać, aż się rozgrzała. Nagle zatrzeszczało przenośne policyjne radio, które miał przy sobie.

– Wisting wzywany do dyżurki!

Uniósł nadajnik do ust i zameldował się.

– Zgłoszono pożar domu w Byskogen – wyjaśnił Storvolden.

– Przyjąłem.

Kserokopiarka była gotowa. Wisting nacisnął duży, zielony klawisz, maszyna wydała z siebie kilka pełnych mozołu zgrzytów, po czym wypluła zadrukowany arkusz papieru do bocznej szufladki.

Kopia była niewyraźna, ale musiała wystarczyć. Wisting wyłączył urządzenie, odniósł notatnik do magazynu przedmiotów skonfiskowanych i zbiegł na dół po schodach.

– Haugen już czeka w aucie – zrugął go Storvolden zza biurka. – Gdzie ty się, do cholery, podziewałeś?

– Byłem w kiblu – odparł Wisting, wrzucając klucz z powrotem do szuflady.

Storvolden posłał mu pytające spojrzenie, ale on pędził już do czekającego radiowozu.

Gdy przyjechali na miejsce, cały dom stał w płomieniach. Słysząc było co chwila złowieszcze, suche trzaski, iskry strzelały wysoko w nocne niebo. Strażacy byli już na miejscu, ale mieli kłopoty z uruchomieniem sprzętu.

Właściciel domu stał na śniegu z zarzuconym na ramiona kocem. Na nogach miał zielone gumki. Wisting podszedł do niego. Mężczyzna wyjaśnił, że cała jego rodzina zdołała się bezpiecznie wydostać z płonącego budynku i skinął głową, wskazując kuchenne okno domu sąsiada. Cztery twarze za szybą wpatrywały się z napięciem w ogień.

Wisting przekazał tę informację Storvoldenowi i znów zwrócił się do właściciela. Ciężko było rozmawiać z pogrążonym w rozpacz człowieka, zachowując przy tym pełną powagę i profesjonalizm – cechy przypisane roli policjanta.

– Wie pan, jak doszło do pożaru? – spytał.

Mężczyzna potrząsnął głową, ale powiedział, że w salonie trwały prace remontowe i że to chyba tam wszystko się zaczęło. Nie wykluczał, że doszło do samozapłonu nasyconych olejem szmat.

Strażacy wreszcie uporali się ze sprzętem i z węży gaśniczych trysnęła woda. Wisting stał przez dłuższą chwilę obok właściciela domu, który w końcu stwierdził, że nie może już dłużej na to patrzeć, i dołączył do swojej rodziny u sąsiada.

Gdy kilka godzin później Wisting opuszczał miejsce pożaru, z budynku zostały tylko dymiące ruiny, nad którymi unosił się smród spalenizny.

Nocny dyżur dobiegał końca. Przed powrotem do domu Wisting usiadł jeszcze do maszyny i spisał raport z dramatycznych wydarzeń. Za kilka miesięcy nie będzie już wcale myślał o tej sprawie. Za kilka lat zdąży zobaczyć już tak wiele ludzkich tragedii, że zapomni o pożarze. Ale ludziom, których życie odmieniło się tej nocy na zawsze, wspomnienie płonącego domu towarzyszyć będzie pewnie do końca ich dni.

Za oknem komendy przejechał pług śnieżny. Wisting dźwignął się z krzesła. Ciekawe, co Ruth Skaugen pamięta z lata 1925 roku, pomyślał.

18

W poniedziałek rano Wisting siedział na krześle na korytarzu przed gabinetem szefa wydziału Ovego Dokkena. Na jego kolanach leżał raport zawierający wszystkie zebrane dotychczas informacje o samochodzie stojącym w stodole w Tveidalen i o transporcie pieniędzy z 1925 roku.

Wisting przesiedział weekend w domu z Ingrid i bliźniakami. Ale cały czas składał i redagował w myślach poszczególne zdania raportu. Niedzielne popołudnie spędzili u teściów, pożyczył od ojca Ingrid starą maszynę do pisania i naniósł informacje na formularz, który zabrał z komendy.

Jedna z archiwistek przyniosła mu kawę w kartonowym kubeczku. Miała dwuczłonowe imię, ale Wisting nie zdołał go sobie przypomnieć.

– Zwykle kończą mniej więcej za kwadrans dziewiąta – powiedziała kobieta, wskazując skinieniem głowy zamknięte drzwi biura Dokkena.

Wisting podziękował jej i upił łyk kawy. Za dziesięć dziewiąta drzwi stanęły otworem, a z gabinetu zaczęli wychodzić kierownicy poszczególnych jednostek. Dokken został w środku sam, ledwie widoczny zza stosu papierów na biurku. Sięgnął po papierosy i wyłowił jednego z paczki.

Wisting wetknął głowę przez drzwi.

– Ma pan trochę czasu? – zapytał.

– Znow chodź o ten napad? – Dokken zapalił papierosa.

– Nie, o inną sprawę – odparł Wisting. – Dość starą.

Szef wydziału zaciągnął się i wbił w niego wzrok.

– Jest poniedziałek rano, Wisting – westchnął, wypuszczając chmurę dymu. – Zły dzień i zła pora, by wywlekać stare sprawy – uderzył otwartą dłonią w leżące na biurku akta. – W sam ten weekend przybyło nam więcej niż dość nowych.

– Mogę wrócić jutro – zaproponował Wisting.

– Siadaj! – burknął Dokken, zerkając na ścienny zegar. – Masz pięć minut, potem muszę biec na spotkanie w sprawie tego włamania.

Wisting zajął miejsce.

– Napisałem raport – powiedział, kładąc papiery na stole.

Dokken przyjrzał się im, ale nie ruszył ich z miejsca.

– Chodzi o transport pieniędzy, który zaginął prawie sześćdziesiąt lat temu – ciągnął Wisting. – Chyba wpadłem przez przypadek na jego trop.

Dokken rozparł się na krześle i słuchał, nie zadając pytań i nie przerywając.

– Powinieneś być teraz w ogóle w pracy? – spytał, gdy młody policjant skończył swoją opowieść.

– Przyjechałem tylko po to, żeby złożyć ten raport – wyjaśnił Wisting.

Dokken zgasił papierosa i znów przeniósł wzrok na zegar.

– Masz jakiś plan? – spytał.

– O co dokładnie pan pyta?

– Mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu, żeby zrzucić cały ten bałagan na mnie, bez żadnej propozycji, co z nim zrobić – zagrzmiał Dokken. – Co byś z tym począł, gdybyś był śledczym?

– Spróbowałbym znaleźć stare akta sprawy – odrzekł Wisting spokojnie.

– Potem wyprowadziłbym auto ze stodoły i wszystko dokładnie przeszukał. A na koniec przesłuchał jeszcze raz Ruth Skaugen.

– No i świetnie – orzekł Dokken, wstając. – Zrób to wszystko. Mogę ci dać dwadzieścia godzin ponadwymiarowego czasu pracy.

Wisting zerknął na niego.

– Chce pan powiedzieć, że mam pracować jako śledczy? – zapytał.

Dokken podniósł z biurka plik papierów w brązowej okładce i ruszył do drzwi.

– Zaczynaj od Ruth Skaugen – zaproponował. – I dawaj mi na bieżąco znać, co i jak.

Wisting posiedział jeszcze chwilę na krześle. W końcu wstał i poszedł do biura, z którego pozwolono mu skorzystać kilka dni wcześniej. Musiał zadzwonić do Ingrid i uprzedzić, że zostanie dłużej w pracy.

19

Ruth Skaugen mieszkała w Brekke. Wisting zadzwonił, by się z nią umówić. Okazało się, że kobieta rozmawiała już wcześniej z Janem Berganem, który wszystko jej wyjaśnił. Wytłumaczyła młodemu policjantowi, jak dojechać, i umówiła się z nim na jedenastą.

Wisting wybrał się na spotkanie własnym samochodem, ale zabrał ze sobą przenośne radio policyjne. Musiał zjechać z głównej trasy i pokonać kilkaset metrów szosą biegnącą wzdłuż zasypanych śniegiem pól, aż w końcu jego oczom ukazały się zabudowania wokół podwórza, nieopodal drogi. Dookoła nich rosły wysokie świerki. Udało mu się trafić do gospodarstwa Brekke.

Plac przed budynkiem mieszkalnym został odśnieżony. Wisting zaparkował i wysiadł z auta, zabierając ze sobą policyjne radio. Zanim doszedł do ganku, w drzwiach stanęła Ruth Skaugen. Miała srebrzyste włosy, okulary na nosie i twarz poprzecinaną siecią zmarszczek.

W sieni było ciepło. Kobieta, wspierając się na lasce, poprowadziła go do kuchni, gdzie w opalonym drewnem piecu trzaskał ogień. Filiżanki czekały już na stole, razem z dzbanuszką śmietanki i półmiskiem słodkich podkłomyków. Wisting usiadł, a starsza pani zdjęła z kuchenki czajniczek z kawą i rozlała ją do filiżanek.

– W końcu znaleźliście samochód – powiedziała, siadając pod oknem.

– Całkiem niedaleko stąd – potwierdził Wisting i opowiedział o stodole w Tveidalen.

– A Marvina wciąż ani śladu?

Policjant upił łyk kawy. Ruth Skaugen dołała śmietanki do swojej filiżanki.

– Miałem nadzieję, że będzie mi pani mogła opowiedzieć o waszym ostatnim spotkaniu – rzekł. – Pamięta pani tamten wieczór?

– Ależ oczywiście, że pamiętam. To był przecież ostatni raz, kiedy go widzieliśmy. Poza tym musiałam potem wszystko opowiadać policji. I to kilka razy.

Wisting czekał na ciąg dalszy.

– Chociaż właściwie nie za bardzo jest o czym mówić – stwierdziła siedząca przed nim kobieta.

– Ale mimo wszystko – poprosił Wisting, sięgając po notatnik.

Starsza pani upiła ostrożnie łyk kawy.

– Przyjechał tu bez zapowiedzi – zaczęła. – Ale nic w tym dziwnego. Sam się dowiedział, że ma jechać, krótko przed wyruszeniem w trasę. A my nie mieliśmy wtedy jeszcze telefonu.

Wyrzała za okno, na drogę.

– Pojawił się krótko przed porą obiadową – ciągnęła. – Lato było w tamtym roku takie gorące. Siedzieliśmy w ogrodzie. Na szczęście zrobiłam akurat cały gar potrawki z kury. Marvin chciał się zatrzymać w Hotelu Wassilioff, niedawno go odbudowali po pożarze, ale zaproponowaliśmy mu, rzecz jasna, by nocował u nas. Przygotowałam dla niego pokój Guttorma, naszego najmłodszego syna. Chłopak spał z nami w sypialni.

– Kto tu był tamtego dnia, oprócz pani i męża? – spytał Wisting.

– Brat Dagfinna. Spędził tu cały dzień, razem z Johannesem z majątku po drugiej stronie Furubrekka.

Wskazała palcem na wychodzące na zachód okno.

– I jeszcze jeden mężczyzna, którego najęliśmy do pomocy – ciągnęła. – Stawialiśmy nową stodołę na siano.

Wisting pochylił się nad blatem stołu.

– Kim był ten najęty pomocnik? – zapytał.

Ruth Skaugen uniosła filiżankę do ust.

– Nie pamiętam już – odparła i upiła łyk kawy. – Johannes nam go naraił. Dagfinn nie był z niego za bardzo zadowolony. Ociągał się, był niedokładny. Ale jego nazwisko macie na pewno w starych papierach. Policjanci z Oslo rozmawiali z nim, kiedy tu przyjechali.

– A Johannes? – pytał dalej Wisting. – Czy on nadal żyje?

Starsza pani potrząsnęła głową i podsunęła mu półmisek z podpłomykiem.

– Proszę spróbować – powiedziała. – Moja córka je zrobiła. Ja już niewiele piekę.

Wisting poczęstował się i zajrzał do notatek.

– Jak on miał na nazwisko?

– Johannes Brekka – odparła gospodyni, sama sięgając po podpłomyk.

– A brat Dagfinna, jak on się nazywał?

– Kai. Kai Skaugen.

Wisting zanotował.

– A po obiedzie przyjechał na rowerze Hansik – dodała staruszka. – Przywiózł truskawki i śmietankę.

– Hansik? – powtórzył Wisting.

– Hans Ole Manvik – wyjaśniła Ruth Skaugen.

– Czyli oprócz pani i Dagfinna był tu jeszcze pani szwagier Kai Skaugen, sąsiad Johannes Brekka, Hans Ole Manvik i najęty do pomocy mężczyzna – podsumował.

– I jeszcze najstarszy syn Johannes, Karstein – dodała kobieta i wstała od stołu. – Przecież mam zdjęcie. Karstein uczył się na fotografa u Ludwigsena w mieście. Chciał zrobić zdjęcie stodoły, którą wtedy stawialiśmy. Został na obiedzie i wszystkich nas też sfotografował.

Ruth Skaugen poszła do salonu i wróciła po chwili z albumem.

– No i oczywiście były tu też nasze dzieci – przypomniała sobie, szukając właściwej strony. – Gunnar, Guttorm i Solveig.

Położyła album na stole przed Wistingiem.

– A na obiad przyszła jeszcze Anna – dodała, siadając.

Wisting poczuł, że serce zaczyna mu bić nieco szybciej. Imię Anna było z pewnością przed sześćdziesięcioma laty bardzo popularne. Tak jak zresztą i teraz, ale to właśnie ono widniało na kopercie, którą znalazł w stodole w Tveidalen.

– Kto to Anna? – zapytał.

Kobieta po drugiej stronie stołu nieznacznie zacisnęła wargi.

– Stoi tu, z tyłu, po lewej stronie – wyjaśniła. – Narzeczona Kaia. Potem się pobrali, ale ja nie mam z nią dziś kontaktu. A Kai nie żyje.

Wisting przyjrzał się staremu zdjęciu. Pękło w kilku miejscach i nosiło wyraźne ślady minionych lat, ale komuś, kto znał uwiecznione na nim osoby, rozpoznanie ich twarzy zapewne nie nastroczało trudności. Przy stole w ogrodzie siedziało siedmioro dorosłych i troje dzieci. Na drugim planie majaczyła stara minerva.

– Czy to jest Marvin Bergan? – zapytał policjant, wskazując młodego mężczyznę w białej koszuli z krótkim rękawem.

Ruth Skaugen pochyliła się nad stołem.

– Tak – potwierdziła i wyjaśniła, kim są pozostałe osoby na zdjęciu.

Wisting przyglądał się im po kolei. Kobieta o imieniu Anna stała obok swojego przyszłego męża, Kaia. Ruth miała na sobie fartuch, na głowie zawiązała chustkę. Widać było, że to ciężko pracująca gospodyni. Była blada i chuda, wydawała się zmęczona. Anna wyglądała zupełnie inaczej. Miała ciemne loki, opadające swobodnie na ramiona, i słała fotografowi uśmiech.

– Dlaczego nie utrzymuje pani kontaktu z Anną?

Ruth Skaugen najwyraźniej nie miała na to pytanie żadnej dobrej odpowiedzi. Długo przeżuwała kęs podpłomyka, wreszcie go przełknęła.

– Dagfinn miał trzech braci – wyjaśniła. – Każdy był inny, ale Kai chyba najbardziej odstawał od reszty. Nie miał stałej pracy, dlatego Dagfinn trzymał go jakiś czas blisko siebie. Na morze też nie chciał wypłynąć.

– I ożenił się z Anną? – Wisting znów zaczął notować.

– Mieli dwie córki – przytaknęła siedząca naprzeciwko kobieta. – Ale te dziewczyny chyba nie wyszły na ludzi.

– Co ma pani na myśli?

– Obie chyba nie najlepiej wyszły za mąż i zaczęły pić, zupełnie jak ich ojciec.

Wisting przerzucił kilka stron w swoim notatniku i odnalazł imię i nazwisko widniejące na ukrytym w stodole plecaku.

– Czy nazwisko Alfred Danielsen albo Davidsen coś pani mówi?

Ruth Skaugen przekrzywiła głowę i zerknęła na jego notes.

– Danielsen to było panięskie nazwisko Anny – odrzekła. – Zdaje mi się, że Alfred to mógł być jej ojciec. A czemu pan pyta?

– Wyłynęło nam to nazwisko – wyjaśnił Wisting i przerzucił jeszcze kilka kartek.

– Auto znalazło się w stodole należącej do Pedera Heiana – powiedział. – Zna pani tego człowieka?

Ruth Skaugen potrząsnęła głową. Wisting znów zajrzał do notesu, wracając do listy osób obecnych na obiedzie w sierpniu 1925 roku. Nazwisk było na niej całkiem sporo.

– Pamięta pani, o czym rozmawialiście tego wieczora? – zapytał.

Zmarszczki na twarzy starszej pani pogłębiły się, gdy posłała mu uśmiech.

– O czym my mogliśmy rozmawiać... – mężczyźni pewnie gadali o nowej stodole i na pewno mówiliśmy też o pogodzie. Lato było tamtego roku takie gorące.

– A Marvin? – dopytywał Wisting. – O czym on opowiadał?

– Chyba o tym, co słyhać w domu. Nadal mieszkał u rodziców.

– Ale nie wspominał, gdzie jedzie ani czego dotyczy zlecenie?

– Ależ tak, trochę się tym oczywiście chwalił.

Wisting wyprostował się. Znów zabiło mu serce, tym razem jeszcze szybciej.

– Powiedział wam, że jedzie do Kristiansand po pieniądze?

Starsza pani skinęła głową.

– Miał tam wyruszyć następnego dnia. Przespać się w hotelu i odebrać ten transport w środę rano. Wieczorem miał znów do nas zajechać. Żartowaliśmy nawet, gdzie schowamy w nocy tyle gotówki.

– Więc wszyscy, którzy byli tu tamtego wieczora, wiedzieli o transporcie pieniędzy? – spytał Wisting, zerkając na zdjęcie.

– Nie wiedzieliśmy tylko, o jaką kwotę chodzi – wyjaśniła starsza pani. – Marvin zresztą też się nie orientował, powiedzieli mu tylko, że gotówka będzie leżeć w zapieczętowanej metalowej kasetce.

Wisting chwycił długopis i postukał nim w notatnik, niepewny, jak poprowadzić to dalej.

– Widziałem się z emerytowanym policjantem, który pracował przy tej sprawie i rozmawiał z panią w 1925 roku – zaczął.

Ruth Skaugen skinęła głową.

– Tak jak wspominałam, przyjechał tu ktoś z Oslo – powiedziała z wahaniem. – Chociaż odniosłam wrażenie, że to był właściwie Szwed.

– Ragnar Gustafsson – potwierdził Wisting. – W rozmowie ze mną twierdził, że Marvin nie mówił nic o pieniądzach.

Ruth Skaugen objęła filiżankę dłońmi.

– Zgadza się – powiedziała. – Ten transport miał się odbyć w tajemnicy. Zorganizowano go z uwagi na strajk na kolei. Gdyby wyszło na jaw, że ktoś wystąpił w roli łamistrajka, zrobiłaby się z tego straszna awantura. Marvin i Martinius mogliby zostać oskarżeni o brak solidarności ze strajkującymi, ale teraz minęło już tyle czasu, że chyba można o tym spokojnie rozmawiać. Ich firma tak czy inaczej zbankrutowała przez to, co się stało.

– Ale dlaczego nie powiedzieliście wtedy o wszystkim policji?

Ruth Skaugen zdawała się nie rozumieć pytania.

– Bo to była tajemnica – odrzekła. – Marvinowi nie wolno było nikomu o tym mówić.

Zrozumienie toku myślenia starszej pani zajęło Wistingowi dłuższą chwilę.

– Twierdzi pani, że obawialiście się, że Marvin zrobił coś nie tak, wyjawiając wam cel swojej misji. I dlatego zatailiście to przed policją – spróbował.

– Nie chcieliśmy narobić mu kłopotów – przytaknęła kobieta.

Wstała, podeszła do kuchenki i przyniosła czajniczek z kawą. Wisting się zamyślił. Źle pojmowana lojalność rodziny sprawiła, że śledztwo od samego początku obrało błędny kierunek. Tak właśnie działało kłamstwo w swojej najprostszej formie. Wystarczyło upiększyć trochę prawdę. Zamieść pod dywan błędy swoje albo cudze. Wtedy całkowicie zniszczyło to śledztwo, ale teraz, gdy zatajone winy się przedawniły, nowo ujawniona prawda otwierała przed nim drogę do znalezienia odpowiedzi, na których uzyskanie policja w roku 1925 nie miała żadnych szans.

Gospodyni dołała mu kawy. Wisting poczekał, aż starsza pani znów usiądzie.

– Kto zdecydował, byście nie mówili policji o rewelacjach Marvina? – spytał.

– Wspólnie to postanowiliśmy – odpowiedziała starsza pani. – To było dla każdego oczywiste.

– Ale ktoś chyba musiał pierwszy głośno to zaproponować?

Gospodyni dołała sobie śmietanki i zastanowiła się przez chwilę.

– Nie... Rozmawialiśmy o tym z Dagfinnem wieczorem, jeszcze zanim przyjechał ten Szwed. A potem, jak się wszyscy spotkaliśmy, okazało się, że pozostali doszli do takich samych wniosków.

– Co to znaczy „jak się wszyscy spotkaliśmy”? – chciał wiedzieć Wisting.

– Wszyscy tu przyszli rano tego dnia, kiedy przyjechał ten policjant – wyjaśniła Ruth Skaugen. – Trochę się spóźnił. Ale w końcu się pojawił i brał każdego po kolei na rozmowę do salonu. Dagfinn poszedł pierwszy. Jak do nas wrócił, to powiedział, że przemilczał sprawę transportu pieniędzy. Więc wszyscy pozostali też musieli to zrobić.

– Czyli to był pomysł pani męża?

Ruth Skaugen potrząsnęła głową.

– To było bardziej tak, jakby on pierwszy zrobił coś, co i tak już wszyscy uzgodnili.

– Ale kto zaproponował to rozwiązanie? – naciskał Wisting. – Kto poddał innym taką myśl?

Po raz kolejny odniósł wrażenie, że starsza pani nie zrozumiała pytania.

– Wszyscy się co do tego zgadzaliśmy – odparła. – Nikt nie protestował.

Wisting odchylił się na krześle.

– Co waszym zdaniem się wydarzyło? – chciał wiedzieć.

Gospodyni splotła swoje chude palce.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Wtedy byliśmy jeszcze przekonani, że miał wypadek i że auto leży gdzieś w rowie. Ale teraz naprawdę nie wiem. Nie chce mi się wierzyć w to, co stwierdziła policja, że Marvin zabrał te pieniądze i uciekł. Ktoś go musiał napaść. Ktoś, kto wiedział o transporcie.

– Może ktoś, kto był tutaj tego wieczora, kiedy Marvin tu nocował? – podsunął Wisting, podnosząc starą fotografię.

Twarz starszej pani zmieniła nagle wyraz, jakby sama ta sugestia ją przeraziła. Wistingowi zdawało się, że widzi w jej oczach, że ta myśl nigdy wcześniej nie przyszła jej do głowy, ale że teraz dostrzegła taką możliwość.

– A może ktoś powtórzył potem tę informację komuś innemu? – ciągnął Wisting, chcąc nieco rozładować ciężką atmosferę.

Ruth Skaugen nie miała na to odpowiedzi.

– Czy komuś z pani bliskich poprawiła się potem nagle sytuacja materialna? – spytał policjant. – Ktoś się niespodziewanie wzbogacił?

Tym razem odpowiedź padła bez namysłu.

– Nie. A nawet wręcz przeciwnie. Wszyscy z trudem wiązaliśmy koniec z końcem.

– Ten mężczyzna najęty do pomocy także?

– Nie pamiętam, jak on się nazywał, ale pracował potem jeszcze w kilku okolicznych gospodarstwach. Nigdzie chyba nie zaczepił się na stałe.

Wisting wrócił do listy nazwisk. Zapytał jeszcze raz o każdego, kto na niej widniał, i ustalił, że jedyną żyjącą osobą z całego tego grona była szwagierka gospodyni, Anna Skaugen.

– Z tego, co wiem, mieszka gdzieś w mieście – wyjaśniła starsza pani.

Wisting posiedział u niej jeszcze trochę. Zjadł kolejny kawałek podpłomyka, ponownie zadał te same pytania, ale formułując je nieco inaczej, w nadziei, że uda mu się dojść do czegoś nowego. Nic takiego jednak nie nastąpiło, ale mimo to spotkanie dało mu więcej, niż się spodziewał.

W każdym śledztwie chodzi o to, by odtworzyć przeszłość, pomyślał, gdy siedział już w aucie i jechał przed siebie. Ustalić, kto był gdzie, kiedy i dlaczego. Trzeba było pytać i dociekać. Odnajdywać drogę do ludzi, którzy mogli znać odpowiedzi. Zdobywać nowe informacje i łączyć je z tym, co się już wiedziało, tworząc w ten sposób coraz bardziej przejrzysty i szczegółowy obraz wydarzeń. Uwielbiał tę pracę.

20

Anna Skaugen.

Wisting wymówił to nazwisko na głos. Chciał zabrać na spotkanie z kobietą zapieczętowany list. A to oznaczało, że musiał znów dostać się do stodoły.

Nie był pewien, czy Knut Heian zadał sobie tyle trudu, by powiesić na drzwiach nową kłódkę, tak jak obiecał, dlatego w pierwszej kolejności pojechał na skrzyżowanie przy Tveidalen.

Ślady kół traktora w śniegu wskazywały, że Heian musiał tu niedawno być. Wisting pojechał po nich do stodoły. Nowa kłódka – większa od poprzedniej – była widoczna już z fotela kierowcy. Wydawała się solidniejsza.

Wycofał auto, skręcił na drogę i znalazł właściwe gospodarstwo.

Gdy podjechał pod dom, Knut Heian stał na podwórzu i oglądał doczepiony do traktora pług śnieżny. Gospodarz zdjął robocze rękawice i podał Wistingowi dłoń na powitanie.

– Rozwiązał pan zagadkę samochodu? – chciał wiedzieć.

Wisting zapiął kurtkę pod szyję. Z nieba sypał ciężki, mokry śnieg.

– Namierzyłem potomków właściciela – potwierdził.

– I co, godzą się na sprzedaż? – spytał Heian. – Bo jeśli nie, to może będę od nich brał jakąś opłatę za garażowanie.

– Chyba da się tę sprawę załatwić – zapewnił go Wisting. – Ale przy okazji wyszło parę innych rzeczy. Auto jest zarejestrowane jako utracone.

– Co to znaczy?

– Należało do firmy transportowej w Oslo. Do tej pory policja sądziła, że kierowca zniknął z nim w 1925 roku.

– Czyli zostało skradzione?

– W pewnym sensie tak – odparł Wisting, zadowolony, że nie musi wnikać w szczegóły, jednocześnie nie mijając się z prawdą.

– Kierowca nazywał się Marvin Bergan – zaczął ostrożnie. – Należał do rodziny Ruth i Dagfinna Skaugenów, mieszkających w Larviku. Czy któreś z tych nazwisk coś panu mówi?

Knut Heian potrząsnął głową.

– Słyszałem wcześniej nazwisko Skaugen, ale nie w związku z autem.

– Teraz, gdy samochód się znalazł, policja bada sprawę na nowo – ciągnął Wisting. – Chciałbym obejrzeć jeszcze raz kilka rzeczy w stodole. Nie przeszkadza to panu?

Heian zerknął na traktor.

– Może pan to załatwić sam?

Wisting skinął głową, a jego rozmówca ruszył do domu.

– Dam panu klucz do nowej kłódki – powiedział, wchodząc do środka. Po chwili wrócił z kluczem przypiętym do etykiety, na której wielkimi literami napisane było STODOŁA.

– Wrócę za jakąś godzinę – obiecał Wisting.

– Jeśli nie będzie mnie w domu, to niech pan wrzuci klucz do skrzynki – powiedział Heian.

Wisting wsiadł do auta i ruszył z powrotem. Musiał wlec się za ciężarówką wzbijającą w powietrze chmury śniegu. Ciężarówka pojechała dalej, a on skręcił na skrzyżowanie przy Tveidalen.

Zabrał ze sobą radio policyjne i kieszonkową latarkę. Pomyślał, że w sumie przydałby mu się także aparat fotograficzny. Pewnie będzie tu musiał wrócić później z technikiem kryminalistyki i udokumentować znaleziska.

Przyszło mu do głowy, że aparat mógłby być dobrym prezentem

gwiazdkowym dla Ingrid. Mieli co prawda starego gruchota, ale żona ciągle się skarżyła, że zdjęcia wychodzą z niego nieostre, a lampa błyskowa nie działa jak należy. Kosztowny prezent, ale wystarczą na niego pieniądze z tych dwudziestu nadliczbowych godzin, które przydzielił mu Dokken. Poza tym aparat naprawdę im się przyda. Powinni mieć przecież zdjęcia dzieci w dobrej jakości. Mógłby kupić też dwa albumy, ładnie je zapakować i podarować bliźniakom – ich pierwsze prezenty gwiazdkowe.

Pod drzwiami stodoły zebrała się nowa warstwa śniegu. Wisting odgarnął ją butami, uśmiechnięty i bardzo zadowolony z siebie i swojego pomysłu.

Klucz wszedł do zamka bez kłopotu. Wisting otworzył drzwi na tyle, na ile się dało, chcąc wpuścić do środka jak najwięcej światła.

Tu i ówdzie w stodole leżało trochę śniegu, który wpadł przez dziury w dachu lub został nawiany przez szpary w deskach ścian.

Młody policjant podszedł do prowizorycznego posłania, znalazł stary plecak i wyłowił z niego list.

Znów zaczął się zastanawiać, czy go przeczytać, ale był nauczony, że cudzej korespondencji się nie rusza. Poza tym zdawało mu się, że na zajęciach z prawa karnego wspomniano, że otwarcie cudzego listu może pociągnąć za sobą karę do dwóch lat pozbawienia wolności. Nawet prowadzący śledztwo policjanci musieli w takich sytuacjach wystarać się o nakaz sądowy.

Wsunął kopertę do kieszeni kurtki i znów sprawdził imię i nazwisko na plecaku. Tym razem był prawie pewien, że napisano tam „Danielsen”. Alfred Danielsen. Ojciec Anny. Zatem to najprawdopodobniej on napisał list i spał w stodole w 1973 roku jak włóczęga. Wisting zerknął w kierunku ukrytego pod brezentem starego auta, ale nie był w stanie dostrzec żadnego powiązania między zdarzeniami z roku 1925 i 1973. O transporcie pieniędzy dowiedziała się Anna i jej mąż Kai. Czy to przypadek, że jej ojciec, niemal pięćdziesiąt lat później, znalazł schronienie w tym samym miejscu, w którym stał samochód? Czy miało to jakieś znaczenie dla

sprawy?

Promień latarki omiółtł pograżone w ciemnościach pomieszczenie i zatrzymał się na drabinie opartej o przeciwległą ścianę. Wisting nie mógł uwolnić się od myśli, że człowiek, który nocował w stodole, nadal jest gdzieś w środku. Nie miał pojęcia, skąd właściwie brało się to przekonanie. Podsuwała mu je intuicja. Niemal słyszał, jak szeptem podpowiada, że koperta zawiera list pożegnalny, a szczątki jego nadawcy leżą gdzieś pośród tych wstawionych tu kiedyś i zapomnianych rupieci.

Mężczyźni najczęściej się wieszają albo pakują sobie kulę w łeb, pomyślał. W swojej krótkiej karierze policjanta uczestniczył już w odcinaniu wisielca – człowieka, który postanowił zakończyć życie na podeście schodów między piętrami, podczas gdy jego rodzina spała. Widział też mężczyznę, który strzelił sobie w głowę ze strzelby. Jeszcze jako kadet w czasie praktyk uczestniczył w reanimacji kobiety, która nałykała się tabletek i zasnęła w wannie z ciepłą wodą.

Skierował promień latarki na belki pod dachem. Zwisały z nich łańcuchy i liny. Nawet jeśli ktoś nie miał dostępu do broni, powieszenie się tu nie nastroczałoby żadnych trudności. Jawiło się jako najszybsze i najmniej bolesne rozwiązanie, ale skoro nie znaleziono trupa, samobójca musiałby wybrać miejsce niewidoczne na pierwszy rzut oka. Nie wydawało się to posunięciem zbyt logicznym, ale ludzie decydujący się na odebranie sobie życia rzadko myśleli racjonalnie.

Gdzieś nad głową Wistinga rozległ się nagle trzask starych drewnianych belek, z jednej z dziur w dachu posypało się trochę śniegu.

Był tylko jeden sposób, by poznać prawdę. Wisting odstawił plecak i umieścił latarkę na dębowej beczce, tak by jej promień oświetlał wnętrze stodoły. Zabrał się do przeszukiwania przestronnego pomieszczenia. Podniósł i przesunął kilka arkuszy blachy falistej. Za nimi znalazł taczkę bez koła oraz parę rolek siatki ogrodzeniowej. Wisting uprzątnął je z drogi i stanął nad pustymi skrzynkami po ziemniakach, którymi Knut Heian bawił się jako dziecko. Były ułożone jedna na drugiej i skierowane

otworami do niego, niczym pokoiki w gigantycznym domku dla lalek. W skrzynce na samej górze stało małe krzeselko, a na ścianie wisiało kilka rysunków. Przegródka utworzona ze skrzynki na samym dole była zasłonięta, pod stojący na niej kolejny element budowli wciśnięto wełniany koc. Zwisał nad skrzynką niczym kotara, skrywając to, co było w środku.

Wisting cofnął się po latarkę. Chwycił koc, odciągnął go i zaśwycił do wnętrza skrzynki.

W środku leżały dwa drewniane miecze, łuk bez cięciwy i kilka strzał. W głębi znalazł jeszcze kilka magazynów o kowbojach, opowiadających historie takich bohaterów, jak Hopalong Cassidy i Tex Willer.

Wisting opuścił zasłonę. Tajemny pokój zabaw pozostał niezmienny od czasów, gdy Knut Heian był dzieckiem, albo też inne dzieci odkryły go z czasem i bawiły się tak samo jak ich poprzednicy.

Poświecił dookoła latarką. Droga w głąb stodoły wiodła między elementami opalanego drewnem pieca a kamieniem szlifierskim. Nieco dalej stał powóz konny z postawioną budką.

Wisting przesunął stary balon na wino i utorował sobie drogę do powozu. Wsparł się na kance na mleko i ustawionych w sztapel skrzynkach po margarynie, po czym zajrzał do pojazdu.

Na siedzeniu leżały ludzkie szczątki.

21

Wisting przełożył latarkę do drugiej ręki. Z trupa zostały same kości. Oczyszczone ze skóry i mięśni. Kilka z nich spadło na ziemię, ale nie było wątpliwości, że to ludzki szkielet. Na siedzeniu powozu leżała czaszka z pustymi oczodołami i rozdziawioną szczęką pełną nadkruszonych zębów. Z ubrania zostały tylko strzępy.

Znalezisko, podobnie jak cała ta sytuacja, wydawało mu się nierzeczywiste. Wydedukował, że gdzieś tu w środku musi być martwy człowiek, a mimo to był zaskoczony, gdy go wreszcie odnalazł. Jednocześnie czuł ogromną satysfakcję, że jego przypuszczenia okazały się słuszne. W pewnym sensie stanowiło to potwierdzenie jego umiejętności detektywistycznych. Mógł ufać swojej intuicji.

Widok ludzkich szczątków przepełnił go dojmującym smutkiem, jak zawsze gdy stawał twarzą w twarz z ludzkim bólem, rozpaczą, ze śmiercią.

Postawił nogę na stopniu powozu i podciągnął się w górę by móc lepiej przyjrzeć się kościom. Znalezienie tego, czego szukał, zajęło mu dłuższą chwilę. Spomiędzy łachmanów i bladych resztek kości na podłodze powozu wystawała lufa broni. Pistoletu. Wisting nie był w stanie dostrzec szczegółów i nie chciał niczego dotykać, ale zdawało mu się, że przypomina on lugera. Wylot lufy sugerował spory kaliber. Może jakieś dziewięć milimetrów.

Wiatr zagwizdał w szparach między deskami. Stary budynek zatrzęszczał i zakołysał się niczym statek w czasie sztormu.

Wisting wyprostował się, a potem pochylił nad czaszką leżącą na siedzeniu powozu i obejrzał ją dokładnie, przyświecając sobie latarką. Kość potyliczna była uszkodzona. Brakowało sporego jej fragmentu. Postrzępione brzegi otworu o gwiazdzistym kształcie wygięte były na zewnątrz.

Wisting nie był ekspertem, ale sądził, że jest w stanie odtworzyć bieg wydarzeń. Mężczyzna usiadł w powozie, wsunął sobie lufę do ust i wystrzelił.

Skierował promień latarki na wnętrze budki i szybko znalazł to, czego szukał. Na wysokości głowy pasażera znajdowała się dziura po pocisku.

Jego hipoteza zdawała się potwierdzać. Samobójstwo. W każdym razie ciężko byłoby znaleźć inne wyjaśnienie. Wisting nie miał pojęcia, po jakim czasie z ludzkich zwłok zostaje sam szkielet, ale podejrzewał, że to kwestia co najmniej kilku lat. Jeśli sugerować się gazetą pozostawioną na materacu, zmarły przeleżał tu dekadę. Większość jego ubrania zgniła albo została zjedzona przez gryzonie. W powozie ocalał jedynie skórzany pasek z metalową sprzączką i męski zegarek. Oprócz tego stosunkowo dobrze zachowała się jeszcze para szarych wełnianych skarpet. Buty zostały obok materaca. Ich rozmiar to najprawdopodobniej czterdzieści pięć albo czterdzieści sześć, co również sugerowało, że szkielet był pozostałością po zwłokach mężczyzny. Eksperci z pewnością ustalą płeć na podstawie badania kości. Może będą też w stanie powiedzieć coś o wieku zmarłego.

W policyjnym radiu, które Wisting zawiesił sobie na piersi, rozległy się trzaski. Patrol meldował wykonanie zadania. Wisting zaczął się zastanawiać, czy lepiej zgłosić znalezisko od razu, czy może wyjść, zamknąć za sobą drzwi i jechać do komendy. Zanim zdążył podjąć decyzję, drewniany dach nad jego głową wydał z siebie złowrogi dźwięk. Skierował na niego promień latarki. Belki uginały się pod ciężarem śniegu, który padał przez ostatnie dni.

Nagle rozległ się głośny trzask i jedna z belek pękła. Drzazgi strzeliły na wszystkie strony, część dachu zawałiła się z przeraźliwym hałasem. Przez

dziurę wpadł do środka ciężki, mokry śnieg. Z kolejnym tąpnięciem zapadło się pół dachu. Wisting runął na ziemię, w powietrzu unosił się kurz, z góry sypały się odłamki blachy, deski i śnieg. Złowieszcze skrzypnięcie zapowiadało, że to jeszcze nie koniec. Po chwili z kolejnym trzaskiem zawaliła się reszta dachu.

22

Gdy wreszcie zapadła cisza, Wisting mógł stwierdzić, że nic mu się nie stało. Stodoła zawaliła się, lecz on zdążył w ostatniej chwili wskoczyć do jednej z pustych skrzynek po ziemniakach, w której przeleżał katastrofę niczym w bezpiecznej jaskini, uchodząc dzięki temu z życiem. Nie wiedział, jak gruba jest spoczywająca nad nim warstwa śniegu i resztek materiałów budowlanych, ale podejrzewał, że ciężar prędzej czy później zgniecie i skrzynkę, i jego.

Latarkę zdążył gdzieś zgubić. Policyjne radio wisiało na rzemieniu na skos jego piersi. Wcisnął guzik nadawania i zwolnił go, nie słysząc szumów i trzasków, które zazwyczaj potwierdzały, że miał kontakt z centralą. Sygnał w tym miejscu i tak nie był najlepszy, a teraz z pewnością nie mógł się przebić przez to wszystko, co go przygniotło. Mimo to spróbował wywołać oficera dyżurnego. Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Usiłował ustalić, po której stronie ma otwór skrzynki, w tym momencie hermetycznie zabetonowany śniegiem. Znalazł go i zaczął kopać dłońmi w białej masie, odgarniając ją za siebie. Trafił palcami na przedmiot, który musiał być drewnianym mieczem. Wbił go w śnieg, po skosie w górę, i wyciągnął w nadziei, że zobaczy światło, ale warstwa śniegu była zbyt gruba. Zacisnął dłoń na rękojeści i wepchnął ramię głębiej. Gdy znów cofnął drewniany miecz, przez otwór dotarło do niego szarawe światło.

Dodało mu to sił. Zaczął kopać w śniegu, odgarniał twarde zmarznięte grudy i wpełzał coraz głębiej w korytarz, który w ten sposób powstawał.

Wykopywany śnieg spychał do tyłu, pod brzuchem. Mniej więcej w połowie drogi zrobił sobie przerwę i znów spróbował wywołać bazę przez policyjne radio. Bez skutku.

Cofnął się, znalazł po omacku drewniany miecz i wyciągnął go przed sobą, pełznąć dalej korytarzem. Przebił się całkiem na drugą stronę, jego twarz owiał podmuch świeżego, ostrego powietrza.

Wykopanie dziury, przez którą mógłby precyzyjnie przeczekać całe ciało, zajęło mu kolejne piętnaście minut.

W końcu wydostał się na powietrze, dźwignął na nogi i chwiejnym krokiem opuścił ruinę stodoły. Stał, mokry i zmarznięty, próbując oszacować ogrom zniszczeń.

Ściana, pod którą było zaparkowane zabytkowe auto, nie zawaliła się. Resztki paru belek wisiały pod kątem, a sam pojazd zasypany był śniegiem.

Miejsce, w którym znalazł szkielet, zostało zupełnie pogrzebane. Tu i ówdzie sterczały tylko fragmenty połamanych desek.

Wisting wrócił do swojego samochodu, usiadł za kierownicą i zerknął w lusterko. Mokre włosy kleiły mu się do głowy, miał krwawiącą ranę nad lewym okiem.

Odpalił silnik i wyjechał tyłem na główną drogę. Zauważył, że przestało padać. Nad czubkami świerków prześwitywało między chmurami błękitne niebo. Słońce wisiało nisko i chyliło się ku zachodowi. Niedługo miał zapaść mrok.

23

Szef wydziału kryminalnego Ove Dokken skończył właśnie rozmowę telefoniczną, gdy do jego gabinetu wmaszerował Wisting, nadal cały mokry i poobijany. Telefon na biurku znów się rozdzwonił, Dokken podniósł słuchawkę, ale odłożył ją, gdy tylko jego spojrzenie padło na młodego policjanta.

– Jezu – wydusił z siebie.

Wisting usiadł. Telefon nie przestawał dzwonić. Dokken rozłączył rozmowę, odłożył słuchawkę na blat biurka i zapalił papierosa.

Wisting przeszedł prosto do rzeczy.

– Znalazłem zwłoki – oświadczył.

Dokken zaklął i potrząsnął głową ze zrezygnowanym wyrazem twarzy, jakby miał przed sobą niereformowalnego szkolnego łobuza.

Wisting miał już mówić dalej, ale przerwał mu jeden z kierowników jednostek, który wetknął głowę do gabinetu.

– Czekamy w konferencyjnym – powiedział.

Dokken zerknął na zegar ścienny i przeniósł wzrok na śledczego.

– To sobie czekajcie! – warknął. – Przyjdę, jak tu skończę.

Mężczyzna zniknął.

– Ciągłe ten napad na bank – wyjaśnił Dokken. – Stołeczna przeprowadza dziś akcję. Dajemy od siebie dwóch ludzi.

– Jest jakiś przełom w sprawie?

– Zwijamy gang z Tveita – wyjaśnił Dokken, ale zaraz machnął ręką. –

Opowiedz mi o tych zwłokach!

Wisting zaczął mówić. Dokken słuchał go, nie przerywając.

– Coś ci się stało? – chciał wiedzieć, gdy opowieść dobiegła wreszcie końca.

– Nic poważnego.

Kierownik jednostki znów stanął w drzwiach, tym razem bez słowa. Dokken podniósł się zza biurka, zgasił papierosa i chwycił plik papierów.

– Zrobimy tak – powiedział, celując w Wistinga palcem – zabezpiecz teren wokół stodoły. Zorganizuję dwóch ludzi, którzy go dziś w nocy przypilnują, a jak się zrobi widno, to wykopiemy ten twój szkielet. W tym czasie napiszesz raport, który pokażemy jutro rano komendantowi.

Wisting skinął głową.

– Tylko nie rób niczego poza tym – poprosił Dokken i ruszył do drzwi. – Żadnych nowych przesłuchań, żadnych spotkań. Zostaw wszystko do jutra.

Przystanął w drzwiach i zmierzył wzrokiem Wistinga, który dźwignął się z krzesła.

– Ale najpierw się przebierz – powiedział. – Nie możesz w takim stanie wrócić do domu do żony, bo zaraz cię zmusi, żebyś jej powiedział, co się stało, i potem będzie odchodzić od zmysłów ze strachu za każdym razem, jak będziesz wychodził do pracy.

Wisting stał przez chwilę bez ruchu, spoglądając za Dokkenem. Potem zszedł do szatni, rozebrał się i wziął gorący prysznic. Rana nad okiem przestała krwawić, zasklepiła się i wyglądała teraz jak niewielkie zadrapanie. Wrzucił mokre ubranie do worka na śmieci, po czym włożył sportowy strój, który trzymał w szafce. Zajrzał do dyżurki na parterze, opowiedział, co się stało, i ruszył do auta, zabierając ze sobą kubek z kawą i rolkę policyjnej taśmy.

Zanim dojechał do stodoły, zrobiło się ciemno. Nie miał już latarki, zmuszony był więc pracować w świetle reflektorów samochodowych. Rozwinął policyjną taśmę i pojechał do domu Knuta Heiana. Traktor zniknął z podwórza, drzwi otworzyła mu żona gospodarza. Wisting, nie

zagłębiając się w szczegóły, powiedział, że dach stodoły zawalił się pod ciężarem śniegu i że teren został zabezpieczony przez policję, gdyż następnego dnia mieli w tym miejscu pracować technicy.

Kiedy wrócił do domu, Ingrid siedziała w salonie z książką. Line i Thomas leżeli na kocyku na podłodze. Wisting położył się obok dzieci i pozwolił synkowi chwycić się za palec wskazujący. Chłopiec miał oczy po matce. Tak samo zresztą jak jego siostra. Jasne, błękitne tęczęwki.

– Byłeś na siłowni? – spytała Ingrid.

– Nie, ale musiałem się przebrać – odparł Wisting i opowiedział o szkielecie w zawalonej stodole, pomijając jednak fakt, że przez ponad godzinę leżał uwięziony pod śniegiem.

Line przyglądała mu się wielkimi oczami. Wisting ukląkł, podniósł córeczkę i przytulił jej buzię do swojego nieogolonego policzka. Dziewczynka zaśmiała się i złapała go za nos.

– Ciekawe, co z niej wyrośnie – westchnęła Ingrid z uśmiechem. – Jest taka ciekawska.

– Może naukowiec – zaproponował Wisting. – Albo oficer śledczy?

– Będzie mogła zostać, kim zechce – orzekła Ingrid.

Wisting wyprostował ramiona, w których trzymał dziewczynkę, i uważnie jej się przyjrzał. Dopiero zaczynała życie i niezależnie od tego, jaką drogę dla siebie wybierze, on zawsze będzie ją wspierał.

Ułożył ją na kocyku i wziął na ręce Thomasa. Bardzo się pilnował, by okazywać dzieciom tyle samo miłości i zainteresowania, ale musiał sam przed sobą przyznać, że z Line było mu łatwiej. Dziewczynka reagowała na niego dużo bardziej żywiołowo. Wierzgała, śmiała się i wymachiwała rączkami. Thomas był o wiele spokojniejszy. Ale nie było w tym nic dziwnego ani nienaturalnego, dzieci miały po prostu zupełnie różne charaktery.

Podszedł do sofy z synkiem na rękach i posadził sobie małego na kolanach.

– Potrzebuję jutro samochodu – powiedział. – Myślisz, że mogę go wziąć?

– Możesz, ale w takim razie będziesz musiał zrobić zakupy przed powrotem do domu. W kuchni leży lista.

Wisting pogawędził jeszcze godzinę z żoną, po czym wykąpał bliźniaki i położył je spać. Gdy dzieci już spały, usiadł przed pożyczoną od teścia maszyną do pisania i zabrał się do sporządzenia raportu. W sprawie było wiele różnych wątków, ale próbował streścić wszystko tak, jak uczono go w akademii policyjnej. Krótko, przejrzysto, jasno i rzeczowo opisać wszystko w kolejności chronologicznej. Dopiero krótko po północy skończył pracę nad wersją, z której był zadowolony.

Ingrid już spała. Wisting zajrzał do łóżeczek bliźniaków, po czym rozebrał się i położył obok żony. Sen przyszedł dopiero po dłuższej chwili. Jego ostatnią przytomną myślą było, że ta praca przysporzy mu pewnie jeszcze wielu bezsennych nocy.

24

Wisting stawiał się w budynku komendy wcześniej, ale zmuszony był poczekać na Dokkena, który uczestniczył akurat w porannym spotkaniu z kierownikami jednostek i etatowymi śledczymi.

Kobieta z archiwum znów przyniosła mu kawę. Uśmiechała się, tak jak ostatnio. Wistingowi nagle przypomniało się jej imię, Bjørg Karin. Zwrócił się do niej po imieniu, wziął z jej rąk kubek z napojem i podziękował.

Kobieta podała mu też arkusz papieru.

– Pomyślałam, że to cię zainteresuje – powiedziała i wróciła na swoje miejsce.

Wisting przyjrzał się kartce. Była to kopia pisma do Norweskiego Biuletynu Informacji Publicznej, zawierającego prośbę o wydrukowanie zawiadomienia. Komenda w Larviku zapowiadała nabór na nowe stanowisko w wydziale śledczym, które miało zostać obsadzone od 1 marca. Wisting dwukrotnie przeczytał opis stanowiska, po czym złożył arkusz na dwoje i wsunął go do tylnej kieszeni.

Za kwadrans dziewięta drzwi do przestronnego biura szefa oddziału stanęły wreszcie otworem. Ze środka wymaszerowali policjanci w koszulach i krawatach. Ove Dokken został przy swoim biurku razem z komendantem. Wollert Hagen był wysokim, grubym mężczyzną o ziemistej cerze i workach pod oczami. Wisting pracował w komendzie od pół roku i nie został mu jeszcze oficjalnie przedstawiony.

Dokken zawołał go do środka. Wollert Hagen uniósł wzrok znad

papierów, dźwignął się z krzesła i wyciągnął dłoń na powitanie.

Wisting usiadł.

– Jak tam wczoraj poszło w Oslo? – spytał, zerkając na Dokkena.

Szef wydziału wyłowił papierosa z paczki.

– Posadziliśmy czterech facetów – odrzekł, sięgając po zapalniczkę. – Chyba uda im się postawić zarzuty w związku z napadem w Ski i Mysen, a potem zobaczymy, co dalej – zmarszczył czoło i zapalił.

Wisting wyciągnął plastikową koszulkę, którą wsunął między strony notatnika. W środku leżały trzy kopie raportu. Podał ją Dokkenowi.

Do gabinetu wszedł technik kryminalistyki i zamknął za sobą drzwi.

– Zaprosiłem też Finna Habera – wyjaśnił Dokken i wskazał mężczyźnie krzesło. Następnie poprosił Wistinga, by o wszystkim jeszcze raz opowiedział.

Streszczenie raportu zajęło mu niemal godzinę. Finn Haber przerwał mu kilka razy, ale Wollert Hagen słuchał w milczeniu.

Gdy skończył, Dokken zapalił kolejnego papierosa.

– I co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić? – zapytał.

Wisting nie był przygotowany na to pytanie. Myślał, że wystarczy, jeśli opowie, jakie kroki już wykonał, a Dokken i komendant podejmą dalsze decyzje.

– Przede wszystkim trzeba wydobyć zwłoki z zawałonej stodoły i przeprowadzić ich identyfikację – odparł mimo to bez chwili wahania. – A potem porozmawiać z Anną Skaugen.

Dokken zerknął na komendanta, który siedział z kopią raportu na kolanach.

– Zgadzam się – stwierdził. – Temu zabytkowemu autu też trzeba się przyjrzeć. Z tego, co zrozumiałem, obie sprawy dzieli niemal pół wieku. Samochód stał tam od 1925 roku, a zwłoki leżą tam najprawdopodobniej od 1973. Mimo to może tu istnieć jakieś powiązanie, zwłaszcza jeśli ta Anna, do której adresowany jest list, to ta sama osoba, która w 1925 dowiedziała się o transporcie pieniędzy.

- A nie powinniśmy otworzyć tego listu? – spytał Haber.
- Chyba tak – orzekł komendant. – Gdzie on jest?
- Mam go w samochodzie – odparł Wisting. – Ale czy wolno mi coś zasugerować?

Dokken skinął głową.

– Anna Skaugen to najprawdopodobniej jedyna osoba, która będzie w stanie zbliżyć nas do odpowiedzi na pytanie, co się stało w tej stodole. Dlatego planowałem wykorzystać ten list jako coś, co zaskarbi nam jej zaufanie. Jeżeli to list pożegnalny od jej ojca, okazemy więcej szacunku, przekazując go w zaklejonej kopercie. Może dzięki temu będzie nam bardziej przychylna. Nie chcemy przecież, by zwróciła się przeciwko nam.

– Dobra myśl – skomentował Haber.

– Ten list przeleżał w stodole całe lata, możemy chyba poczekać na poznanie jego treści jeszcze kilka godzin – dodał Wisting.

– W porządku – Dokken skinął głową i zgasił papierosa w popielniczce. – To do roboty.

25

Gdy Wisting dotarł do zawałonej stodoły, policja już się wokół niej uwijała. Grupa funkcjonariuszy w kombinezonach odgarniała śnieg łopatami, usuwając przy okazji resztki materiałów budowlanych. Policjanci wytyczyli szeroką ścieżkę prowadzącą w głąb stodoły, do miejsca, w którym – zgodnie ze wskazówkami Wistinga – spodziewali się znaleźć szkielet.

Finn Haber stał przy swoim aucie. Nalał sobie do kubka kawy z termosu i spoglądał na pracujących mężczyzn.

Wisting zaparkował kawałek dalej i podszedł do niego. Temperatura znacznie spadła w ciągu kilku ostatnich godzin. Śnieg skrzypiał pod podeszwami jego butów, oddech parował na mrozie.

Haber sięgnął po drugi kubek i wręczył go Wistingowi.

– Przypomniałem coś sobie – zaczął, nalewając kawę. – Byłem tu w 1973.

– Tutaj?

– Nie, „tu” w sensie w tym dystrykcie – uśmiechnął się technik i wyciągnął rękę, w której trzymał kubek, w kierunku zawałonej stodoły. – Pracowałem kilka lat w Oslo i przeniosłem się tutaj wiosną 1973. Jeszcze nie jako technik, bo pracę na tym stanowisku zacząłem później. Wtedy jeszcze szkoliłem psy policyjne i tak jakoś tu trafiłem. Próbowałem sobie przypomnieć, czy zgłoszono jakieś zaginięcie tamtego lata – Haber zrobił pauzę i upił łyk kawy. – A pamięć mam całkiem dobrą – stwierdził, stukając się palcem w skroń. – Nic takiego nie miało miejsca.

– Jesteś pewien?

Haber skinął głową i upił kolejny łyk.

– To jest wielkie halo – wyjaśnił. – Jak się zgłasza zaginięcie człowieka, to najpierw rusza akcja poszukiwawcza. Pewnie wezwano by mnie z Jackiem, moim psem. Potem w sprawie ruszyłoby śledztwo. A w tym wypadku chodziłoby o nierozwiązaną sprawę, która przez całe tygodnie i miesiące nie dawałaby spokoju nikomu w wydziale. Coś takiego na pewno bym zapamiętał.

Wisting zerknął na machających łopatomy mężczyzn.

– Może w tym przypadku nigdy nie zgłoszono zaginięcia? – rzucił. – Albo nie zgadza się data?

Jeden z policjantów w kombinezonie podniósł wysoko rękę i przywołał ich gestem. Haber wylał resztkę kawy na śnieg.

– No cóż – stwierdził, zakręcając termos. – Jesteśmy tu właśnie po to, by ustalić takie rzeczy.

Wisting stał w miejscu bez słowa. Powinien był lepiej wszystko sprawdzić, zanim jeszcze przedstawił raport Dokkenowi i komendantowi. Przecież Bjørg Karin na pewno miała dostęp do akt starych spraw. Odnalezienie w nich zgłoszenia zaginięcia z 1973 roku nie stanowiłoby dla niej żadnego problemu. Jego raport powinien zawierać informację, czy w interesującym go okresie było w ogóle takie zgłoszenie, czy też nie.

Kawa mu wystygła. Odstawił ją i ruszył za Haberem do ruin stodoły.

Jego koledzy z wydziału prewencji stali oparci o łopaty. Dokopali się już do powozu konnego. Górna warstwa śniegu została usunięta, przenieśli także blachę falistą i inne elementy zawałonej stodoły przygniatające budkę. Ze śniegu, który został na starym pojeździe konnym, wystawała kość.

– Okej – powiedział Haber, odstawiając skrzynkę z narzędziami. – Zróbcie sobie przerwę.

Mężczyźni zabrali łopaty i wrócili na miejsce zbiórki. Haber wyjął niewielką saperkę i zaczął obkopywać widoczną kość. W miarę, jak

odslaniał kolejne fragmenty szkieletu, przerywał pracę i pstrykał po kilka zdjęć. W końcu włożył wszystkie kości do dużej plastikowej skrzynki i wrócił do roboty. Wisting przyglądał mu się i czuł, jak coraz bardziej marzną mu stopy. Wydawało mu się, że technik kryminalistyki będzie pracował o wiele ostrożniej, ale Haber był szybki i wydajny. Już po dwudziestu minutach dokopał się do pistoletu.

– Miałeś rację – skomentował. – To luger.

Wyciągnął broń ze śniegu, zabezpieczył ją i włożył do torebki na dowody. W ten sam sposób postąpił ze skórzanym paskiem i zegarkiem, które jakimś cudem nadal były nienaruszone.

Wisting chwycił torebkę z zegarkiem, podniósł ją i przyjrzał się jej zawartości przez przezroczysty plastik. Był to prosty model marki Seiko, bez grawerunków.

Dwaj policjanci w kombinezonach zaczęli kopać w miejscu, w którym zdaniem Wistinga powinien znajdować się plecak. Pozostali zabrali się do sprzątania drogi prowadzącej do zabytkowego auta.

Haber trafił na czaszkę i wyjął niewielką miotełkę, by usunąć zebrane wokół niej resztki śniegu.

– Jak długo ona tu leżała? – spytał Wisting.

– Trudno powiedzieć – odrzekł Haber. – Za dużo mamy zmiennych. Może z dziesięć lat, ale równie dobrze może i z dwadzieścia.

Wisting odwrócił się, słysząc za plecami warkot silnika samochodu. Auto podjechało aż do rozwiniętych policyjnych taśm. Wysiadł z niego Ove Dokken. Zasunął zamek błyskawiczny kurtki i podszedł do swoich ludzi. Mruknął coś na temat mrozu, po czym sięgnął do kieszeni i wyłowił papierosa z trzymanej tam paczki. Już chciał ją schować z powrotem, ale zmienił zdanie i podsunął ją Wistingowi.

Młody policjant potrząsnął głową. Haber wyprostował się, chwycił aparat i sfotografował czaszkę pod różnymi kątami.

– A kogo my tu mamy? – zapytał Dokken, pochylając się nad szczątkami i wydmuchując dym.

Wisting zerknął na mężczyzn szukających plecaka.

– To najprawdopodobniej Alfred Danielsen – odpowiedział. – W każdym razie to jego plecak tutaj leży.

– Niemożliwe – oświadczył Dokken, wsuwając dłonie do kieszeni. – Alfred Danielsen leży na cmentarzu w Tanum – wyjaśnił z papierosem w ustach. – Zmarł w 1968. Znałem go. Przyskrzypiłem go na gorącym uczynku, kiedy próbował włamać się do sejfu w urzędzie gminy jakoś w latach pięćdziesiątych.

Wisting potrzebował chwili na przetrwanie tej informacji.

– Rozmawiał pan z Bjørg Karin? – zapytał. – Czy w interesującym nas przedziale czasowym zgłoszono czyjeś zaginięcie?

– Nie. I dlatego właśnie pytam. Kogo my tu mamy?

Haber podniósł czaszkę i ułożył ją w osobnym kartonowym pudle. Od otworu w potylicy rozchodziły się na wszystkie strony liczne pęknięcia. Wisting zaczął nabierać pewnych podejrzeń co do tożsamości zmarłego, ale postanowił na razie z nikim się nimi nie dzielić.

Haber dalej zbierał kości. Dokken zgasił papierosa między palcami.

– Nadal masz ten list w samochodzie? – zapytał, wkładając peta z powrotem do paczki.

Wisting przytaknął. Dokken wsadził ręce do kieszeni i wzdrygnął się z zimna.

– No to chyba powinieneś już jechać.

26

Zadzwoił do rejestru ludności, gdzie podano mu jej adres. Anna Skaugen mieszkała na Bugges gate w dzielnicy Torstrand w Larviku. Przyszła na świat w roku 1907, a 1 stycznia 1979 została zarejestrowana jako wdowa.

Ze skraju dachu piętrowego domu zwisały lodowe sople. Kilka eternitowych płyt poluzowało się i wisiało nieco krzywo. Okna były szare od kurzu i brudu, nie dało się przez nie ani zajrzeć do środka, ani pewnie wyrzeć na zewnątrz.

Wisting zostawił samochód przed chylącym się ku upadkowi garażem. Dwie skrzynki pocztowe na ogrodzeniu przy chodniku były niemal zupełnie zasypane śniegiem. Na pokrywie jednej z nich widniało imię i nazwisko Anny Skaugen. Do schodów prowadziła wąska, wydeptana ścieżka. Wisting stanął na ganku. Przy drzwiach były dwa dzwonki opisane nazwiskami: Jens Brun i Anna Skaugen. Policjant nacisnął dolny guzik.

Otyła, starsza kobieta, która mu otworzyła, nie przypominała w niczym osiemnastoletniej roześmianej dziewczyny ze zdjęcia, które pokazała mu Ruth Skaugen. Włosy miała siwe, ani śladu loków. Na środku czoła zrobiła jej się duża plama wątrobowa. Od nosa aż do kącików ust biegły głębokie bruzdy. Pod brodą wisiał płat luźnej skóry sprawiający, że cała dolna część twarzy wydawała się wiotka i bez wyrazu. Gospodyni miała siedemdziesiąt sześć lat, ale wyglądała na dużo więcej.

– Pani Anna Skaugen? – zapytał Wisting.

Kobieta przekrzywiła głowę, jakby nie dosłyszała.

– A kto chce wiedzieć?

Wisting się przedstawił.

– Jestem z policji – wyjaśnił podniesionym głosem. – Mam list, który jest chyba adresowany do pani.

– List? – zapytała.

– Chciałbym wszystko dokładnie wyjaśnić – powiedział Wisting. – Czy mogę wejść do środka?

Gospodyni mierzyła go chwilę wzrokiem. W końcu wzdrygnęła się i zrobiła krok w tył, jakby to mróz w końcu ją przekonał, by wpuściła policjanta do domu.

Wisting wszedł za nią do sieni, minął schody na piętro i stolik z telefonem, po czym wkroczył do niewielkiego salonu ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Było tu ciemno i unosił się nieprzyjemny zapach kurzu, dusznego powietrza i roślin w donicach z mokrą ziemią.

– Kto przyszedł? – zawołał męski głos z piętra.

Starsza pani odwróciła się w kierunku schodów.

– Ktoś do mnie – odpowiedziała z naciskiem. – To mój wnuk – wyjaśniła, odwracając się znów do Wistinga. – Nie pracuje.

Podeszła do kompletu wypoczynkowego i chwyciła się oparcia fotela. Stała tak, czekając, aż Wisting usiądzie.

Policjant położył swój notatnik na stole i poczekał, aż starsza pani też zajmie miejsce. Z piętra zaczęła dobiegać muzyka. Agresywna i rytmiczna.

– Obawiam się, że przynoszę złe wieści – zaczął Wisting i wyjaśnił, że znalazł martwego człowieka w stodole przy zjeździe do Tveidalen.

Kobieta po drugiej stronie stołu słuchała go z uwagą.

– Ta stodoła była od połowy lat pięćdziesiątych praktycznie nieużywana – ciągnął Wisting. – Zwłoki, które zostały tam odkryte, musiały przeleżeć w środku dość długo, ale dopiero teraz je znaleziono.

Gospodyni kiwała głową, jakby starała się układać sobie w myślach te informacje w jedną logiczną całość.

- Oprócz zwłok znaleźliśmy w stodole plecak – poinformował ją Wisting.
- Było na nim napisane imię i nazwisko: Alfred Danielsen.

Starsza pani z trudem złapała oddech i zaczęła przeraźliwie kasłać.

- To mój ojciec – potwierdziła, gdy napad kaszlu minął. – Alfred Danielsen był moim ojcem.

Wisting chciał spytać, czy starsza pani ma pojęcie, w jaki sposób plecak mógł trafić do stodoły, ale się powstrzymał. Na pytania będzie jeszcze czas.

- W plecaku leżał list – ciągnął, wyjmując kopertę z notatnika.

Anna Skaugen uważnie jej się przyjrzała.

- Od Kaia? – spytała lekko drżącym głosem.

Wisting poczuł się nieco zdezorientowany. Wedle informacji z rejestru ludności, jego rozmówczyni została wdową po śmierci Kaia Skaugena w 1979 roku. Zaczął się zastanawiać, czy kobieta nie cierpi przypadkiem na demencję, czy nie zawodzi jej pamięć i nie mieszają jej się fakty.

- Nie otworzyliśmy go – powiedział spokojnie, podsuwając jej kopertę.

Starsza pani wpatrywała się w nią przez chwilę, wreszcie wzięła ją do rąk, ale zaraz opuściła dłonie na kolana, próbując zamaskować ich drżenie.

- Mogę przynieść nóż – zaproponował Wisting, nie chcąc, by gospodyni zniszczyła list.

Wstał i poszedł do kuchni. Pozmywane naczynia suszyły się na rozłożonej na blacie ścierce. Chwycił nóż do masła i wrócił do salonu.

- Woli pani, żebym ja to zrobił? – zapytał, podając go kobiecie.

Starsza pani nie odpowiedziała, wzięła nóż i powoli rozcięła kopertę. Wisting przyjął go od niej z powrotem i usiadł. Czuł, że powinien pozwolić jej zostać samej, ale w końcu w tej sprawie toczyło się śledztwo.

Kobieta siedziała z listem w rękach. Jej wzrok stał się nieobecny. Wisting nie chciał jej popędzać.

- Proszę mi opowiedzieć o Kaiu – poprosił, gdy minęło już trochę czasu.

Anna Skaugen odchrząknęła.

- On zniknął – powiedziała, nie wchodząc w szczegóły.

Wisting zerknął do swoich notatek.

– Pani mąż zmarł 1 stycznia 1979 roku – powiedział ostrożnie.

Gospodyni potrząsnęła głową.

– Ta data była tylko po to, żeby wreszcie to wszystko zakończyć. Kai zniknął dziesięć lat wcześniej. Nigdy go nie znaleziono, ale wszyscy byli pewni, że nie żyje, a chcieli, żeby im się wszystko zgadzało w systemach. „Uznany za zmarłego”, tak napisali w papierach, które tutaj przyszły. I wybrali sobie datę.

Przed Wistingiem otworzyły się nowe możliwości. Wszystko mogło być ze sobą powiązane zupełnie inaczej, niż pierwotnie zakładał.

Anna Skaugen wysunęła z koperty dwie wyschnięte kartki papieru. Muzyka na piętrze przybrała na sile, dodatkowo zaczęło szumieć w rurach z wodą.

Wisting pozwolił jej przeczytać list w spokoju. Kobieta zamrugła, próbując pozbyć się napływających do oczu łez, umieściła pierwszy arkusz za drugim i czytała dalej.

– Dziękuję – szepnęła, gdy dobrnęła wreszcie do końca. – To od Kaia.

Wisting czekał chwilę na ciąg dalszy, który jednak nie nastąpił.

– Co do pani napisał? – musiał zapytać.

– List jest z 1973 roku – powiedziała kobieta, wracając do pierwszego arkusza. – Napisany 25 lipca – przełknęła ślinę i złożyła kartki. – Kai pisze, że już tak nie może – wyjaśniła. – Że lato zmierza ku końcowi i przyszedł czas, by i on osunął się w mrok. – Anna Skaugen siedział z listem na kolanach, jakby próbowała kurczowo chwytać się wspomnienia o mężu. – Mogę go zatrzymać?

– Niestety jestem zmuszony na razie zabrać list, żeby zrobić kopię – wyjaśnił Wisting. – Ale dostanie go pani z powrotem. Jest pani własnością.

– Gdzie go znaleźliście? – spytała kobieta.

Wisting powtórzył to, co już mówił o stodole.

– Wyglądało to tak, jakby on tam jakiś czas mieszkał – dodał.

– Był w Oslo – wyjaśniła Anna Skaugen. – Często się tam wybierał, ale nie miał w stolicy żadnego mieszkania. Krążył po okolicy. Nocował

w takich miejscach.

– Zgłosiła pani jego zaginięcie policji?

– Nie od razu. On miał to do siebie, że znikał, a potem zawsze wracał. Co jakiś czas zgłaszał się do mnie ktoś, kto go widział. Jednego lata ktoś twierdził, że jest niemal pewien, że widział go na stacji kolejowej tu w mieście. Może to był zresztą tamten rok, 1973. Pomyślałam sobie wtedy, że może wreszcie wróci do domu, ale nic takiego nie nastąpiło.

Opowiadała dalej, jak trudne było jej życie z mężem. Kai wpadał okresowo w ciężką depresję i zawsze był na bakier z prawem. Kilkukrotnie siedział w więzieniu, pierwszy raz w 1927 roku, krótko po narodzinach ich pierwszego dziecka.

Wisting pomyślał o Ruth Skaugen i jej mężu, którzy zerwali kontakt z Anną i Kaiem. Teraz lepiej rozumiał, dlaczego tak się stało. Ruth Skaugen nie wspomniała w rozmowie z nim o zaginięciu szwagra, powiedziała tylko, że on nie żyje, zajęła się podpłomykami i kawą i pociągnęła rozmowę dalej, nie wchodząc w szczegóły. Wisting mógłby pozyskać te wiadomości już poprzedniego dnia, gdyby tylko zadał swojej poprzedniej rozmówczyni właściwe pytania. Doświadczony śledczy pewnie by o nich pomyślał.

– Jak on umarł? – spytała nagle Anna Skaugen. – Wiecie coś o tym?

Pytanie zaskoczyło Wistinga. Nie był przygotowany na konieczność opowiadania w szczegółach o tej śmierci.

– Znaleźliśmy pistolet – zaczął ostrożnie.

Starsza pani się wzdrygnęła.

– Ach, ten straszny pistolet.

Rozmowę przerwał im sygnał stojącego w korytarzu telefonu. Dobiegająca z piętra muzyka ucichła, na schodach rozległy się pospieszne kroki.

– Ja odbiorę! – zawołał wnuk gospodyni, przymykając drzwi od salonu.

Wisting i starsza pani poczekali cierpliwie, aż mężczyzna skończy rozmowę. Anna Skaugen skubała nerwowo kopertę. Można było odnieść

wrażenie, że jej wnuk bardzo się stara, by szeptać do słuchawki jak najciszej. Nie słyszeli, co mówił, i po jakiejś minucie na schodach znów rozległy się jego kroki.

– Znaleźliśmy w tej stodole coś jeszcze – ciągnął Wisting. – Stał tam stary samochód, ukryty pod brezentową płachtą. Należał do braci Marvinina i Martinius Berganów, którzy w latach dwudziestych prowadzili w Oslo firmę transportową. Auto zaginęło razem z szoferem w czasie transportu pieniędzy w roku 1925.

Anna Skaugen zerwała się z fotela z zadziwiającą lekkością, podeszła do komody po drugiej stronie salonu i stanęła naprzeciwko wiszących na ścianie rodzinnych zdjęć.

– Wie pani coś na ten temat? – spytał Wisting po chwili.

– Oczywiście – odrzekła kobieta, odwracając się do niego. – Ten człowiek, który zaginał, należał przecież do rodziny Ruth, żony brata Kaia. Zajechał do nich tym autem parę dni przed tym, jak zniknął.

– Pani też tam wtedy była – skomentował Wisting.

– Minęło tyle czasu – westchnęła starsza pani i potrząsnęła głową.

– Tu chodzi o przestępstwo – zaznaczył Wisting i zaczął objaśniać, jakie formalne ramy będzie musiał nadać dalszej części ich rozmowy.

– Wtedy już przepytowała mnie policja – stwierdziła gospodyni. – Pamiętałam więcej niż dzisiaj, ale właściwie nie miałam im nic do powiedzenia. Nic nie wiedziałam. I to się nie zmieniło.

Odwróciła się znów do ściany, zdjęła z niej jedno ze zdjęć i zaniósła je do stołu.

– To Kai – powiedziała, podając ramkę Wistingowi.

Fotografia była stara. Sądząc po wieku widniejącego na niej mężczyzny, musiała być zrobiona przed wojną. Mąż gospodyni miał na sobie garnitur z kamizelką, białą koszulę i krawat.

– Rozmawiałem wczoraj z Ruth – rzucił Wisting, odkładając zdjęcie. – Pani szwagierką.

Anna Skaugen opadła na fotel.

– Powiedziała mi coś, co bardzo odbiega od państwa wcześniejszych zeznań. Twierdzi, że Marvin Bergan przyznał się, że jedzie do Kristiansand po pieniądze, ale że wy wszyscy przemilczeliście to przed policją, bo jego misja była tajna i Marvin nie powinien był o niej wspominać. Czy to się zgadza?

– Minęło tyle czasu – powtórzyła Anna Skaugen.

– Wiedziała pani, że on jedzie po pieniądze? – drążył Wisting.

– To się chyba zgadza – jego rozmówczyni skinęła głową. – Nie mówiliśmy o tym policji, bo przecież sami nie powinniśmy byli nawet o tym wiedzieć.

Wisting zmienił pozycję w fotelu.

– Kto zaproponował, by pominąć tę informację?

Anna Skaugen potrząsnęła głową ze zrezygnowaną miną.

– Tak się jakoś po prostu złożyło. Nie wspomnieliśmy o tym.

– Ale chyba musieliście to najpierw między sobą ustalić. To niemożliwe, żeby wszystkim przyszła do głowy ta sama myśl i to w tym samym czasie. Ktoś przejął inicjatywę.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

Wisting nie odpowiedział. Nie chciał mówić, że osobą forsującą takie rozwiązanie mógł być bandyta, który napadł na transport i któremu ich milczenie było na rękę. Dał starszej pani chwilę do namysłu.

– To chyba była Ruth. Albo Dagfinn – stwierdziła wreszcie gospodyni. – Marvin to był w końcu kuzyn Ruth. W pewnym sensie można powiedzieć, że chciała go bronić.

– Jak się pani dowiedziała o zaginięciu transportu z pieniędzmi? – Wisting nie dawał za wygraną.

– Kai któregoś dnia przyszedł i mi o tym powiedział. Wracał od Dagfinna, kończyli u niego stawiać nową stodołę.

– Czy Kai bywał u swojego brata codziennie przez ten tydzień?

Kobieta skinęła głową.

– A co robił w tamtym okresie przez resztę dnia?

– Nic szczególnego... Przynajmniej nic mi nie przychodzi do głowy. Nie mieszkaliśmy jeszcze wtedy razem, więc nie widywałam go codziennie.

Wisting zerknął na oprawioną fotografię Kaia Skaugena. Ze wszystkich zebranych przy stole w gospodarstwie Brekke tamtego letniego dnia w 1925 roku to on wydawał się najbardziej prawdopodobnym kandydatem do popełnienia tego przestępstwa. Wiódł wtedy mocno nieuporządkowane życie, nad którym zresztą i później nieszczególnie panował. Ale jeśli miał coś wspólnego z tym, co się stało, to siedząca przed Wistingiem kobieta powinna coś o tym wiedzieć, albo przynajmniej domyślać się, co zrobił człowiek, z którym spędziła tyle lat. Uniósł wzrok. Nie miał wystarczająco dużego doświadczenia, by wydedukować, czy jego rozmówca mówi prawdę, czy też kłamie. Nie był nawet pewien, czy coś takiego w ogóle jest możliwe, ale zdawało mu się, że dostrzega u swojej rozmówczyni lekkie drganie w kąciuku prawego oka. Jakiś nerw sprawiał, że mięsień poruszał się mimowolnie, jakby na znak, że kobieta coś ukrywa. A może było to po prostu zupełnie normalne w jej wieku.

Zadał jeszcze kilka pytań o to, co robił Kai Skagen w dniu napadu, i o jego sytuację finansową. Momentami zastanawiał się nawet, czy nie powiedzieć wprost, że jego zdaniem to on popełnił przestępstwo, ale ostatecznie się na to nie zdobył.

Schody na piętro znów zaskrzypiały. Wnuk wetknął głowę do salonu. Włosy miał mokre, był ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Zatrzymał wzrok na Wistingu, po czym przeniósł go na swoją babkę.

– Wychodzę – powiedział.

Starsza pani skinęła głową, wnuk zniknął za drzwiami.

Wisting wstał. Miał poczucie, że nic więcej tu nie ugra.

– Spotkała się pani kiedyś z Ragną Bergan? – spytał, szykując się do wyjścia.

– A kto to taki?

– Rozmawiałem z nią przed weekendem – wyjaśnił Wisting. – Była żoną brata tego kierowcy, Marvina. Jest w tej sytuacji co pani, tyle że już od

1925 roku. Bliski jej człowiek zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach.

W oczach starej kobiety zaszła jakaś zmiana. Wisting nie był pewien, czy udało mu się w niej zasiać ziarno wątpliwości, które później zacznie kiełkować, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć czy zrobić, w drzwiach salonu znów stanął wnuk gospodyni.

– Musi pan przestawić auto – powiedział. – Jeśli to volvo jest pana. Blokuje wyjazd z garażu.

– Przepraszam – odrzekł Wisting.

Anna Skaugen z trudem dźwignęła się z fotela. Wisting podał jej rękę, podziękował za rozmowę i ruszył do drzwi. Przystanął na progu i odwrócił się do niej.

– Koperta – przypomniał sobie. – Niestety muszę ją ze sobą zabrać. Zostanie pani zwrócona.

Gospodyni zerknęła zaskoczona na leżący na fotelu list.

– Oczywiście – powiedziała, podając go policjantowi.

Wisting znów podziękował.

Wnuk starszej pani stał na chodniku i przeglądał pocztę. Gdy zobaczył, że gość wychodzi z domu, odłożył ją z powrotem do skrzynki na listy i poszedł do garażu. Wisting wsiadł do swojego samochodu i odjechał kawałek. Zobaczył w lusterku, że mężczyzna wyjeżdża tyłem na podwórze. Począł, aż zniknie z pola widzenia, i otworzył kopertę, by przeczytać list.

Był przekonany, że Anna Skaugen wyjęła z niej dwie kartki papieru. Tymczasem znalazł w środku tylko jedną. Druga musiała zostać w domu. Owszem, u góry arkusza, który trzymał teraz w dłoni, napisano „Droga Anno”, na dole zaś widniał podpis: „Twój Kai”. List był więc rozpoczęty i zakończony, ale Wisting miał pewność, że widział dwie kartki.

Wsunął arkusz z powrotem do koperty i zważył ją w dłoni. Wydawała się lżejsza i cieńsza niż przed otwarciem.

Wrócił na ganek i zadzwonił do drzwi. Po chwili otworzyła mu Anna Skaugen. Po jego wyjściu zdążyła włożyć robiony na drutach wełniany sweter.

– Chyba jedna ze stron listu została w domu – powiedział.

Starsza pani potrząsnęła głową.

– Przecież była tylko jedna kartka – oświadczyła.

– A mnie się wydawało, że dwie – odparł Wisting. – Mógłbym wejść i się rozejrzeć? Może spadła na podłogę.

Gospodyni odsunęła się, wpuszczając go do środka. Wisting uniósł poduszkę leżącą na fotelu gospodyni, przesunął zdjęcie jej męża, ale niczego nie znalazł.

– Była tylko jedna kartka – powtórzyła gospodyni.

Wisting przyjrzał jej się uważnie. Mięsień w kącie oka znów zadrgał. Teraz był już pewien. Kobieta próbowała go okłamać.

Ove Dokken nie był zadowolony. Siedział za swoim biurkiem, czytając raport ze spotkania z Anną Skaugen. Finn Haber zajął miejsce na sofie pod oknem, a Wisting przycupnął na prostym krześle przeznaczonym dla petentów. Nadal był pewien, że w kopercie leżały dwa arkusze papieru, ale pominął tę kwestię w raporcie. Wspomniał za to o niej w rozmowie z przełożonym.

– Zdaje mi się, że ona coś ukrywa.

– Nie wystarczy nam, że coś ci się zdaje – burknął Dokken, podnosząc kopię listu. – To nic nam nie mówi. Nie ma tu niczego ciekawego. Tyle tylko, że jest mu smutno. Nie pisze nawet, że chce się zabić, tylko że życie jest trudne.

– Nie powinniśmy byli dawać jej w ogóle tego listu – skomentował Haber. – Musimy jednoznacznie zidentyfikować trupa. Kai Skaugen wciąż widnieje w rejestrach odcisków palców, mimo że już nie żyje. Mogliśmy sprawdzić ślady na kopercie.

Ta myśl nie przyszła nawet Wistingowi do głowy.

– Czy już na to za późno? – zapytał.

– Może i nie, ale niepotrzebnie pozwoliliśmy, żeby inni pozostawiali swoje paluchy – technik kryminalistyki pochylił się w przód. – Spytałeś ją, czy ma jakieś odręczne zapiski męża? – chciał wiedzieć. – Coś z jego podpisem, żebyśmy mogli porównać to z listem?

– Nie.

– A co z zegarkiem? – chciał wiedzieć Dokken. – Zapytałeś, czy byłaby w stanie rozpoznać zegarek, który znaleźliśmy?

Wisting potrząsnął głową. O tym też nie pomyślał.

– Albo jeszcze lepiej – wtrącił Haber. – Może miała jakieś zdjęcie, na którym był z zegarkiem na ręku?

– Zdjęcie, owszem, miała, pokazywała mi nawet – skinął głową Wisting.

– I co, zegarek na nim był?

– Nie zwróciłem uwagi.

– A co z plecakiem jej ojca? – ciągnął Dokken. – Potwierdziła, że korzystał z niego jej mąż? Że odziedziczył go po śmierci teścia albo coś w tym rodzaju?

– Nie zeszliśmy na ten temat – przyznał Wisting.

– Może w takim razie pistolet? – pytał dalej Dokken, wydmuchując dym.

– Czy kobieta wiedziała, że jej mąż miał lugera?

– Zdaje się, że tak – odrzekł Wisting.

– Ale nie pytałeś jej o to?

– Mogę zadzwonić i poprosić o informacje – zaproponował Wisting.

– Zrób to – poprosił Dokken, odsuwając od siebie raport. – Porozmawiaj z nią jeszcze raz i napisz wszystko od nowa.

Młody policjant zabrał nieudany dokument.

– Przepraszam – powiedział, wstając.

– To moja wina – westchnął Dokken. – Nie powinienem był posyłać cię tam samego. Trzeba było wyprawić tam z tobą doświadczonego oficera śledczego. Może by ci wtedy nie zginęła ta druga kartka.

Wisting ruszył do drzwi.

– Zapytaj, czy jej mąż miał kiedyś złamaną rękę – poprosił go Haber. – Lewe przedramię tych zwłok ze stodoły nosi ślady dość paskudnego złamania.

Wisting osunął się na krzesło w biurze, z którego tymczasowo korzystał, i spróbował odzyskać panowanie nad sobą. To, jak poradził sobie z Anną Skaugen, nie wystawiało mu zbyt dobrej rekomendacji na wolne

stanowisko w wydziale śledczym.

Chwycił ołówek i zanotował wszystkie dodatkowe pytania, które będzie musiał zadać kobiecie. Następnie podniósł słuchawkę i wybrał jej numer.

Odebrał wnuk starszej pani.

– Mówi Jens – przedstawił się. – Jens Brun.

Wyrzucił to z siebie z bezczelnym wdziękiem aktora i trudno było stwierdzić, czy świadomie próbuje udawać Jamesa Bonda, czy też skojarzenie z filmowym bohaterem wynika głównie z podobieństwa nazwisk.

Wisting przedstawił się, ale nie wspomniał, że dzwoni z policji.

– Mógłbym rozmawiać z Anną Skaugen? – poprosił.

Starsza kobieta podeszła do telefonu dopiero po dłuższej chwili.

– Mam kilka dodatkowych pytań – wyjaśnił Wisting po tym, jak jeszcze raz podał swoje nazwisko.

– Ach tak?

– Czy wiadomo coś pani o tym, by pani mąż miał kiedyś złamaną rękę?

– Tak, chyba w połowie lat sześćdziesiątych. Spadł z drabiny. A o co chodzi?

Wisting wyjaśnił, że trwa identyfikacja znalezionych w stodole zwłok.

– Pamięta pani może, czy to była prawa ręka, czy lewa?

Anna Skaugen musiała się zastanowić.

– Lewa – odrzekła wreszcie.

Wisting brnął dalej.

– Znaleziliśmy także zegarek – powiedział. – Przypomina sobie pani, jakiej marki zegarek nosił pani mąż?

– Jakiś taki jasnobrązowy albo w kolorze mosiądzu – odparła. – Chyba japoński, nie trzeba go było nakręcać.

– Miał baterię?

– Nie, to był chyba taki nowoczesny zegarek, który sam się nakręcał, jeśli tylko chodziło się z nim na rękę.

Wisting zanotował tę informację.

– Pokazała mi pani zdjęcie – ciągnął. – Czy pani mąż ma na nim zegarek?

– Muszę pójść sprawdzić.

Starsza pani odłożyła słuchawkę na stolik. Wisting czekał. Myśli zaczęły kłębić mu się w głowie bez ładu i składu, wreszcie, sam nie wiedząc czemu, zapisał na otwartej stronie notatnika nazwisko Brun. W końcu Anna Skaugen wróciła do telefonu.

– Nie widać go – odrzekła. – Przynajmniej nie na tym zdjęciu.

Wisting musiał wziąć się w garść i skoncentrować na dodatkowych pytaniach. Przebrnął w końcu przez nie wszystkie i zmienił temat.

– To pani wnuk odebrał telefon? – spytał.

– Tak, a czemu pan pyta?

– Nazywa się Brun?

– Moja córka wyszła za człowieka o tym nazwisku – wyjaśniła Anna Skaugen. – W domu atmosfera była niezbyt dobra, więc wnuk przeprowadził się do mnie przed kilkoma laty. Ale teraz niedługo ma sobie kupić własne mieszkanie.

Wisting wrócił do notatek dotyczących domku letniskowego, w którym, jak wtedy podejrzewał, mogli ukrywać się sprawcy napadu na bank.

– Czy Vivian i Roger Brunowie to rodzina Jensa?

– Tak, to jego ciotka i stryj – wyjaśniła Anna Skaugen. – Roger jest bratem jego ojca.

Wisting wrócił do rozmowy o jej mężu, by kobieta nie zaczęła go wypytywać, dlaczego tak bardzo interesuje się jej wnukiem.

– W pobliżu miejsca, w którym znaleziono zwłoki pani męża, stała para butów. Pamięta pani, jaki rozmiar nosił mąż?

– Czterdzieści pięć – odparła kobieta szybko.

Wisting chciał zakończyć rozmowę, ale Anna Skaugen też miała kilka pytań. Zaczęła się zastanawiać nad kwestiami praktycznymi, na przykład nad tym, co teraz będzie ze szczątkami i czy powinna zacząć planować pogrzeb. Wisting nie był w stanie na wszystko odpowiedzieć, ale obiecał, że

to sprawdzi.

Zakończył rozmowę i sięgnął po skserowaną kartkę, którą wetknął za tylną okładkę notesu. Była to strona z numerami telefonów znaleziona w domu Simona Beckera. Numer Anny Skaugen, 32082, znalazł zapisany obok inicjałów J.B. Jens Brun.

Myśli o szkielecie i transporcie pieniędzy sprzed lat nagle zupełnie wywietrzały mu z głowy. Znalazł jakieś powiązanie między skradzionym autem a potencjalnym sprawcą napadu na bank.

Zabrał wszystkie papiery z powrotem do gabinetu Dokkena, nie zastanawiając się nawet nad tym, w jaki sposób powinien przedstawić swoje odkrycie.

– Pamięta pan domek letniskowy? – zapytał.

Ove Dokken zerknął na niego.

– Który?

– Napisałem jakiś czas temu notatkę o domku w Tveidalen, w którym krótko po napadzie na bank byli jacyś ludzie – wyjaśnił Wisting.

– Sprawdziliśmy to – Dokken skinął głową. – Wyszło na to, że robotnicy.

– Wcale nie robotnicy – poprawił go Wisting. – Tylko bratanek męża właścicielki i jego kolega, którzy zobowiązali się wymienić pokrycie jednej ze ścian. Ustaliłem właśnie, że ten bratanek to wnuk Anny i Kaia Skaugenów. Rozmawiałem z nim, kiedy tam pojechałem.

Szef wydziału zrozumiał, że to jeszcze nie koniec, i odchylił się na krześle, spoglądając na podwładnego wyczekująco. Wisting położył przed nim kopię strony z notesu znalezionej w domu Simona Beckera i wskazał numer Jensa Bruna.

– Przyjrzałem się tej sprawie na ostatniej nocnej zmianie – przyznał. – Wydało mi się to trochę dziwne, że lokalny złodziejaszek dostarcza wóz gangowi z Oslo.

Dokken nie wyglądał na przekonanego. Zerknął na leżącą na biurku paczkę papierosów, ale po nią nie sięgnął.

– Chcesz powiedzieć, że Kai Skaugen napadł na transport pieniędzy

z Kristiansand w 1925, a za włamaniem do banku stoi jego wnuk?

Wisting zaczął rozpaczliwie szukać kolejnych argumentów, zastanawiał się nawet, czy nie wspomnieć o monetach leżących pod sofą w domku w Tveidalen, ale wtedy musiałby się też przyznać, że wszedł tam bez pozwolenia.

– Dla mnie to wygląda trochę jak szukanie odpowiedzi na siłę – stwierdził Dokken, nie będąc już dłużej w stanie zapanować nad pokusą zapalenia.

– A może warto to zbadać?

Ove Dokken zaciągnął się i zamyślił.

– Gdzie chciałbyś zacząć? – spytał.

– Od złodzieja – odrzekł Wisting. – Czyli Simona Beckera.

– Gównu ci powie, ale spróbować zawsze możesz – stwierdził Dokken. – Właśnie był na przesłuchaniu, siedzi sobie teraz w jednej z naszych cel i czeka, aż go odwiozą do więzienia.

Wisting zaprotestował.

– Czy tego nie powinien zrobić jakiś ekspert od przesłuchań?

Dokken wypuścił chmurę dymu i odezwał się zza niej:

– Eksperci już próbowali. Teraz spróbuj ty.

– Ale to ja go aresztowałem – wzbraniał się Wisting. – Poza tym nigdy nikogo jeszcze nie przesłuchiwałem. A przynajmniej nie w ten sposób.

Dokken posłał mu uśmiech.

– W takim razie już najwyższy czas.

Wisting robił, co mógł, by ukryć, jak niepewnie się czuje, zamykając za sobą drzwi pokoju przesłuchań. Od czekającego nań mężczyzny biła czysta niechęć. Na jego twarzy, oprócz obrzydzenia, malował się też niepokój i strach.

– Dzięki za ostatnie spotkanie – powiedział Wisting, wyciągając dłoń.

Simon Becker uścisnął podaną mu rękę, ale nie ruszył się z krzesła.

– To ja cię zatrzymałem – wyjaśnił Wisting, siadając.

Mężczyzna po drugiej stronie stołu wzruszył ramionami. Młody policjant wkręcił arkusz papieru w maszynę do pisania. Wstukał najpierw standardowe formułki o czasie i miejscu przesłuchania, po czym zwrócił się do Simona Beckera, stwierdzając, że lepiej przejść prosto do rzeczy.

– Skąd znasz Jensa Bruna?

Pytanie sprawiło, że Becker drgnął. Najwyraźniej tego się nie spodziewał.

– Kogo? – wydusił.

– Jensa Bruna – powtórzył Wisting, nie marnując czasu na dodatkowe wyjaśnienia.

Simon Becker powtórzył nazwisko głośno, jakby starał się zyskać na czasie i odwlec chwilę, gdy będzie musiał wreszcie odpowiedzieć.

– Chodził do tej samej szkoły co ja, parę klas wyżej – przyznał wreszcie.

– Kiedy z nim ostatnio rozmawiałeś?

– Dawno temu.

– Jak dawno?

– Nie pamiętam.

– Czy „dawno temu” to dla ciebie na przykład tydzień?

Simon Becker zaczął się wiercić na krześle.

– Miesiąc? – zaproponował Wisting.

– Coś w tym guście – odrzekł przesłuchiwany.

Policjant zasypał go gradem pytań: o czym rozmawialiście? Gdzie się spotkaliście? Byliście sami? Odpowiedzi, które padały, wydawały się zmyślane. Wysłuchawszy ich, Wisting odwrócił się do maszyny i zaczął spisywać zeznania. W połowie akapitu Becker mu przerwał.

– Mogę powiedzieć, jak było – rzucił nagle.

Wisting odwrócił się do niego.

– Poproszę – skinął głową.

– Zwinąłem parę aut – przyznał się mężczyzna. – Dość mam już siedzenia w areszcie. Powiem, jak było naprawdę.

W ciągu kolejnej godziny Simon Becker przyznał się do kradzieży pięciu samochodów i włamań do kolejnych siedmiu pojazdów. Wisting ani przez chwilę nie wątpił w autentyczność jego zeznań, ale podejrzewał, że są one tylko manewrem mającym wyprowadzić go w pole. Skłonienie Beckera do złożenia wyjaśnień przyszło mu zbyt łatwo. Miał nadzieję, że dzięki tym zeznaniom nie będzie musiał mówić o Jensie Brunie. Ale Wisting nie miał zamiaru się poddawać. Wyjął listę przedmiotów skonfiskowanych w domu Beckera. Położył ją na stole i podkreślił trzy pozycje: bluzę z napisem Bull, okulary przeciwsłoneczne i kasety magnetofonowe.

– To wszystko leżało w aucie, które zostało skradzione w nocy z niedzieli na poniedziałek przed trzema tygodniami – powiedział.

Simon Becker zrozumiał, że jego taktyka nie przyniosła rezultatu.

– Całkiem możliwe – odrzekł, zmieniając pozycję na krześle. – Już nie pamiętam.

– W czarnym fordzie sierra – naciskał Wisting.

Simon Becker nabrał wody w usta.

– Może czytałeś o tym w gazecie – ciągnął policjant. – Ten samochód wykorzystano w napadzie na bank. Jeśli chcesz uniknąć oskarżenia w tej sprawie, powinieneś powiedzieć mi teraz wszystko, co ci wiadomo na temat tego auta.

Siedzący przed nim mężczyzna wydawał się zupełnie zdezorientowany. Wistinga zdążyła już ogarnąć obawa o to, że naciskał zbyt mocno, gdy nagle Becker zaczął mówić.

– Nie mam pojęcia o żadnym napadzie. Powiedzieli mi, że sprzedadzą tego forda na części. Nawet nie dali mi za niego pieniędzy.

– O kim teraz mówimy?

– O Jensie Brunie i jego koledze.

Wisting czekał na nazwisko. W końcu Becker je wymienił. Owym kolegą był Geir Tangen.

Tak jak wcześniej młody policjant nie był w stanie ukryć podenerwowania, tak teraz nie zdołał powstrzymać cisnącego się na usta tryumfalnego uśmiechu, z którym wmaszerował do gabinetu Dokkena.

Szef wydziału wziął od niego protokół z przesłuchania i zaczął czytać. Wisting zerknął na ścienny zegar za jego plecami. Było wpół do szóstej. Zastanawiał się, czy Dokken odłoży na razie tę sprawę i wróci do niej następnego dnia, czy też czeka go jeszcze jeden wieczór w pracy.

Przypomniał sobie nagle, że obiecał Ingrid zrobić zakupy w drodze do domu. Wszystkie sklepy były już zamknięte.

Przeprosił i wrócił do swojego tymczasowego biura, pozwalając Dokkenowi doczytać raport w spokoju.

Zadzwoił do żony. Ingrid nie próbowała nawet ukryć rezygnacji w głosie.

– Przepraszam – powiedział Wisting. – Miałem dziś urwanie głowy. Nie zdążyłem zrobić zakupów.

– I tak zostawiłeś listę w domu – skomentowała Ingrid.

– Przetrywamy jakoś do jutra?

– Poprosiłam mamę, żeby do nas wpadła – wyjaśniła żona. – Zajęła się

dziećmi, a ja pożyczyłam jej samochód i pojechałam do sklepu.

– Czyli zrobiłaś zakupy?

– Nie myśl już o tym.

Wisting jeszcze raz przeprosił i o mały włos nie opowiedział Ingrid o przełomie w sprawie napadu na bank, ale się powstrzymał. Dalsza część rozmowy przebiegła szybko i przepełniła go smutkiem. Miał wyrzuty sumienia. Ingrid była taka cierpliwa, rzadko się unosiła albo złościła, a on przecież widział, jaka jest zmęczona, jak mało śpi, ile pracy wymaga od niej opieka nad bliźniakami. Otrząsnął się z tego nieprzyjemnego uczucia i wrócił do gabinetu Dokkena.

Szef wydziału podniósł wzrok znad protokołu.

– Jak ci się to udało? – zapytał.

– Nie wiem – odrzekł szczerze Wisting. – Becker chyba z czasem po prostu sam zrozumiał, co mu się najbardziej opłaci.

Ove Dokken skinął głową i wyciągnął rękę po słuchawkę.

– No to zbieramy ludzi – oświadczył.

29

Policjanci zostali podzieleni na dwie drużyny. Wszyscy mieli na sobie cywilne ubrania. Wisting jechał na tylnym siedzeniu samochodu wysłanego po Jensa Bruna. Auto podskakiwało lekko na zaśnieżonej ulicy. W oknach sklepów jaśniały bożonarodzeniowe dekoracje.

Wisting wskazał dom. Powoli przejechali obok. Pobliskim chodnikiem szedł mężczyzna z psem. W oknach na parterze było ciemno, ale w dwóch pokojach na piętrze, zajmowanych przez Jensa Bruna, paliło się światło.

Kierowca okrążył cały kwartał i zaparkował nieco na uboczu, z dala od kręgów światła rzucanego przez uliczne latarnie. Oficer śledczy podał Wistingowi dokument wystawiony przez komendanta – nakaz aresztowania.

– Ty się tym zajmij – powiedział, kierując jednego ze swoich ludzi w okolice garażu, skąd był dobry widok na tyły domu.

Wisting ruszył w stronę schodów. Serce waliło mu w piersiach, oddech parował na mrozie. Z domu dochodziła muzyka.

Nacisnął przycisk dzwonka, ale nic się nie stało. Zadzwoił jeszcze raz. Muzyka ucichła, a na schodach rozległy się ciężkie kroki.

Drzwi stanęły otworem. Jens Brun miał na sobie czarny T-shirt i obcisłe dżinsy.

Rozpoznał Wistinga.

– Babci nie ma w domu – powiedział. – Pojechała na przedstawienie bożonarodzeniowe razem z dziećmi mojej siostry. Będzie u niej spała.

– Przyjechaliśmy po ciebie – powiedział Wisting, podając mu arkusz z policyjnym logo i pieczęcią.

Mężczyzna w drzwiach chyba dopiero teraz zrozumiał, że Wisting nie jest sam. Potoczył dookoła wystraszonym wzrokiem, jak zwierzę ścigane przez myśliwego. Dłoń, w której trzymał dokument, zaczęła mu drżeć.

Bez słowa zatrzasnął Wistingowi drzwi przed nosem. Zanim młody policjant zdążył chwycić za klamkę, po drugiej stronie rozległ się szczełęk przekręcanego w zamku klucza.

Jeden ze śledczych odepchnął Wistinga i napał na drzwi barkiem, ale to nic nie dało. Najstarszy oficer przytrzymał się poręczy na ganku, uniósł stopę i kopnął z całej siły w deskę tuż pod zamkiem. Rozległ się trzask, w powietrze poleciały drzazgi, a drzwi stanęły otworem.

Wisting pobiegł na piętro za starszymi kolegami. U szczytu schodów owiało ich zimne powietrze. Zobaczyli otwarte okno, w tej samej chwili dobiegł ich krzyk stojącego na czatach policjanta. Śledczy zawrócili i zbiegli na dół, Wisting został na piętrze sam. Podeszedł do okna i wyjrzał na dwór. Jens Brun wyskoczył na podwórze. Wylądował w śniegu, zerwał się na równe nogi i popędził w kierunku ogrodzenia posesji sąsiada. Stojący przy garażu funkcjonariusz puścił się w pogoń, ruszyli też za nim pozostali śledczy.

Wisting zbiegł na dół, wypadł na ulicę i zaczął okrążyć kwartał. Szybko poczuł w ustach smak krwi. Tuż za rogiem dostrzegł Jensa Bruna wylaniającego się z pogrążonego w ciemnościach podwórza sąsiedniego domu. Brun zerknął przez ramię, ale nie dostrzegł zbliżającego się policjanta. Wisting wyciągnął ręce i rzucił się na niego tak, że obaj padli na ziemię. Policjant próbował przytrzymać uciekiniera, ale ten wpakował mu kolano w brzuch, silny i bezwzględny cios. Dopadli ich śledczy, chwycili Bruna za ramiona i odciągnęli ich. Jeden z oficerów odpiął sobie od pasa kajdanki i skuł dłonie przestępcy za jego plecami.

Wezwano radiowóz, Brun dał się do niego wsadzić bez dalszych protestów i został odwieziony do komendy.

– Znam jego matkę – oświadczył jeden ze śledczych, spoglądając za autem. – Wpadła za oszustwo parę lat temu. Chyba nadal siedzi.

– Mają to w genach – skomentował sucho jeden z jego towarzyszy.

– Ta jego mamusia była jeszcze gorsza niż on – stwierdził pierwszy śledczy. – Zaczęła się z nami bić, a miała wtedy na sobie tylko szlafrok. Darła się, jakby ją ze skóry obdzierali.

Wisting otrzepał się ze śniegu i ruszył za kolegami z powrotem przed dom.

Pięciu policjantów rozdzieliło się na dwie grupy. Dwaj z nich zaczęli przeszukiwać garaż, a Wisting i pozostali wrócili na piętro. Wyraźnie widać było, że mieszka tu młody mężczyzna. Świadczyły o tym plakaty na ścianach, komiksy na półkach, drewniane skrzynki z kolekcją płyt i rozrzucone na podłodze ubrania.

– Gdzie właściwie da się zmieścić dwa miliony koron? – spytał jeden ze śledczych, otwierając szafkę.

– Zależy pewnie w jakich nominałach – odrzekł jego kolega.

Bezskutecznie przeszukali jeden pokój, po czym ruszyli do sypialni.

– Może schował pieniądze u babci? – zastanawiał się jeden ze śledczych.

– Mogę iść tam poszukać – zaoferował się Wisting.

Zszedł po schodach i zapalił światło w niewielkim salonie, w którym siedział wcześniej tego dnia. Na stoliku zobaczył pusty kubek po kawie. Zdjęcie męża gospodyni zostało odwieszane na ścianę. Z piętra dochodziły ciężkie kroki śledczych szukających łupów z włamania. Ale Wistinga bardziej interesowało co innego. Nie mógł pozbyć się myśli, że Anna Skaugen ukryła gdzieś jedną z kartek składających się na list pożegnalny jej męża. Próbował teraz odtworzyć w myślach całe spotkanie. Gdy starsza pani skończyła czytać list, wstała i podeszła do ściany, z której zdjęła oprawioną fotografię, a potem wróciła na fotel. Kiedy wstała drugi raz, by odprowadzić gościa do drzwi, kartki już nie było.

Wisting wysunął górną szufladę komody pod zdjęciami. Ciasno siedziała i zaszurała głośno. Na pewno zwróciłby uwagę, gdyby gospodyni próbowała

coś w niej schować. Mimo to przeszukał ją na wszelki wypadek, zanim zabrał się do szuflady numer dwa. Aby ją wysunąć, Anna Skaugen musiałaby się pochylić. I to nie uszłoby jego uwadze. Mimo to przejrzał zawartość wszystkich szuflad. Leżały w nich złożone zasłony i obrusy, stare tygodniki, albumy ze zdjęciami i bibeloty.

Komoda przykryta była serwetą z bożonarodzeniowym wzorem. Wisting odsunął oprawione w ramki zdjęcia, które na niej postawiono, i zajrzał pod spód. Niczego nie znalazł.

Cofnął się, by zbadać fotel, w którym siedziała Anna Skaugen. Istniała możliwość, że kobieta wsunęła kartkę w szparę między poduszką siedziska a podłokietnikiem. Ale nawet jeśli faktycznie to zrobiła, musiała ją potem stamtąd wyjąć i ukryć gdzieś indziej – Wisting niczego tam nie znalazł.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Młody policjant drgnął w obawie, że to gospodyni wróciła do domu.

– Coś znalazłem! – zawołał jeden ze śledczych odesłanych do przeszukania garażu.

Oficerowie zbiegli na parter. Wisting poszedł za nimi.

Pieniądze nie zostały nawet zbyt dobrze ukryte. Leżały w czterech plastikowych torbach umieszczonych w kartonowym pudle, które wsunięto pod warsztatową ławę w głębi garażu. Torby zostały przykryte kocem, na którym leżały dodatkowo stare części silnika.

Ktoś poklepał Wistinga po ramieniu, ale młody policjant nie podzielał zachwyty swoich kolegów. Świadomość, że sprawa została rozwiązana, była oczywiście miła, ale to oznaczało zarazem, że pewien etap został zamknięty i to na zawsze. Poza tym to nie było nawet jego śledztwo. Bo jego śledztwo utknęło w martwym punkcie.

30

W nocy zrobiło się jeszcze zimniej. Kuchenne okno było oszronione. Para ptaków z czerwonymi brzuszkami dziobała okruchy chleba przymarznięte do karmnika w ogrodzie.

Wisting jadł śniadanie z Ingrid. Był niespokojny, najchętniej pojechałby od razu do wydziału śledczego, ale wrócił do grafiku zmian i dyżurów – do pracy miał się stawić dopiero po południu.

– ...czyli uzgodniliśmy, że nie kupujemy sobie w tym roku niczego pod choinkę? – zapytała Ingrid.

Wisting nie zarejestrował, co mówiła wcześniej.

– Ja chyba jednak coś ci kupię, i nawet wiem już co – zdradził.

Ingrid zaczęła sprzątać ze stołu.

– Niczego nie potrzebuję – powiedziała. – Ale kiedy wrócę do pracy, to przyda nam się drugi samochód, zwłaszcza jeśli nadal nie będziesz miał stałych godzin dyżurów.

– To jest przejściowa sytuacja – odrzekł Wisting. – Od wiosny mogę zacząć jeździć do komendy rowerem.

– Tak czy inaczej uważam, że powinniśmy zacząć odkładać na samochód – stwierdziła Ingrid.

Musiał przyznać jej rację.

– Zastanawiam się, czy nie ubiegać się o stanowisko w wydziale śledczym – powiedział. – W przyszłym tygodniu oficjalnie ogłoszą, że kogoś szukają.

Rozmawiali o tym już wcześniej. Nie musiał wspominać, że straciłby dodatek za pracę wieczorami, nocami i w weekendy oraz dni świąteczne – co w praktyce oznaczałoby, że zarabiałby mniej niż teraz.

Ingrid posłała mu uśmiech.

– Jeśli tego chcesz... – zaczęła.

– Nie wiadomo nawet, czy mnie przyjmą – dorzucił Wisting pospiesznie.

Zebrał talerze, wstawił je do zlewu i odkręcił kran.

Przedpołudniowe godziny strasznie mu się dłużyły. Odgarnął śnieg z podjazdu i odbył pogawędkę z sąsiadem, który robił to samo u siebie. Koło południa zajął się bliźniakami, bo Ingrid musiała wyjść coś załatwić. Gdy wróciła i zastała męża spacerującego nerwowo po salonie, kazała mu jechać do komendy.

Na widok Wistinga Ove Dokken rozparł się na krześle.

– Kurewsko dobra robota – skomentował z szerokim uśmiechem. – Kurewsko dobra.

– Przyznali się? – spytał Wisting.

– Jeszcze nie, ale to właściwie niepotrzebne. Mamy trop prowadzący do użytego w napadzie auta, mamy pieniądze. Wsadziliśmy ich do aresztu.

– A te inne sprawy? – spytał Wisting. – W Akershus, Buskerud i Romerike?

– Wygląda na to, że nie ma między nimi związku, poza tym, że nasi chłopcy mogli się nimi zainspirować.

Szef wydziału znowu zaklął, by podkreślić, jak bardzo jest zadowolony z wyjaśnienia sprawy. Wisting był zdania, że jego rola ograniczała się tu do tego, że wpadł zupełnie przypadkiem na informacje, które doprowadziły śledczych do tego punktu.

Dokken sięgnął po paczkę papierosów i chciał poczęstować Wistinga, ale przypomniał sobie, że młodszy kolega nie pali.

– Ślady zawsze gdzieś tam są – powiedział, zaciągając się. – Ale potrzebne jest dobre oko, by je dostrzec. Na każde śledztwo składają się drobne elementy. Trzeba naprawdę mieć głowę na karku, żeby zauważyć

powiązanie między tym, co dla przeciętnego człowieka zdaje się nie mieć sensu.

Finn Haber minął otwarte drzwi gabinetu. Miał na sobie granatowy kombinezon oleofobowy, który często wkładał do pracy. Cofnął się o kilka kroków i wetknął głowę do środka.

– Masz chwilę? – spytał, zerkając na Wistinga. – W piwnicy stoi coś, czemu powinieneś się przyjrzeć.

Dokken podniósł się zza biurka i chwycił marynarkę wiszącą na oparciu krzesła.

– Pójdę z wami – powiedział.

Razem zeszli po schodach.

Na środku parkingu w piwnicy stało zabytkowe auto ze stodoły. W ostrym świetle reflektorów techników wyglądało na jeszcze bardziej zniszczone, ale nie sposób było zaprzeczyć, że to piękny pojazd. Ustawione na warsztatowej ławie radio grało kolędę. Haber podszedł do niego i wyłączył odbiornik.

– Miałeś rację – powiedział. – Znaleźliśmy pięć otworów po kulach, ale tylko trzy pociski.

– Pięć? – zdziwił się Wisting. Sam nie dostrzegł ich aż tylu w panującym w stodole mroku.

Haber pokazał mu wszystkie otwory. Usunięte z wnętrza samochodu pociski leżały na metalowej tacy.

– 9 na 19 milimetrów – wyjaśnił technik. – Najpopularniejsza amunicja pistoletowa na świecie.

– Sprawdziłeś lugera? – spytał Wisting.

– Tak, przeprowadziliśmy badanie balistyczne – skinął głową Haber. – Pociski wystrzelone z tej broni noszą bardzo charakterystyczne ślady.

Wisting pochylił się i zmarszczył czoło, oglądając trzy kule na ławie.

– Dopasowaliśmy je do siebie – zdradził Haber. – Transport pieniędzy został ostrzelany z tego samego pistoletu, który znaleźliśmy przy zwłokach Kaia Skaugena. Biorąc pod uwagę wszystkie inne informacje, które udało

nam się zebrać, możemy stwierdzić, że to właśnie on stał za napadem.

– Gdzie jest szkielet? – chciał wiedzieć Wisting.

– Spakowaliśmy go – odparł Haber. – Kripos chce, żeby przyjrzał mu się jakiś profesor od anatomii, razem z archeologiem.

– Mamy pewność, że to Kai Skaugen?

– Szpitalna dokumentacja potwierdza, że miał złamaną rękę. To nasz najpewniejszy punkt zaczepienia – wyjaśnił Haber. – Razem z listem, plecakiem należącym do jego teścia i faktem, że zaginął i nigdy się nie znalazł, daje nam to wystarczające podstawy do złożenia kości w grobie opatrzonym jego nazwiskiem.

– No bo kto inny mógłby to być? – spytał Dokken.

Wisting przekrzywił głowę. Przeszło mu przez myśl, że może Marvin Bergan, kierowca z 1925 roku, ale teoria była tak ryzykowna, że postanowił się nią nie dzielić.

– A ta stara sprawa? – zapytał.

– Zamykamy ją – odparł Dokken. – Wiemy już, co się stało, nie da się nikogo za to ukarać. Składamy wszystkie papiery i odsyłamy je do archiwum.

– Ale nadal mamy wiele pytań – zaprotestował Wisting.

– Kto miałby na nie odpowiedzieć?

– Myślę, że Anna Skaugen wie, co się naprawdę stało – odparł młody policjant. – Że wiedziała o tym od wielu lat, a jeśli nawet nie знаła jakichś szczegółów, to odnalazła je w tej części listu pożegnalnego swojego męża, która do nas nie trafiła.

Wciąż był przekonany, że postąpił właściwie, oddając kobiecie zaklejoną kopertę. Po prostu nie powinien był jej tak ufać. Ove Dokken nie był zachwycony tą uwagą, mimo że to przecież nie on ponosił odpowiedzialność za zniknięcie kartki.

– Nic więcej z niej nie wyciśniesz – orzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Pewnie dawno już spaliła ten drugi arkusz.

Sięgnął po papierosa.

– Zostaw to w spokoju – poradził. – Nigdy nie znajdziemy wszystkich odpowiedzi. Pewne rzeczy zostają niewyjaśnione i trzeba się z tym pogodzić. Naucz się z tym żyć.

Chmura papierosowego dymu poszybowała pod sufit garażu.

– Niektóre pytania nie dają człowiekowi spokoju i spędzają sen z powiek – ciągnął. – Ale jeśli chcesz być śledczym, to lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać.

Wisting spojrzał na niego.

– Słyszałem, że będzie nabór... – zaczął ostrożnie.

Dokken potrząsnął głową.

– Wycofaliśmy ogłoszenie – wyjaśnił, wydmuchując dym nosem. – Rozmawiałem z komendantem krajowym. Chcemy zaproponować to stanowisko tobie.

**Trzydzieści trzy
lata później**

Wisting stał w cieniu rozłożystego dębu. Dziesięcioro kadetów przebrało się w stroje polowe i wysokie buty. Zbliżał się wieczór, słońce wisiało nisko nad horyzontem. Niebo nad ich głowami było matowe i zasnuwane mgiełką.

Oprócz kadetów na miejscu była niemal równie liczna grupa etatowych policjantów z komendy. Niektórzy z nich mieli ze sobą łopaty, inni motyki. Zajęli miejsca w jednej linii za pozostałościami starej stodoły, rozstawieni co metr. Kolejne pory roku przychodziły i odchodziły, robiąc, co w ich mocy, by jak najlepiej ukryć ruiny pod trawą i roślinnością. Przed nimi rozciągała się ściana milczącego lasu, słońce przeciskało się między liśćmi, rzucając na ziemię plamy światła.

Na miejscu była także Line, z aparatem przewieszonym przez ramię i wyczekującą, pełną napięcia miną. Wisting zerknął jeszcze raz na wyblakły tusz, układający się w kolejne zdania listu, który otrzymał wcześniej tego dnia. Koperta leżała schowana za oprawionym w ramkę zdjęciem przez trzydzieści trzy lata, ale kryło się w niej rozwiązanie zagadki o wiele starszej. Wyjaśnienie niemal stuletniej tajemnicy.

Anna Skaugen pisała, że właściwie całe jej życie składało się z przemilczeń i kłamstw, a jednocześnie przepełniała je głęboka miłość do jednego człowieka. Przyznawała, że okłamała Wistinga w tę śnieżną zimę 1983 roku, zatajając przed nim część ostatniego listu od męża.

Wiedziała, co zrobił jej narzeczony, już od 1925 roku. Kai Skaugen nie chciał zostać mordercą. Pistolet miał tylko wystraszyć kierowcę, ale Marvin Bergan nie chciał się zatrzymać przed ustawioną przez niego blokadą drogi.

Nigdy nie zdradził Annie szczegółów zajścia, ale napad i zabójstwo kierowcy stały się ich wspólną tajemnicą. Kobieta pogodziła się z tym, kim

jest jej ukochany i co zrobił, i mimo wszystko zdecydowała się za niego wyjść. Mieli dużo pieniędzy i rysowała się przed nimi świetlana przyszłość, ale z czasem zaczęła ona wyglądać coraz mroczniej. Mąż regularnie pobierał spore sumy z zapasów gotówki, które wspólnie ukryli. Pilnował, by nie wydawać jednorazowo kwot, które wzbudziłyby podejrzenia brata i ludzi, którzy wiedzieli o zaginionym transporcie, ale sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. Kai Skaugen zaczął pić, coraz częściej był na bakier z prawem. Miał napady lęku i stany depresyjne, z czasem coraz ciężiej przychodziło mu wydawanie zrabowanych pieniędzy. A potem przyszła wojna i nie było ich już nawet na co wydawać. Po wojnie przeprowadzono reformę systemu finansowego. Gotówkę wymieniano na bony żywnościowe, wpłaty do banku i papiery wartościowe rejestrowano, a potem do obiegu weszły nowe banknoty. Pozostała część pieniędzy z transportu straciła jakąkolwiek wartość. Nieśmiałe nadzieje Kaia Skaugena na lepszą przyszłość legły w gruzach.

Z szosy dobiegło trąbienie klaksonu. Dwa głośne dźwięki, jeden po drugim. Wszyscy odwrócili się w ich kierunku. Drogą jechało wspaniale odrestaurowane zabytkowe auto. Kilka osób wskazało je palcami, zebrani kadeci i policjanci zaczęli szeptać między sobą.

Niespełna osiemdziesięcioletni Rupert Hansson zdjął z głowy czapkę szofera, wyciągnął rękę i pomachał wesoło. Stare opony zachrzęściły na żwirze.

Line uniosła aparat i zrobiła mu kilka zdjęć. Chmura kurzu za samochodem opadła, Wisting podszedł do mężczyzny i przywitał się z nim.

– Dziękuję, że przyjechałeś – uśmiechnął się. – I że wzięłeś auto.

– W życiu bym tego nie przegapił – zapewnił go starszy pan za kierownicą. Wygramolił się z samochodu i stanął obok Line.

Wisting zwrócił się do ustawionych w szpaler policjantów i wyjaśnił im, czego mają szukać. W lesie, mniej więcej sto metrów od miejsca, w którym się teraz znajdowali, powinien leżeć okrągły kamień wielkości pokrywy studzienki kanalizacyjnej, a na nim kolejny, mniejszy, ułożony od

północnej strony.

Rozpoczęli poszukiwania.

Wszystkiemu przyglądali się stojący nieco na uboczu dwaj leciwi mężczyźni. Wisting zbliżył się do nich.

– To ta dziewczyna z końskim ogonem? – zwrócił się do starszego z dwójki.

Ove Dokken wyjął papierosa z ust i uśmiechnął się szeroko, dumny ze swojej wnuczki.

– Cwana sztuka – zapewnił emerytowany szef wydziału. – Będzie z niej świetna policjantka.

Finn Haber odpędził muchę.

– Czyli ten list pożegnalny naprawdę miał jeszcze jedną stronę? – zapytał.

Wisting podał mu papiery. Na kartce ukrytej przez Annę Skaugen trzydzieści trzy lata temu jej mąż opisał miejsce, w którym schował łup z napadu na transport. Pieniądze jego zdaniem całkowicie straciły wartość i pewnie uległy rozkładowi. Ale złoto wciąż tam leżało. On sam nie był już w stanie utrzymać swojej żony, ale jeśli kiedykolwiek będzie potrzebowała większej kwoty, wystarczy, że odkopie skarb.

Kordon posuwał się w głąb lasu. Wisting i dwaj emerytowani policjanci szli tuż za nim w towarzystwie Line i Ruperta Hanssona. Słysząc było trzaski łamanych gałązek i bzyczenie owadów.

– Osiemdziesiąt metrów! – zawołał mężczyzna wyposażony w odległościomierz.

Policjanci zwolnili. Zaczęli podnosić gałązki i zaglądać pod krzaki.

Line ruszyła na lewe skrzydło kordonu, przystanąła i zrobiła kilka zdjęć. Ona też jest powiązana z tamtą starą sprawą, pomyślał Wisting. Zawsze lubiła fotografować, z upływem lat wychodziło jej to coraz lepiej. W końcu została dziennikarką, obecnie pracowała na własny rachunek. Był to niełatwy kawałek chleba, rynek stał się bardzo wymagający, ale Line podpisała kilka kontraktów i wiedziała, czego konkretnie szukają

poszczególne redakcje. Poza tym miała niespożyte zasoby energii i entuzjazmu.

– Dziewięćdziesiąt metrów! – zawołał znów mężczyzna.

Ove Dokken otarł kark chusteczką. Line zwróciła ku nim obiektyw aparatu. Wisting starał się nie patrzeć w jej kierunku.

Haber zerknął w stronę zawałonej stodoły.

– Musiało o tym wiedzieć więcej ludzi – stwierdził. – Właściciel budynku na pewno się czegoś domyślał.

– Brał pieniądze i był zadowolony – rzucił Dokken.

Wisting przyznał mu rację.

– Wszyscy, którzy wiedzieli o napadzie, milczeli ze względu na strajk – przypomniał kolegom. – W gazetach nie było o tym ani słowa. Auto stało sobie w tej stodole przez lata i nikt nie potrafił skojarzyć faktów.

Z krzaków tuż przed nimi wzbił się w powietrze duży, spłoszony ptak. Przeleciał nisko nad ziemią, tak że ludzie na czele kordonu musieli się pochylić.

– To powinno być gdzieś tutaj – stwierdził Haber, oglądając się znów na stodołę.

Grupa poszukiwawcza zabrała się do roboty z jeszcze większą pieczołowitością. Kilka osób miało ze sobą żerdzie, które wbijały w ziemię w poszukiwaniu kamieni mogących skrywać się pod warstwą torfu.

Mężczyzna z odległościomierzem podszedł do Wistinga.

– Sto siedem metrów – poinformował.

– Spróbujmy jeszcze trochę dalej – poprosił Wisting.

Przystanął z Haberem i Dokkenem, przyglądając się trwającym poszukiwaniom.

– To musi być tutaj – orzekł Dokken. – Nikt przecież nie zabiera z lasu kamieni, chyba że chce wyciąć drzewa i przygotować ziemię pod uprawę.

Mężczyzna z odległościomierzem odwrócił się do Wistinga.

– Sto dwadzieścia! – wrzasnął.

Komisarz przywołał go do siebie.

– Cofnij ich do stu metrów i szukajcie, posuwając się w tył – zaproponował. – Zdaje mi się, że mogliśmy minąć to miejsce. Sto metrów to duży dystans do pokonania, gdy niesie się ciężką kasetkę, a odległość przecież trudno oszacować.

Kierujący akcją człowiek zrobił, co mu kazano.

Okrzyk oznajmujący, że coś znaleziono, rozległ się na osiemdziesięciu metrach. Kilka osób stłoczyło się przy wołającym mężczyźnie, ale wszyscy odsunęli się, gdy podszedł do nich Wisting.

Płaski kamień był porośnięty mchem i niemal zupełnie niewidoczny pod krzakiem dzikich malin. To musiało być to miejsce. Na kamieniu leżał drugi, mniejszy, dokładnie tak, jak to opisał Kai Skagen. Porośnięty trawą kopczyk sugerował, że ziemia w tym miejscu została wykopana i zastąpiona czymś innym.

– Podnieść ten kamień? – spytał kierujący akcją.

Wisting skinął głową.

Jeden z mężczyzn podszedł bliżej i chwycił brzeg kamienia. Zdołał unieść go bez pomocy. Ziemia pod nim była czarna i wilgotna. Niewielkie owady rozbiegły się we wszystkich kierunkach.

Ktoś podał łopatę. Metalowa łyżka trafiła na coś twardego już przy pierwszym wbiciu jej w podłoże. Wisting ukląkł i zaczął odgarniać ziemię rękoma. Pod kilkoma centymetrami luźnej gleby ukazała się zardzewiała metalowa powierzchnia. W kilku miejscach z upływem czasu porobiły się dziury, tak że ziemia i płaty rdzy wpadały do środka.

Po krótkiej chwili udało mu się odsłonić całą pokrywę. Był to prostokąt o wymiarach mniej więcej 80 centymetrów na 60, zawias został umieszczony na samej górze, ale policjanci nie otworzyli kasetki. Postanowili odkopać ją w całości. Zabrali się do tego z dwóch stron. Po pół godziny byli już w stanie wyciągnąć z ziemi całą skrzynkę i umieścić ją na rozłożonym brezencie.

Wisting ukucnął nad nią. Miał ziemię na dłoniach i twarzy, bo zapomniał się, ocierając pot z czoła. Wszyscy uczestnicy akcji

poszukiwawczej ustawili się wokół niego.

Kasetka musiała być kiedyś zamykana na kłódkę, ale po usunięciu jej siłą przed laty zostały tylko elementy zniszczonego zamka.

Fragmenty ziemi i rdza sprawiały, że pokrywy nie dało się unieść od razu. Wisting szarpnął nią kilkakrotnie, próbując ją obluzować. W końcu się poddała.

Usłyszał trzask migawki aparatu Line, poza tym dookoła było zupełnie cicho.

Kasetka była wciąż wypełniona do połowy banknotami. Ubrudzone ziemią, leżały w grubych plikach, przysypane częściowo glebą i kamykami, które powpadały do środka przez dziury w pokrywie. Papier kruszył mu się między palcami, więc szybko odłożył go na miejsce.

W osobnej przegródce leżało kilka przedmiotów zawiniętych w filcowe szmatki. Wisting podniósł jeden z nich, zważył go w dłoni i odwinął. Była to sztabka złota.

Ktoś zaczął klaskać. Wisting usłyszał za plecami pojedyncze śmiechy i wiwaty.

Zorganizowano nosze, by wynieść kasetkę z lasu. Podniesiono ją na brezentowej płachcie, następnie czterej mężczyźni chwycili nosze i ruszyli w kierunku szosy. Wisting stał, spoglądając za nimi razem z Ovem Dokkenem i Finnem Haberem.

Maren Dokken podeszła do nich i uściskała dziadka. Poprawiła koński ogon, wyjęła pudełko ze snusem i wsunęła torebkę z tytoniem pod pełną wargę.

– Coś się nie zgadza – powiedziała.

Wisting podniósł leżącą na ziemi łopatę.

– Co masz na myśli? – spytał dziadek dziewczyny.

– Ta ziemia – odrzekła, wskazując na kopczyk obok zagłębienia w terenie. – Jeśli usypano kopiec, by zrobić miejsce na kasetkę, to coś tu nie gra. Bo mnie się wydaje dwa razy większy od dziury, którą tu zrobiliśmy.

– Ubita ziemia ma inną objętość niż rozkopana – zauważył Finn Haber.
– Ale mimo wszystko – upierała się Maren Dokken. – Poza tym ten kopczyk pewnie by się zrównał z ziemią, gdyby został wykopany w 1925?

Wisting podał dziewczynie łopatę. Ta zmierzyła go wzrokiem.

– Coś jeszcze tam leży? – zapytała.

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać – odparł komisarz.

Dziewczyna zerknęła na dziadka, który skinął głową z uśmiechem. Chwyliła łopatę i zaczęła kopać. Kilkoro kadetów podeszło, by jej pomóc. Powyginane korzenie drzew utrudniały robotę.

– Czekaście! – zawołała Maren Dokken po dłuższej chwili. Odłożyła łopatę, pochyliła się i chwyciła wystający z ziemi skrawek materiału. – Wygląda jak stary koc albo coś w tym rodzaju – oznajmiła, potrząsając nim lekko.

– Może kogoś tu zawołać? – spytał jeden z chłopaków. – Na przykład technika kryminalistyki?

Wisting zerknął na Finna Habera.

– Świetnie sobie radzicie – zapewnił kadetów starszy pan. – Dokończcie.

Okazało się, że to nie koc leży pod ziemią, lecz czarny płaszcz z guzikami i paskiem. Maren znów przerwała pracę i rozłożyła jego poły. Oczom zebranych ukazały się nadkruszone, brązowe resztki kości.

Dziewczyna odwróciła się do Wistinga.

– Marvin Bergan – stwierdził komisarz.

– Wiedział pan o tym? – spytała.

– Zakładałem taką możliwość – odpowiedział.

Kadeci z mozołem odkopali cały grób. Znaleźli resztki czapki szofera ze skórzanym rzemieniem. Tuż pod nimi dostrzegli zarys zaokrąglonej kości czaszki.

Wisting pozwolił kadetom dokończyć pracę. Poprosił o przywiezienie niezbędnego sprzętu. Każda kość została sfotografowana i zarejestrowana w protokole, po czym spakowana do papierowej torby. Poszczególne strzępki tkanin, pojedyncze guziki, resztki portfela i zegarek potraktowano

w ten sam sposób.

Ove Dokken i Finn Haber pojechali do domu. Wisting chciał zostać do końca.

Młodzi kadeci byli coraz bardziej podekscytowani. Komisarz zazdrościł im zapału i optymizmu, ale nie zadań, które jeszcze na nich czekały. Sam bardzo się zmienił od dnia, w którym zaczął pracę w policji. Wtedy wierzył, że uda mu się zmienić świat na lepsze. Dziś był przekonany, że pod wieloma względami poniósł porażkę. Albo, ujmując to nieco precyzyjniej: żywił przekonanie, że wtedy, na początku, był naiwny. Bezwzględny świat i wypełniająca go przestępczość całkowicie go przerosły. Z jego punktu widzenia wszystko szło w niewłaściwym kierunku. Walka z kryminalistami była teraz o wiele bardziej skomplikowana niż w czasach, gdy zaczynał. Złoczyńcy byli bardziej zorganizowani, ich działalność przekraczała granice krajów, narodowości i przynależności kulturowej. Przestępstwa stawały się poważniejsze i brutalniejsze. Coraz więcej słyszało się o korupcji i łapówkarstwie, a te zjawiska podkopywały poczucie bezpieczeństwa ludności. Równowaga pomiędzy siłą, którą miała policja, a zagrożeniem związanym z przestępczością była wyraźnie zachwiana, i to na niekorzyść stróżów prawa.

Wisting westchnął, zastanawiając się, co mógłby zrobić inaczej przez te ostatnie trzydzieści trzy lata, ale nie znalazł rozsądnej odpowiedzi. Wiedział zresztą, że żadne proste rozwiązanie zwyczajnie nie istnieje.

Wokół niego powoli zapadał mrok. Ktoś przyciągnął do lasu agregat prądotwórczy i reflektor. Maren Dokken włączyła go, skierowała promień światła na dziurę w ziemi i wróciła do pracy.



Gdy mrok zapada

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Trzydzieści trzy lata wcześniej

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

Trzydzieści trzy lata później

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Når det mørkner*

Copyright © 2016 Jørn Lier Horst
Published by agreement with Salomonsson Agency
All rights reserved

Copyright © 2016 for the Polish edition by Smak Słowa
Copyright © for the Polish translation by Karolina Drozdowska

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska
Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz
Projekt graficzny i skład książki: Agnieszka Karmolińska
Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © istockphoto

ISBN 978-83-64846-93-9



Smak Słowa
ul. Sobieskiego 26/4,
81-781 Sopot
Tel. 507-030-045

Szukaj nas także na



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

Ponad milion sprzedanych egzemplarzy

JØRN LIER HORST

GDY MROK ZAPADA

Merytoryczna dokładność i wiarygodność
w powieściach kryminalnych Jørna Liera Horsta
wynosi je wysoko ponad przeciętną.

– Torbjørn Ekelund, *Dagbladet*

